

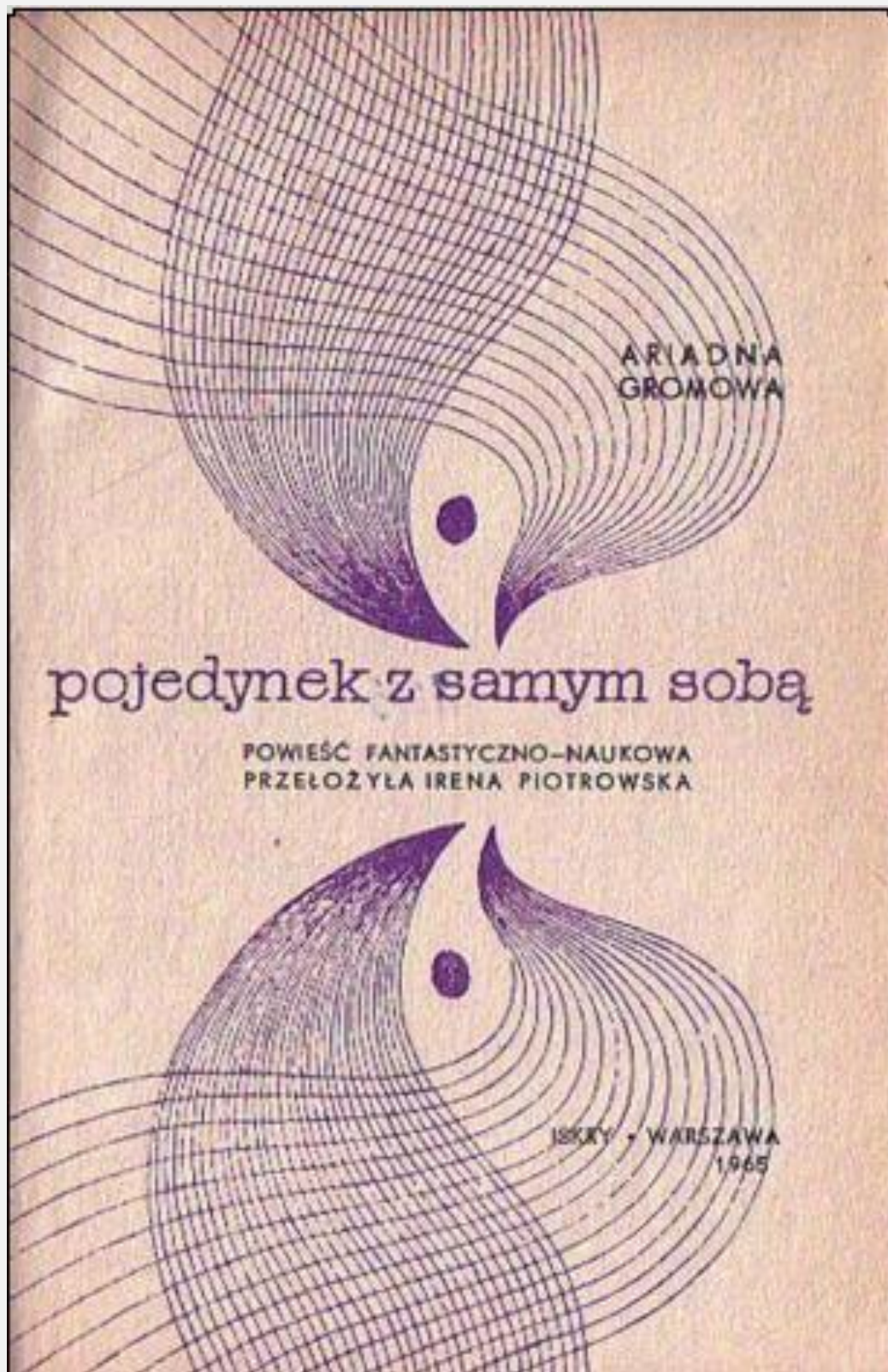


Artista sromowa

pojedynek z samym sobą

ARIADNA GROMOWA

POJEDYNEK Z SAMYM SOBĄ



TYTUŁ ORYGINAŁU POJEDINOK S SOBOJ

PRZEŁOŻYŁA IRENA PIOTROWSKA





O świcie lunął deszcz i pod drzwiami kiosku zaczęła przesączać się woda. Albert przebudził się z zimna i wilgoci. Roger leżał skurczony jak niemowlę w łonie matki i pochrapywał z lekka. Podniesiony kołnierz kurtki i wciągnięty na uszy beret zakrywały mu twarz — widać było tylko gęstą czarną brew i nasadę nosa.

— Wstawaj, przyjacielu, wpadliśmy w kałużę — smętnie zażartował Albert trącając go w ramie.

Roger podniósł się sykając z bólu, siadł na kontuarze i

zaczął z wirtuozerią przeklinać wszystko na świecie. Złorze czył Paryżowi za to, że padają w nim deszcze, kłął „diabelskie sztuki z bombami atomowymi”, bo na pewno za ich sprawą psuje się pogoda, wreszcie, posyłał do wszystkich diabłów właściciela kiosku, który” nie zamyka ma noc tej mokrej rudery i tylko wprowadza w błąd ludzi marzących o spokojnym noclegu... Albert wtrącił uwagę, że chyba właściciel kiosku nic tu nie zawinił, na co Roger odparł, że ten niedołęga mógłby przynajmniej we własnym interesie naprawić drzwi. Kłąć jednak przestał.

Albert uchylił drzwi, w twarz chlusnął mu strumień deszczu. Bulwar Saint-Bennard był zalany wodą i mętnie połyskiwał w deszczowej mgłę przedświt. Powierzchnia Sekwany i kałuże marszczyły się prawie jednakową smętną i drobną falą.

— Br-r! — Albert ponownie wskoczył na kontuar.

— Trzeba iść — mruknął po namyśle Roger. — Spróbujemy szczęścia na dworcach. Na Lyonski przyjedzie niedługo pociąg z Nicei.

Zanim dobiegli do Dworca Austerlitz, nie było już na nich suchej nitki. Pokręcili się jakiś czas, ale nie wpadł im żaden zarobek. Udali się na prawy brzeg przeze most Austerlitz i poszli bulwarem Diderota. Deszcz ustał, ale nad głową wisiała lodowata mgła, z której mżyło coś niewidzialnego i dokuczliwego. Dał wilgotny wiatr.

— I to się nazywa wiosna! — zawołał Roger szczękając zębami.

Obydwaj niedawno stracili pracę i dotąd jakoś udawało im się zarobić bodaj na nocleg. Dziś po raz pierwszy przyszło im nocować byle gdzie — a na dobitek jeszcze ten przekłety deszcz!

Na Dworcu Lyońskim zaczekali na pociąg z Nicei, ale mowy nie było, żeby się zbliżyć do eleganckich pasażerów. Roger długo oblegał jakąś starszą jejmość, lecz ona zerkała na niego nieufnie i tak szybko taszczyła swoją walizę, że rad nierad zrezygnował w końcu. Udało im się natomiast przemknąć — do toalety. Umyli się tam, oczyścili, uczesali i napili gorącej wody z kranu — zrobiło im się cieplej i głód na pewien czas przestał dokuczać.

— Do diabła z tym dworcem! — powiedział Roger. — Chodźmy do Vigoita.

— To chyba nic nie da — zaprotestował Albert. Poszli jednak. Vigot pływał kiedyś na jednym statku z Rogerem. Teraz był kelnerem w bistro na ulicy Ledru-Rollina. Roger spotkał go przypadkiem tydzień temu i Vigot podkarmił ich trochę w tajemnicy przed właścicielem.

Tym razem patron przez cały czas tkwił za bufetem, wskutek niepogody w lokalu było tłoczno i Vigot nie mógł im dać nawet kawałka chleba. Powiedział natomiast:

— Nie bądź durniem, Roger, jedź ze swoim kolegą do Passy, na ulicę Talmy. Pamiętasz pierwszego oficera z „Nancy”, Lebruna? Otóż wydaje za mąż córkę i w domu urwanie głowy — wszystko się przestawia, czyści i myje. Prosił, żebyś przyszedł pomóc, rozumiesz, chodzi o dywany, meble i tak dalej. Ciebie zna. Żarcie będziecie mieli zapewnione, a może i forsy trochę kapnie. Hej, Jérôme — zawołał wychylając się na ulicę. Przed bistro zahamowała gwałtownie furgonetka, a szofer zamieniwszy parę słów z Vigotem powiedział:

— Włażcie, chłopcy, podwożę was do Trocadero.

— Powodzenia! — krzyknął Vigot i nie obejrzawszy się, zniknął za drzwiami.

Od Trocadero szli ulicami Passy, do czysta splukanymi deszczem, soczyste wiosenne listowie szumiało wilgotno i strącało im ciężkie krople na ramiona. Deszcz przestał padać, chłodny wiatr gorliwie przepędzał chmury.

— Chyba się roz pogodzi — powiedział Roger spojrzawszy na niebo.

Albert przystanął nagle, jak gdyby się potknął, i wlepił wzrok w mosiężną tabliczkę umieszczoną na furtce. Furtka prowadziła do niewielkiego, cienistego ogródka okolonego wysokim murem. W głębi stała jednopiętrowa willa w staroświeckim stylu, pamiętająca zapewne jeszcze czasy Balzaka.

— Co się stało? — zapytał Roger.

— Okazuje się, że tu mieszka profesor Laurent — powiedział Albert. Oczy jego miały jakiś nieobecny wyraz.

— To twój przyjaciel?

— Skądże! Studiowałem u niego.

Roger obojętnie wzruszył ramionami.

— I co z tego? Chodźże!

— Ty tego nie zrozumiesz. — Albert z ociąganiem odszedł od furtki. — To niezwykły człowiek. To geniusz.

— Geniusz? A jak do niego przyjść, da podeźreć?

Albert nie odpowiedział. To wszystko było kiedyś, niezmiennie dawno — uniwersytet, neurofizjologia, świadczenia profesora Laurenta, marzenia o przyszłości... Dziś nie warto było o tym nawet wspominać... po co...

Zaledwie Rajmund Leinonier zdążył wejść do redakcji, już go wezwano do szefa.

— Nie w humorze! — szepnęła ostrzegawczo rudowłosa sekretarka.

Rajmund wszedł do dużego, ciemnego gabinetu i zatrzymał się przy drzwiach. Peyronel wskazał mu krzesło obok swego fotela — był to dowód zaufania. Rajmund usiadł ostrożnie i kątem oka obserwował mięsistą, masywną twarz szefa. Peyronel rzeczywiście był jakiś nie w sosie — wysunięta dolna warga nadawała jego rysom na wpół nadąsany, na wpół arogancki wyraz; marszczył brwi i głośno sapał. Jednak wbrew oczekiwaniom przemówił dość uprzejmym tonem.

— Pan chyba nie należy do lękliwych, Lemonier?

— Przypuszczam, że miał pan okazję przekonać się o tym, chociażby w sprawie Arpajon.

— Ach, sprawa Arpajon! Nie przeczę, że znalazł się pan wtedy całkiem na poziomie. Ale to była tylko mała strzelanina między policją a bandytami. No i policja pana ochraniała.

— Przeciwnie, ani im się śniło mną zajmować — zaprotestował Rajmund. Jego ambicja była zadraśnięta.

— No, dobrze, dobrze, niech pan się nie zaperza — rzekł pojednawczo Peyronel. — Właśnie Arpajon brałem pod uwagę, zastanawiając się, komu powierzyć tę oto sprawę. — Uderzył dłonią w otwarty list, leżący na biurku. — Tylko, widzi pan, tutaj sama odwaga nie wystarczy. Tu trzeba dużego opanowania, sprytu, nie wolno wypaść ze swojej roli, a co najważniejsze — i proszę to zapamiętać — co najważniejsze, trzymać język za zębami! — Popatrzył na Rajmunda znacząco.

— No, rozumie się... — mruknął Rajmund pełen ciekawości. Zapewne była to jedna z tych spraw, dzięki którym można

od razu wypłynąć.

Peyronel jeszcze bardziej wysunął dolną wargę i przypatrywał mu się dłuższą chwilę:

— Tak, to skomplikowana historia. Na początek niech pan to przeczyta!

Linijki biegły ukośnie w dół, pismo było pochyłe, nerwowe, jakby ktoś pisał w wielkim pośpiechu.

„... Pan jest jedynym człowiekiem, do którego mogę się zwrócić. Poza panem nie mam nikogo. Wiem, że pan mi nie odmówi pomocy. Proszę mi wierzyć, że nie ma w tym ani źdźbła przesady, w każdej chwili może nastąpić katastrofa i to będzie straszne, konsekwencje trudno przewidzieć, wiem przecież tak mało! Jestem zupełnie sama i tracę głowę. Wczoraj odeszła moja wierna Nanon — ona wytrzymała najdłużej, ale i ją w końcu ogarnął strach. A mnie jeszcze większy... Nie mogę napisać, o co chodzi... Niepodobna sobie tego wyobrazić, to jest niewiarygodne i potworne. Proszę o pomoc nie tylko dla siebie... Jeżeli dojdzie do katastrofy, Henryk zginie i oprócz niego... Piszę ten list, bo przez telefon powiedziałabym jeszcze mniej, a przyjść do pana nie mogę, boję się opuścić dom nawet na pół godziny. Tylko pan może mi pomóc. Ale przychodzić panu nie wolno, wie pan o tym, on żadnego dziennikarza do domu nie wpuści. Powiedziałam mu, że się boję, że potrzebna mi pomoc i że wysłałam do Lilie depeszę z prośbą, by przyjechał mój siostrzeniec Józef Ledoux — on jest na razie bez pracy i może jakiś czas spędzić u nas. Błagam pana, proszę przysłać kogoś pewnego i odważnego. Profesor nigdy nie widział Józefa. Mój siostrzeniec ma dwadzieścia cztery lata, jest wysoki, śniady, ciemnowłosy. Dobrze byłoby, gdyby ten ktoś chociaż trochę przypominał go zewnątrz. Józef jest z wykształcenia filologiem. Zapewniłam Henryka, że jest człowiekiem absolutnie pewnym, dyskretnym i że można na mim polegać. Ponieważ jakiś pomocnik u nas w idiomu jest niezbędnie potrzebny, Henryk wyraził zgodę. Proszę jednak pamiętać, że to musi być człowiek bardzo odważny i roztropny. Nie wyobraża pan sobie, jakie to wszystko przerażające, jakie skomplikowane i niepojęte... Błagam pana, proszę mi pomóc przez pamięć na mego drogie-

go ojca!

Pańska nieszczęśliwa Luiza”

— Cóż to znaczy? — zapytał oszołomiony Rajmund, zwracając list. — Czy to jest osoba zupełnie normalna?

— Sądzę, że tak — odrzekł poważnie Peyronel — chociaż od takich sztuczek można z powodzeniem zwariować. Ale tu nie o nią chodzi. Jej mężem jest profesor Laurent. Czy to nazwisko panu coś mówi?

— A jakże, naturalnie — zapewnił spieszenie Rajmund, zastanawiając się, co mu właściwie wiadomo o profesorze Laurent. — On jest lekarzem, prawda?

— Fizjologiem. Neurofizjologiem.

— Tak, tak, już sobie przypominam! Artykuł w naszej gazecie, jesienią... profesor Laurent zrobił awanturę, dzwonił...

— Właśnie. Dlatego nie mogę się pokazać u niego w domu. Uważa, że goniąc za sensacją wyrządziłem mu krzywdę... jaką — lichy wie!

— Co się tam może dziać, jak pan sądzi?

— Nie wiem — odpowiedział Peyronel po chwili milczenia. — Przypuszczam, że te jego szatańskie eksperymenty osiągnęły jakieś niebezpieczne stadium. Tyle lat pracował jak szaleniec.

— Ale o jakiej katastrofie pisze madame Laurent?

— Właśnie to chciałbym wiedzieć. W tym celu pana wysyłam. No i jeszcze dlatego, by podtrzymać na duchu i uspokoić Luizę. Biedaczka nie miała szczęścia w życiu!

Rajmund spojrzał na szefa pytająco.

— Tak, nie miała szczęścia — powtórzył Peyronel. — Jej pierwszy mąż zginął w katastrofie samochodowej, nawet roku nie byli razem. Luiza mając dwadzieścia lat została wdową. A po dwu latach diabli ją podkusili do poślubienia tego wariata Laurenta. Jest od niej starszy o dziewiętnaście lat, co ostatecznie nie ma wielkiego znaczenia. Ale przez te trzy lata jej życie było istną torturą — piekielny charakter, mizantropia, no i te przekłete doświadczenia! Moim zdaniem, on nigdy nie kochał Luizy. W każdym razie zmarnował jej życie... w dodatku majątek Luizy topnieje w szybkim tempie... — Urwał

i ciężko zasapał. — No więc jak, decyduje się pan tam pójść? Proszę wziąć pod uwagę, że to może być niebezpieczne. Niech pan teraz idzie, daję panu czas do namysłu. Za pół godziny zakomunikuje mi pan swoją decyzję. Oczywiście ani słowa nikomu. Nie traćmy więc czasu.

— Nie potrzebuję się namyślać, zgadzam się! — powiedział Rajmund tak stanowczo, że redaktor ze zdziwieniem podniósł krzaczaste, szpakowate brwi.

— No cóż, bardzo się cieszę. Warunki zewnętrzne ma pan odpowiednie do tej roli. Trochę doświadczenia również. Weźmie pan z sobą podręczną walizeczkę i płaszcz — proszę pamiętać, że przyjechał pan z Lille. Nie od rzeczy byłoby zapoznać się z pracami doktora Laurenta. Co prawda przez ostatnie trzy lata nie opublikował ani jednego zdania. Niech pan spróbuje pogadać z małżeństwem Desmarais, oni początkowo pracowali wspólnie z Laurentem. Chociaż nie — nie ma sensu... Po pierwsze, były między nimi duże rozbieżności w poglądach naukowych, a po drugie, dramat osobisty — Desmarais zabrał Laurentowi żonę. A więc rozmowa z nimi byłaby dość trudna. Następnie — ani słowa nikomu, nigdzie i nigdy. Nikt z pańskich znajomych nie powinien wiedzieć, że mieszka pan w domu profesora Laurenta, ani że w ogóle coś parna z nim łączy. Ma pan rodzinę? Nie? To znakomicie! A jakąś babkę?

— Nie! — zaprzeczył kategorycznie Rajmund i pomyślał: „Doprawdy w samą porę pokłóciłem się z Pierrette!”

— Bardzo dobrze! Żadnych nowych znajomości. Żadnych babek. Ani kropli alkoholu. Ostrzegam ze względu na pana własne bezpieczeństwo. Przynajmniej raz na dzień będzie pan do mnie dzwonił. Tu są telefony — bezpośredni redakcyjny i domowy.

— Jaki jest ostateczny cel mojej pracy?

— Możliwe, że największa sensacja współczesnej doby. Profesor Laurent jest geniuszem, ja to panu mówię! Według wszelkiego prawdopodobieństwa to wariat, może nawet łotr, ale genialny. Możliwe, że sensacji wcale nie będzie, a pan (po prostu okaże pomoc kobiecie znajdującej się w niebezpieczeństwie. I w pierwszym, i w drugim przypadku — czekają pana pieniądze. I awans. Nie poskapię niczego — ani jako redaktor,

ani jako człowiek. Kocham Luizę jak własną córkę.

Rajmund uklonił się i wstał.

— Tu ma pan adres. Życzę powodzenia!

Wychodząc Rajmund obejrzał się. Peyronel skinął mu głową, w oczach miał niepokój...

Rajmund szarpnął za rączkę dzwonnka przy furtce. Mosiężna tabliczka z nazwiskiem profesora Laurenta była zmatowiała. „Dawno nie czyszczona, znać, że służąca uciekła” — pomyślał Rajmund. Na ulicy było cicho, czysto i zielono. Za wysokim murem wyciągał gałęzie stary kasztan, bladoróżowe kandelabry jaśniały w gęstej masie palczastych liści. Po szarym kamieniu wił się bluszcz. Przez ciemny ażur żelaznej furtki Rajmund widział wyłożoną płytami alejkę, wysokie krzewy po obu jej stronach i jednopiętrowy szary dom w głębi ogrodu. „Okna wszystkie zasłonięte... Czy jest tam żywa dusza?” Rajmund poczuł się nieswojo. Znowu szarpnął za rączkę i równocześnie uchyliło się okienko w masywnych, ciemnych drzwiach. Potem drzwi otworzyły się szeroko i szczupła jasnowłosa kobieta niemal klusem podbiegła do furtki.

— Kim pan jest? — zapytała cicho.

— Dzień dobry, ciociu Luizy! — odpowiedział Rajmund pewnym siebie tonem.

— Józef ! — szcęknęły ciężkie zasuwki, furtka się otworzyła. — Jak się masz, Józefie, bardzo się cieszę.

Kobieta zawahała się chwilę, następnie podniosła się na palcach i ostrożnie musnęła wargami policzek Rajmunda. Wargi jej były chłodne i suche. „Czyżby ona naprawdę miała dwadzieścia pięć lat?” — zdziwił się Rajmund. Bujne jasne włosy były naprędce zwinięte w gruby węzeł na karku; na twarzy malowało się krańcowe wyczerpanie, usta drgały nerwowo. Podniosła na Rajmunda duże jasne oczy, podkrążone sinawym cieniem bezsenności — był to wzrok zaszczutego zwierzęcia.

— Jak to dobrze, że pan przyszedł — powiedziała ścisząc głos. — Porozmawiamy później. — Zerknęła przez ramię w stronę domu. — Henryk patrzy.

Rajmund zauważył, że zasłona w oknie na pierwszym piętrze lekko się poruszyła. Kobieta poszła naprzód alejką.

Rajmund zawahał się na mgnienie. Miał się za człowieka odważnego i oto bodaj po raz pierwszy w życiu ogarnął go strach — jak gdyby ciemna, lodowata woda podpłynęła do serca. „Nieznane niebezpieczeństwo, tajemnica i stąd to uczucie grozy” — rzekł do siebie i mimo woli pomacał rewolwer w kieszeni. Trudno było sobie wyobrazić, że w czyściutkiej, mieszczańskiej dzielnicy Passy, w tej spokojnej willi może zająć potrzeba użycia broni. Bo i przeciw komu? Czy rewolwer stanowi obronę przed każdym niebezpieczeństwem? Mimo to jednak dotknięcie chłodnej stali uspokoiło Rajmunda — to przynajmniej było realne, pewne, zrozumiałe...

Weszli do ciemnego hallu, Rajmund powiesił płaszcz na wieszaku, postawił walizkę. Kręte dębowe schody prowadziły na piętro.

— Henryku! — zawołała półgłosem kobieta. — Przyjechał Józef.

Na górze skrzypnęły rozeschnięte deski w podłodze, rozległy się pospieszne kroki. Luiza zeszywniała, nieruchomo patrząc na schody. W półmroku twarz jej wydawała się martwa. Rajmund znów poczuł nieprzyjemny chłód pod sercem i rozzłościł się sam na siebie. Profesor Laurent zbiegł szybko po schodach. Rajmund ledwie powstrzymał okrzyk przestraszenia i zdumienia. Znał Henryka Laurenta z fotografii w prasie, wiedział, że profesor ma lat czterdzieści cztery. Tymczasem stał przed nim wycieńczony starzec. Siwe, zmierzwiłone włosy, nieprzytomne oczy fanatyka patrzące spod czerwonych, opuchłych powiek... „Co się z nim stało?”

Profesor Laurent nie przywitał się z gościem. Głos miał wysoki, o ostrym brzmieniu.

— Szkoda, że nie przyjechał pan wcześniej. Mam już pomocnika. Umówiłem się.

— Ależ, Henryku... — odezwała się drżącym głosem Luiza — Przecież Józef przyjechał na twoje zaproszenie.

— Tak, wiem. Bardzo mi przykro. Zwróć panu wydatki.

Odwrócił się i wbiegł lekko po schodach na górę. Luiza pobiegła za nim. Rajmund stał, nie wiedząc, co ma robić.

— Błagam cię, Henryku — mówiła Luiza. — Boję się, nie mogę być sama. O ciebie też się boję... Henryku...

W wysokim głosie profesora brzmiała nuta irytacji:

— Powiedziałem już, że znalazłem pomocnika. Specjalistę. Twój siostrzeniec nie ma o tym zielonego pojęcia. A po drugie, nie znam go.

— Ależ, Henryku... Ja się boję... nie mogę dłużej...

— Przestań. To głupie. Niech przenocuje u nas. Mój pomocnik przyjdzie jutro rano. Daj swojemu siostrzeńcowi jeść, daj mu pieniędzy, przygotuj pokój. Tylko uważaj... — Głos ściszył się do szeptu.

Luiza zeszła na dół. Oczy jej były pełne łez.

— Chodźmy — powiedziała urywanym szeptem. — To wszystko tak niespodziewanie...

Zaprowadziła Rajmunda do małego pokoiku z oknem wychodzącym na ogród. Pokój był chłodny, ciemnawy, ale dosyć przyjemny. Na stoliku obok łóżka stał wazonik ze zwiędłymi fiołkami.

— To jeszcze Nanon postawiła. Nie chciała zostać ani dnia dłużej po tym... — Luiza podeszła blisko do Rajmunda. — Co robić? Mój plan spalił na panewce. Gdzie i kiedy Henryk mógł znaleźć pomocnika? Przecież on nigdzie nie wychodzi.

— Pewnie zaczął coś podejrzewać i chce się mnie pozbyć — powiedział Rajmund.

— Nie wiem. Ale Henryk nie posunąłby się do kłamstwa. Wychodziłam z domu i **niedawno** wróciłam. Musiało coś zająć w tym czasie.

— Co teraz zrobimy? — zapytał Rajmund.

Był zły, tak zły, że strach zniknął bez śladu. Taka bombowa sensacja umykała mu sprzed nosa!

— Nie wiem. Nie mam pojęcia. — W głosie Luizy dźwięczała bezradność.

— No, dobrze. Noc pozwolono mi spędzić pod tym dachem. Rano zachoruję i nie będę mógł wyjechać. A potem zobaczymy.

— Nic z tego nie będzie. Henryk nie uwierzy.

--- Zobaczymy. Ja tak łatwo nie ustąpię.

— Nie wiem, co robić — powtórzyła Luiza. — Chodźmy teraz coś zjeść.

W jadalni panował półmrok — okna niemal dotykały wysokiego muru, oplecionego bluszczem. Dębowa, poczernia

ła ze starości boazeria, ciężki belkowany sufit nadawały temu pomieszczeniu jeszcze bardziej mroczny wygląd; wszystkie zresztą pokoje, jakie Rajmund zdażył zobaczyć, były jednakowo mroczne. „Nie ma co, wesoły domek wybrał sobie profesor! — pomyślał. — Na piętrze jest chyba trochę widniej, ale też...”

Przy stole byli tylko we dwoje. Luiza wyjaśniła, że profesor zwykle jada u siebie na górze. W oczach jej ciągle widniał strach. Rajmund ze złością obmyślał sposób pozostania tutaj. Był przekonany, że jutro nie zjawi się żaden pomocnik.

— W czym właściwie trzeba pomagać profesorowi? — zapytał.

— O, w bardzo wielu rzeczach. Przynosić książki z biblioteki. Starać się o różne chemikalia i przyrządy. Dbać o porządek na górze. Zapewne pomagać przy doświadczeniach. No i... rzecz jasna, ochraniać Henryka...

— Przed czym? — rzucił zniecierpliwiony.

— Przed... nie, tego nie da się opowiedzieć... jeżeli będzie pan na górze, zobaczy pan na własne oczy, ale opowiedzieć niepodobna i zresztą nie ma sensu... — spojrzała nagle Rajmundowi w oczy swoim tragicznym, beznadziejnym wzrokiem. — Powinien pan się cieszyć, że mój pomysł się nie udał... proszę mi wierzyć. Dopiero teraz uświadomiłam sobie w pełni, że nie mam prawa narażać kogoś na tak wielkie niebezpieczeństwo...

— A pani? Czy pani to niebezpieczeństwo nie grozi?

— Ja to co innego. Nie mogę zostawić Henryka. To jest moje przeznaczenie.

— Nie powinna pani tak mówić. Jakie przeznaczenie? Mimo wszystko nie odejdę stąd.

Obiecałem szefowi, że będę czuwał nad panią.

Luiza wzruszyła apatycznie ramionami.

— Cóż pan może zrobić? Jestem panu bardzo wdzięczna, lecz...

— A ja bym nie poszedł! — oświadczył kategorycznie Roger. — To idiotyzm, miesiąc raptem byłeś bez pracy i już gotów jesteś bez namysłu rzucać się z góry na łeb.

— Ależ zrozum, że mnie to pasjonuje! — odparł Albert. — Ja tylko tym żyłem... jeszcze tak niedawno...

Siedzieli na bulwarze Passy i pałaszowali kanapki z serem. U Lebruna nie pożalowano im jadła, a te kanapki gruba kucharka wsunęła Rogerowi do kieszeni, „żeby biedaczek miał co przegryźć na kolację”. Tymczasem nie zdążyli przejść nawet stu kroków, gdy znów poczuli głód. Roger szybko doszedł do wniosku, że to głupio obywać się smakiem, skoro ma się w kieszeni kanapki, pieniądze na kolację i nocleg, a jutro Lebrun kazał im znów przyjść od rana. Kamienne obrzeże bulwaru już obeschło i nawet się nagrzało — słońce świeciło wspaniale, jakby nigdy nie było deszczu. W wodzie płynęły lekkie białe obłoki przenizane blaskiem, drzewa bujniej pokryły się świeżą zielenią liści. Roger zrzucił buty i wyciągnął się na ciepłych płytach.

— Jednego nie mogę zrozumieć, kiedy ty zdażyłeś dogadać się z tym swoim geniuszem? — zapytał dłubiąc zapałką w zębach.

— Kucharka prosiła, żebym skoczył po pieprz i ocet. Ty byłeś wtedy w piwnicy.

— No i co? Sam go zaczepiłeś?

— Nie... a może i tak... Nie wiem, jak to się stało. Przechodziłem koło jego domu i nagle spostrzegłem twarz... a raczej oczy... On stał przy furtce i twarz przyciskał do prętów. O tak... trzymał się furtki obiema rękami...

Roger splunął.

— Jak więźniowie w ciupie — powiedział. — Oni tak wyglądają na świat. Włazą na parapet i patrzą przez kratę. Widziałem to nieraz.

— W pierwszej chwili go nie poznałem. Bardzo się zmienił. O, bardzo. Robi wrażenie ciężko chorego. Ale on sam mnie zawołał. Nawet nie przypuszczałem, że mnie pamięta.

— Jeżeli to ci pochlebilo, to jesteś cymbał — warknął Roger. — Twoją rudą czuprynę i okulary pierwszy lepszy o miłę rozpozna,

— Profesor Laurent nie jest pierwszym lepszym. To geniusz. Tacy ludzie rodzą się raz na sto lat.

— Liczyłeś? No dobrze, wierzę, nie złość się. I co mówił?

— No, zapytał, jak mi się powodzi, i tak dalej. A potem, że ma do mnie zaufanie, ponieważ pamięta mnie dobrze z tamtych czasów... Kiedy był kierownikiem katedry... i czy nie

chciałbym mu pomóc. Ostrzegł mnie jednak, że to bardzo niebezpieczne.

— Ale na czym to niebezpieczeństwo polega? Może jakieś wybuchy, co?

— Wybuchy? Nie sędzę... Powiedział jeszcze, żebym dał mu słowo, że będę milczał, cokolwiek się zdarzy, do niczego się nie mieszał i tylko wypełniał jego polecenia.

— To mi wygląda na jakąś śmierdzącą sprawę! — Roger siadł i zwiesił nogi z drugiej strony muru. — Niebezpieczeństwo, tajemnice, milczeć jak grób. Co, u diabła, może on jest fałszerzem pieniędzy?

Albert milczał.

— A ile forsy będziesz dostawał, umówiłeś się?

— Nie... jakoś nie pomyślałem o tym...

— No, proszę! Geniusze, — wiadomo, nie mają głowy do takich rzeczy.

— Powiedział, że muszę nocować u niego. I pracować w dzień i w nocy.

— I ty się zgodziłeś!? — Roger spurpurowiał ze wzburzenia. — Doprawdy trudno o większego cymbała!

— Można by pomyśleć, że mam jakiś wybór — powiedział Albert.

— W porównaniu z takim numerem? Oczywiście, że masz! Rozbij pierwszą z brzegu wystawę i wsadzą cię do ciupy. Możesz mi wierzyć, to znacznie bezpieczniejsze niż twój pomysł — Posłuchaj, Rogerze — cierpliwie tłumaczył Albert. — Nie mam ochoty siedzieć w więzieniu. A neurofizjologia to mój zawód. Lubię go. Od lat marzyłem, żeby znaleźć pracę w swojej specjalności. A teraz mi się trafia i to jeszcze pod kierunkiem profesora Laurenta.

— Dobrze. Wyjaśnij mi jednak, co ma wspólnego z nauką to całe gadanie o niebezpieczeństwie i tajemnicy? Ja też nie od dzisiaj żyję na świecie.

— Tego a ja nie wiem. Ale posłuchaj! — Albert położył długie, szczupłe palce na ciemnej ręce marynarza. — Umówmy się, Rogerze. Jutro u Lebruna nie będzie dużo roboty, dasz sobie radę sam. Jeśli nie zdążę wpaść do Lebruna, dopóki tam będziesz, czekaj na mnie na placu Chopina, dobrze? Choćby na chwilę, ale przyjdę na pewno. Zgoda?

— Zgoda — rzekł z ponurą miną Roger. — Ale powtarzam ci jeszcze raz, nie podoba mi się ta cała historia.

— Zobaczę najpierw, co to takiego — mówił pojednawczo Albert. — I wtedy postanowimy ostatecznie.

Roger znów położył się na wznak i zamknął oczy. Albert siedział rozleniwiony ciepłem, uroczystym lśnieniem Sekwany, błogim uczuciem sytości. Obok przepływała barka; opalona czarnowłosa dziewczyna chodziła boso po pokładzie i rozwieszała bieliznę, nucąc jakąś melodię niskim, przyjemnym głosem. Chybotliwe odbłaski falującej tafli wodnej tańczyły po pokładzie, smagłe, silne nogi dziewczyny lekko i pewnie stapały po czystych deskach, kolorowa bielizna migotała na sznurach, wokół okna kajuty wił się pachnący groszek — cały ten obraz tchnął taką pogodą i spokojem, że Albert nie odrywał oczu od barki, dopóki nie skryła się w cieniu pod mostem Passy.

Nie chciało mu się myśleć o tym, co czeka go jutro w domu profesora. Ani o niczym w ogóle. Pragnął tylko siedzieć na rozgrzanych kamieniach i zamknawszy oczy, chłonać ciepłe, czerwone światło przenikające skroś powiek, słyszeć lekki równomierny plusk wody...

Nic więcej...

... Rajmund siedział w swoim pokoju i czytał „Bunt Aniołów”. Czytanie mu nie szło, nigdy specjalnie nie zachwycał się Anatolem Francem, a po drugie nie mógł zebrać myśli. Słuch jego reagował na każdy odgłos w domu — oto lekkie, ledwo dosłyszalne kroki Luizy, teraz otworzyła jakieś drzwiczki, pewnie od szafy albo kredensu... zgrzyt klucza i ciche skrzypnięcie... Na piętrze — kroki... Czyżby to profesor stapał tak ciężko? Po schodach biegł jak młodzieniec. O, teraz lekkie, szybkie kroki... Na pewno coś przesuwiał. Psiakrew, żeby choć jednym okiem zerknąć, co się tam dzieje u mego na górze. Ściemniało się. Rajmund nie miał ochoty zapalać światła, więc odłożył książkę. Co robić? Iść i zadzwonić do szefa? Nie, nie warto. Nie wolno zaczynać od narzekań na niepowodzenie. Zresztą wyjście z domu może być ryzykowne, a nuż profesor nie wpuści z powrotem. Zobaczymy, co będzie rano. Rozległo się ciche pukanie do drzwi — Luiza prosiła na kolację. Rajmund z przyjemnością zjadał ragout, choć było

przyrządzone, że pozał się Boże. Luiza jadła i z nieśmiałym, bladym uśmiechem przez stół na Rajmunda. Wyglądała na spokojniejszą niż w dzień i nawet się trochę ogarnęła — elegancka biała bluzka, kołnierzyk spięty turkusową broszką, włosy pięknie ułożone. „Ona rzeczywiście jest tasakiem niezła babka — pomyślał Rajmund obserwując ją ukradkiem. — Gdyby tak mogła wyrwać się z tego wesołego domku na parę miesięcy, posiedzieć gdzieś nad morzem. Ma doprawdy cudowne włosy, figurkę jak pensjonarka...” Nie zdawał sobie sprawy, że zbyt bezceremonialnie przypatruje się Luizie, nie spuszczać z niej wzroku.

— O czym pan myśli? — spytała, poruszywszy nerwowo ramionami.

— O pani — odpowiedział szczerze. — To okropne, że pani prowadzi takie życie.

Luiza spuściła oczy.

— Należę panu herbaty — rzekła cicho i nagle zasala zamieniła się w słuch.

Z góry dolatywało stukanie maszyny do pasania, nieprawdopodobnie szybkie, zlewające się w jeden ciągły terkot. Raz po raz dźwięczały dzwonki sygnałów i przesuwała się karetką.

„Do diabła, co pół sekundy — linijka!” — pomyślał Rajmund. Złudne ożywienie zniknęło z twarzy Luizy, była to znów zastygła maska strachu.

— Co panią tak przeraża? — zapytał cicho Rajmund.

— Nie wiem... nie rozumiem... słyszy pan ten stukot maszyny?

— Tak, jest bardzo szybki.

— Niepodobna pisać w takim tempie. Człowiek tego nie potrafi, ja wiem. Sama piszę szybko. Jeszcze dawno przepisy wałam wszystko Henrykowi... Nikomu więcej nie ufał, a ja prędko nabrałam wprawę... Chciałam mu być pomocna.

— A teraz i pani nie dowierza?

— Nie o to chodzi. Ale kiedy on mógł się nauczyć? I to jeszcze z taką szybkością? Przecież wcale nie umiał.

Rajmund zaczął nasłuchiwać. Obłądny, nieustający terkot. I... jakby ktoś mówił, prędko, niewyraźnie.

— To profesor rozmawia? Tak? — zapytał.

— Tak. To Henryk.

„Jak to, sam sobie dyktuje? Dziwna rzecz” — pomyślał.

— Jest pani pewna, że nie ma tam nikogo więcej?

— Niczego nie jestem pewna — w głosie jej brzmiała najwyższa rozpacz i lęk. — Czasami zdaje mi się, że tracę rozum.

Karabinowy terkot maszyny nagle ustał. Rozległ się tupot, ktoś skoczył, a potem upadło coś ciężkiego, aż zatrzęsł się sufit i zakołysał żyrandol. Luiza zerwała się i wbiegła na schody.

— Henryku! Henryku! — krzyknęła rozpaczliwie. — Co się tam dzieje? Co z tobą?

Zaczęła walić pięściami w drzwi. Rajmund stał na schodach, instynktownie ściskając rewolwer.

— Otwórz, Henryku! Odezwij się! — krzyczała Luiza. Za drzwiami rozległ się zdyszany głos:

— Zaczekaj chwilę! Przesłań stukać!

Luiza oparła się o ścianę. Drżała jak w febrze, niepojętego działało się za tymi drzwiami — tupot, bełkotliwe mamrotanie. „Głowę dam sobie uciąć, nie jest sam!” — myślał Rajmund nasłuchując. Naraz drzwi się otworzyły. Profesor Laurent przekroczył próg i zatrzęsł je za sobą.

Głodny jestem — powiedział, ciągle jeszcze nie mogąc złapać tchu. — Masz coś do jedzenia, Luizo? „Jak on wygląda!” — pomyślał Rajmund. Kołnierz przy bonżurce profesora był rozdarty, przez czoło biegła ukośnie świeża rana, na którą opadały siwe skołtunione włosy.

— Jesteś ranny, Henryku? — powiedziała cicho Luiza.

— Ach, to? Głupstwo, upadłem i uderzyłem się o kant szafy. Zawrót głowy. Nie warto bandażować, do rana się zagoi.

— Ależ Henryku...

— Mówię ci, że jestem głodny. Nic więcej.

Rajmund odniósł wrażenie, że profesor przede wszystkim pragnie odciągnąć ich jak najdalej od drzwi. Tam w środku poruszało się niespokojnie coś ciężkiego, wzdychało, skrzypiało.

— No? — powtórzył niespokojnie profesor. — Znajdzie się coś dla mnie?

— Tak... naturalnie... — Luiza powoli, chwytając się kurczowo poręczy, zaczęła schodzić ma dół.

Rajmund podtrzymał ją, ująwszy pod ramię. Na zakręcie schodów obejrzał się mimo woli. Profesor Laurent stał ciągle jeszcze przy drzwiach i nasłuchiwał z wyciągniętą szyją. Potem odetchnął z ulgą. Na twarzy jego odmalował się wyraz takiego wyczerpania, że mogło się zdawać, iż za chwilę upadnie. Tymczasem jednak zbiegł lekko po schodach i mijając ich zawołał:

— Liczę na kolację! Idę umyć ręce!

Nie było go dość długo. Luiza, poruszając się jak lunatycka, dodała trzecie nakrycie, wyjęła z kredensu butelkę Vouvray i kieliszki. Z łazienki dolatywał szum i pluskanie wody.

— Mówiła pani, że profesor jada na górze — zagadnął Rajmund ściszym głosem.

— Normalnie... tak... On w ogóle rzadko schodzą na dół. Myje się również na piętrze w swojej łazience. Czasem nie widuję go całymi dniami.

— Czemu więc dzisiaj?

— Nie wiem... nic nie wiem... Okropnie się boję... — Głos Luizy dźwięczał monotonicznie.

— Nie mam już sił.,.

Rajmund delikatnie pogłaskał jej rękę, martwo spoczywającą na stole. „Zdaje mi się, że od niej nic nie wydobędę — pomyślał. — A przecież muszę bodaj trochę się zorientować...” Profesor Laureat wyszedł z łazienki przyglądając dłonią wilgotne włosy. Rzucił się na ragout, na ser, poprosił o kawę. Za wino po krótkim namyśle podziękował. Czoło miał głęboko rozcięte, ale, dziwna rzecz, rana zupełnie nie krwawiła. Rajmund obserwował go ukradkiem. Lekkie, młodzieńczo szybkie ruchy, wilczy apetyt — i te siwe włosy, bezkrwista, wycieńczona twarz... Te nienaturalnie błyszczące jasne oczy pod opuchniętymi, czerwonymi powiekami... „Co to wszystko znaczy, do diabła! I dlaczego rana wcale nie krwawi! Jakieś diabelskie sztuczki!” Po raz pierwszy przyszło Rajmundowi na myśl, że Peyronel popełnił błąd wysyłając go tutaj; powinien był wybrać kogoś bardziej doświadczonego, samą odwagą niewiele tu można było zwojować... Szukał gorączkowo jakie goś pretekstu, by zacząć rozmowę z profesorem, poży skać jego przychylność. Laurent jednakże jadł i pił w milczeniu,

wzrok miał nieobecny, jakby nie dostrzegał, że przy stole siedzi ktoś obcy. Kolacja skończyła się niespodziewanie. Profesor nie dopił kawy, wstał gwałtownie i skierował się ku drzwiom.

Luiza również się zerwała.

— Ach, prawda, dziękuję za kolację — powiedział szybko.

Zatrzymał się u progu i z dziwnym roztargnieniem rozejrzał się po pokoju. „Nie ma wielkiej chęci iść na górę! — pomyślał Rajmund. — No trudno, to moja ostatnia szansa!” — Podszedł do Laurenta.

--- Może pozwoli pan pomóc sobie dziś wieczór? — zapytał z szacunkiem. — Dopóki nie ma pańskiego pomocnika.

Profesor w milczeniu, jakby nie rozumiejąc, patrzył na Rajmunda. Po bladej twarzy przebiegały nerwowe drgania.

--- Naprawdę, Henryku... — zaczęła Luiza.

— Nie, nie! — Machnął niecierpliwie ręką. — Nie potrzebuję dzisiaj pomocy. Żadnej pomocy!

I wypadł jak strzała z jadalni. Luiza spojrzała apatycznie na Rajmunda i zaczęła sprzątać ze stołu. Rajmund zapalił papierosa. „Zdaje się, że sprawa jest przegrana” — osadził w duchu. Słysząc było, jak profesor wbiega po schodach. Skrzypnęła podłoga na piętrze... Sekunda cała... I nagle znów się rozległy pospieszne, lekkie kroki na schodach... w sąsiednim pokoju... Drzwi otworzyły się szeroko.

— Odzie pan śpi? — spytał profesor Laurent urywanym głosem, nie patrząc na nikogo. — Gdzie mu posłałaś, Luizy?

— W czerwonym pokoju... — wyszeptała.

— Pościel na kanapie koło schodów — rozkazał profesor — Czy ma pan czujny sen?

— Bardzo czujny — odpowiedział Rajmund postanawiając nie zmrużyć oka przez całą noc.

— Jeżeli usłyszysz pan trzy uderzenia w drzwi, w podłogę, wszystko jedno w co... — trzy uderzenia, rozumie pan? — proszę natychmiast biec na górę. Tu ma pan klucz od drzwi. A ty, Luizy, nie waż się tam wchodzić, słyszysz? Dopóki cie nie zawołam.

— Trzy uderzenia, rozumiem — Rajmund stał na baczność.

— Ma pan mocne nerwy? Bo może pan zobaczyć niejedną

rzecz szokującą — rzekł niechętnie. — Luizo, uprzedziłaś pana, że trzeba umieć milczeć?

— Będę milczał.

— Doskonale. Czy ma pan broń? — spytał nagle rym tonem.

Rajmund wyjął rewolwer. Profesor chwycił go i schował do swojej kieszeni.

— O tym proszę zapomnieć! Żadnej broni! Tylko rozum i mięśnie.

Wrócił się jeszcze raz od progu:

— Jeśli nawet nie będzie tych trzech uderzeń, tylko w ogóle coś wyda się panu podejrzane... jakiś hałas... krzyk... rozumie pan?

— Rozumiem — powiedział Rajmund.

— Dobranoc! — profesor nagle zamknął drzwi.

Rajmund oparł się o kredens i łapczywie zaciągnął się papierosem. Luiza chwyciła go za rękę; oczy jej były pełne łez.

— Nie miałam prawa ściągać pana tutaj... to zbrodnia!

— Na Boga, niechże się pani uspokoi! — mówił twardo. — Ja wiem, co robię.

— Nie, pan nie wie! Nie wie pan! Nie miałam prawa! — Zacisnęła kurczowo rękę. — Niech pan stąd natychmiast ucieka, natychmiast!

Rajmund zmusił ją do napicia się wody i posadził przy stole. Ściskając mocno jej zimne, bezwolne palce mówił:

— Proszę mi powiedzieć wszystko, co panie wie. I niechże pani nie szarpie sobie niepotrzebnie nerwów. Im więcej będę wiedział, tym łatwiej dam sobie radę. Co tam jest u niego na górze?

— Nie potrafię panu należycie wyjaśnić... sama tego nie rozumiem. Moim zdaniem, tam są ludzie... w każdym razie coś ma podobieństwo ludzi.

— Na podobieństwo ludzi! — powtórzył Rajmund, zdziwiony.

— Nie wiem, jak to nazwać...

— Może roboty?

— Henryk nie lubi tego słowa... I zresztą, to nie są roboty, to żywe stworzenia. Już dawno, bardzo dawno nie byłam na górze. Henryk pracuje w dzień i w nocy. Nie wiem, ale wydaje

mi się, że tam już jest kilku tych... Przedwczoraj wybuchł taki sam rumor jak dziś...

Pobiegliśmy z Nanon na górę. Henryk otworzył drzwi, wyskoczył z pokoju, a za nim ukazała się ręka... straszna ręka, jakby odarta ze skóry... Nanon nie chciała ani chwil dłużej zostać w naszym domu. Kazałam jej przysiąc na Biblię, że będzie o tym milczała... przez wzgląd na minie...

Rajmund znów zapalił papierosa. „Ładna historia!” — pomyślał w duchu.

— Spokojnie, Luizo, wszystko się dobrze skończy — rzekł łagodnie. — Ostatecznie wiadomo, że nauka wymaga ofiar, prawda?

„Rewolwer byłby całkiem nie od rzeczy” — myślał siedząc na kanapie koło schodów. Na piętrze panowała cisza. Luiza spała ma szezlongu — Rajmund nakłonił ją, by zażyła tabletkę nasenną. „Może się położyć? Po takiej porcji czarnej kawy i tak mowy nie ma o spaniu...”

Podszedł do okna. Noc była bezksiężycowa, ciepła i cicha. Wąska smuga światła leżała na płytach alejki, na krzewach — widocznie nikt jeszcze nie spał na pierwszym piętrze. Nagle smuga mignęła raz i drugi... rozległ się hałas. Rajmund odskończył od okna. Wyraźne odgłosy walki... upadek czegoś ciężkiego... metaliczny zgrzyt... jęk... Wszystko to słyszał już wbiegając po schodach. Przekręcił klucz, drzwi się natychmias otworzyły — w ostatniej chwili zdążył jeszcze uskoczyć w bok. Na próg wytoczyła się jakaś ciemna, bezkształtna masa.

— Proszę zamknąć drzwi! Prędezej! — ledwie rozpoznał w tym zduszonym charczeniu głos Laurenta.

Zatrzasnął drzwi — ktoś usiłował wygramolić się na podest, machając na oślep wielkimi, nieruchomymi łapami. Z głębi pokoju dolatywało wysokie, wibrujące wycie:

— A-u-u-u! A-u-u-u!

Rajmund przekręcił klucz i wyjął go z zaimka. Ciemny kłęb na podeście podrygiwał konwulsyjnie.

— Niech pan wyjmie z mojej lewej kieszeni strzykawkę! — rozkazywał Laureat.

Rajmund dopiero teraz zobaczył, że profesor leży na podłodze przyduszony cielskiem jakiegoś potwora o krótkich, grubych łapach. Żeby wydostać strzykawkę, musiał wsunąć

rękę pod bok tego monstrum. Palce wyczuły ciepłą elastyczną błonę, podobną do ludzkiej skóry.

Ręka profesora Laurenta z całej siły zaciskała rurkę wystającą z krótkiej szyi potwora.

— Proszę mi podać strzykawkę! — Nie, najpierw niech pan złapie i ściśnie w rękę tę nurkę. Niech pan trzyma mocno i nie wypuszcza!

W giętkiej rurce ciężko pulsowała jakaś ciepła, płynna substancja. „Krew?” — pomyślał Rajmund. Profesor Laurent wygiął się, głowa jego wyrzała spod ciemnego, drgającego cielska. Namacał wolną ręką jakieś miejsce na szyi potwora i pewnym ruchem wbił igłę strzykawki w małe wgłębienie. Po upływie sekundy drgawki ustały, pulsowanie w rurce pod palcami Rajmunda niemal zamarło. Czarne cielsko zwiotczało, osunęło się i zważyło na bok.

Profesor Laurent usiadł na podłodze. Ręce mu się trzęsły.

— Gdyby nie pan... — Nie mógł dalej mówić.

Rajmund również dygotał. Nieposłusznymi palcami wyjął papierosa. Dym zdawał mu się gorzki i gryzący, mimo to poczuł się nieco lepiej. Zobaczył, że Laurent przełknął jakąś żółtą granulkę i wkrótce potem lekko zerwał się na nogi.

— Luizo! — zawołał zbiegając po schodach. — No właśnie, tak przypuszczałem. Przestań, wszystko w porządku. Przestań!

Rajmund zszedł za nim na dół. Luiza siedziała na pierwszym stopniu i bezdźwięcznie szlochała, objawszy głowę rękami. Laurent patrzył na nią z grymasem niezadowolenia. Po chwili wahania wyjął z kieszeni niewielką, przezroczystą laurkę, usunął korek z waty i wysypał na dłoń dwie białe pigułki.

— Masz, zażyj to! — rzekł nakazujące. — Prędzej!

Luiza oderwała rękę od twarzy. Jasne rozszerzone oczy wydały się Rajmundowi obłąkane. Teraz jednak strach Luizy był już dla niego zrozumiały. Mimo woli zerknął na górę, czy przypadkiem nie ożył tam ciemny, krótkołapy stwór. Luiza połknęła pigułki. Chwilę siedziała nieruchomo, patrząc przed siebie. Potem oczy jej zrobiły się szklane, zniknął z nich wyraz napięcia. Poruszyła słabo wargami, jakby chciała coś powiedzieć; i nagle powieki jej opadły, zaczęła zsuwać się ma

podłogę. Profesor schylił się szybko i podtrzymał ją.

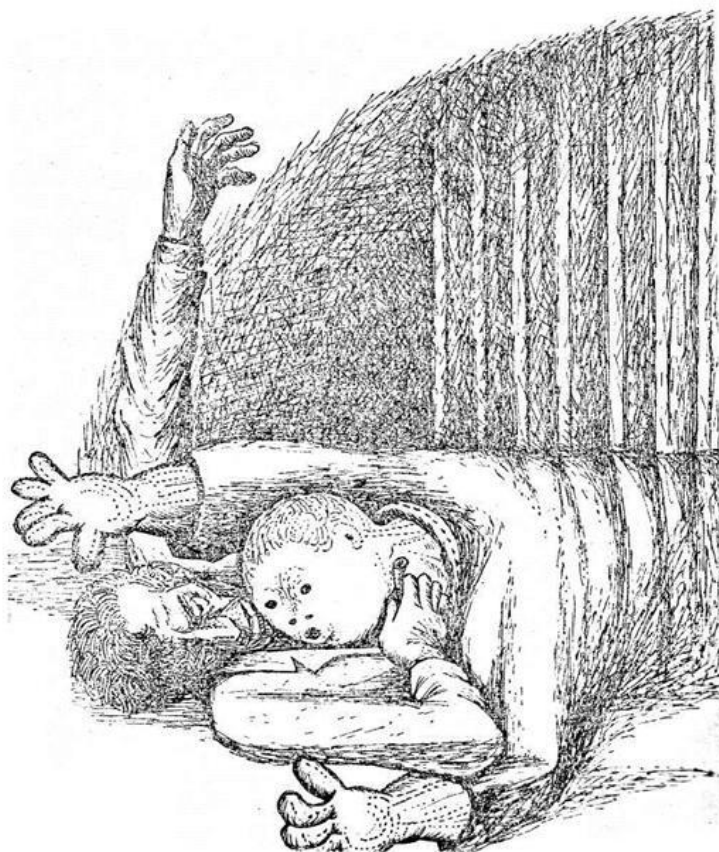
— Zanieśmy ją do sypialni — powiedział do Rajmunda. — Ja zaniosę. Proszę mi pokazać drogę.

Ciało Luizy prawie nic nie ważyło. Rajmund spojrział na jej bladą, spokojną twarz i nagle poczuł przejmującą litość dla tej kobiety. Litość i czułość. Za cóż ją laki los spotkał?

— To tutaj — rzekł profesor otwierając drzwi.

Rajmund położył Luizę na łóżku, zdjął jej z nóg pantofle, rozwiązał pasek szlafrocza i okrył kołdrą.

— Będzie spała do rana. Tylko obudzi się pewnie z bólem głowy — mówił profesor. — Chodźmy, musimy jeszcze zanieść Pierre'a do pokoju. Ten tam na schodach nazywa się Pierre... I jeszcze jedno — gdyby ktoś rzucił się na pana, niech pan go chwyci za szyję i stara się mocno ścisnąć rurkę. Widział pan rurkę u Pierre'a? Takie rurki mają wszyscy z lewej strony... Tylko za rurkę, rozumie pan?



— Rozumiem — powiedział Rajmund wstrząsnawszy się z łebka.

— Boi się pan? — profesor spojrzął na niego bystro. — Wobec tego ja sam...

— Nie, nie — zaprzeczył Rajmund. — Po prostu mnie...

— Wiem — profesor skinął głową. — To nieprzyjemne...

Rajmund szedł za nim, gryząc wargi. W gruncie rzeczy nie tyle odczuwał strach, ile obrzydzenie.

Zaciągnęli nieruchomego Pierre'a do drzwi i postawili go na nogi. Rajmund mimo woli odwracał głowę dotykając tej dziwnej, ciepłej i sprężystej masy. Pierre przypominał dzieło rzeźbiarza modernisty — krótkie nogi, krótkie ręce, nieforemny tułów i okrągła ciemna głowa tworzyły całość, w której ledwie było zaznaczone jakieś dalekie podobieństwo do człowieka.

Okrągłe usta — ciemny otwór bez zębów i języka, otworki zamiast nosa a uszu oraz coś w rodzaju oczu, przypominających raczej wetknięte w skórę błyszczące guziki. Czarniawe cielsko zwisało bezwładnie w rękach ludzi. Profesor Laurent ostrożnie uchylił drzwi. W pokoju było cicho. Wtaszczyli Pierre'a, ułożyli go na sofce. Rajmund rozejrzał się dyskretnie i naraz poczuł mdlący dreszcz obrzydzenia. W rogu pokoju siedział w fotelu i uważnie mu się przyglądał ktoś bardzo podobny do człowieka. Miał białą skórę i jasne włosy. Pod puszystymi brwiami świeciły silnym blaskiem niebieskie oczy. Rajmund obserwował ową istotę, usiłując rozpoznać, czym różni się ona od człowieka.

Profesor Laurent ostrożnie zbliżył się do siedzącego w fotelu, lecz tamten nawet się nie poruszył.

— Co się stało, Michel? — zapytał. — Dlaczego nie śpisz?

— Pan wie dlaczego. — Głos był nieco głuchy, bez modulacji, lecz słowa brzmiały wyraźnie. — Pierre'a trzeba przerobić. W obecnym stanie jest nie do przyjęcia. Jest niebezpieczny. François również. Mówiłem już panu.

— Dobrze, masz rację. Zrobię to.

— Ze mną też jest niedobrze. Mam rozregulowany układ hamowania. Widział pan przecież. Krzyczałem.

— Tak, krzyczałeś. Dlaczego?

— Powtarzam, że proces hamowania został naruszony.

Zbyt gwałtownie reaguję na bodźce zewnętrzne. Przy dużym podnieceniu impulsy woli przestają działać, jakkolwiek kontrola świadomości pozostaje. Michel umilkł na chwilę, po czym dodał: — Uważam, że ja również mogę być niebezpieczny.

— Na czym to niebezpieczeństwo polega? — spytał profesor.

— Na wyłączeniu się świadomej woli. Na nadmiernej pobudliwości nerwów motorycznych i narządów mowy. Powinien pan natychmiast zająć się moimi ośrodkami hamującymi.

Rajmundowi wydało się, że majaczy. Duży, jasno oświetlony pokój, okna zasłonięte storami, pod oknami długie stoły, a na nich pełno kolb, probówek w drewnianych statywach, zamkniętych szklanych naczyń najrozmaitszego kształtu i wielkości, na jednej ścianie aż pod sufit regały z książkami, ciemne krótkołape cielsko na kozetce; czyjeś głośne sapanie za wysokim parawanem i ten równy, martwy głos, te nienaturalnie błyszczące oczy w białej, a przecież szatańsko poczwarnej twarzy! Ta makabryczna rozmowa!

— Co z nimi? — spytał profesor, ruchem głowy wskazując parawan.

— Dałem im T-21. Podwójną dawkę.

— Jak sobie poradziłeś? Sam przecież byłeś w stanie najwyższego pobudzenia.

— Tak. Kontrola świadomości jednak pozostała. Potrafiłem zmusić się do zażycia T-24.

To było trudne. Nie mogłem zapanować nad rękami. Szczególnie nad rękami. I nad krtanią.

Chciałem krzyczeć.

— Tak, wiem. A jednak uporałeś się z tym.

— Widocznie istnieją jakieś dodatkowe ośrodki. Ale trudno je włączyć.

— Muszą istnieć. Nie jesteś mechanizmem. Żywa struktura zawsze ma rezerwy, to jej podstawowa właściwość! Dubluje funkcje dla asekuracji. Czy minie rozumiesz?

— Tak, doskonale rozumiem. To słuszna uwaga. Niemniej trzeba mi wzmocnić główne ośrodki.

— Oczywiście. Co robił François?

— Chciał koniecznie chodzić. Chciał biegać. Wszystko ruszać i chwytac.

— Jeżeli nie robi obliczeń, musi chodzić i chwytac, co mu się nawinie. Do tego celu został stworzony. Praca jest dla niego koniecznością. Ma zbyt silne mięśnie.

— Tak. Dałem mu do rąk laskę i kazałem wytrzepać kurz z kanapy. Posłuchał. To go zaabsorbowało. A wtedy zrobiłem mu zastrzyk. Teraz śpi.

— A Paul?

— Kiedy pan z Pierre'em opuścił pokój, u Paula od razu nastąpiło gwałtowne zahamowanie. Przestał się poruszać, ale stał i nie chciał się położyć. Pierre widocznie działa na niego zbyt silnie. To jest defekt.

— Tak, zapewne. Pomyślę nad tym. A teraz powinieneś zasnąć.

— Zastanawiam się nad sobą i nie mogę spać.

— Dam ci środek nasenny.

— Dobrze. Czy będzie mi pan robił operację?

— Nie wiem. Postaram się tego uniknąć. Dlaczego o to pytasz?

— Odczuwam strach.

— Strach? Skąd ty wiesz, co to jest strach?

— Wiem. Czytałem. To jest strach. Przedtem go nie było.

— Stajesz się zanadto złożony. — To nie zależy od mojej woli.

— Od mojej też nie. Czego się boisz? Bólu?

— Nie. Boję się unicestwienia.

— Śmierci?

— Tak. To się nazywa śmierć.

— Wiesz, że to wykluczone. Jesteś wieczny.

--- Nie mam tej pewności.

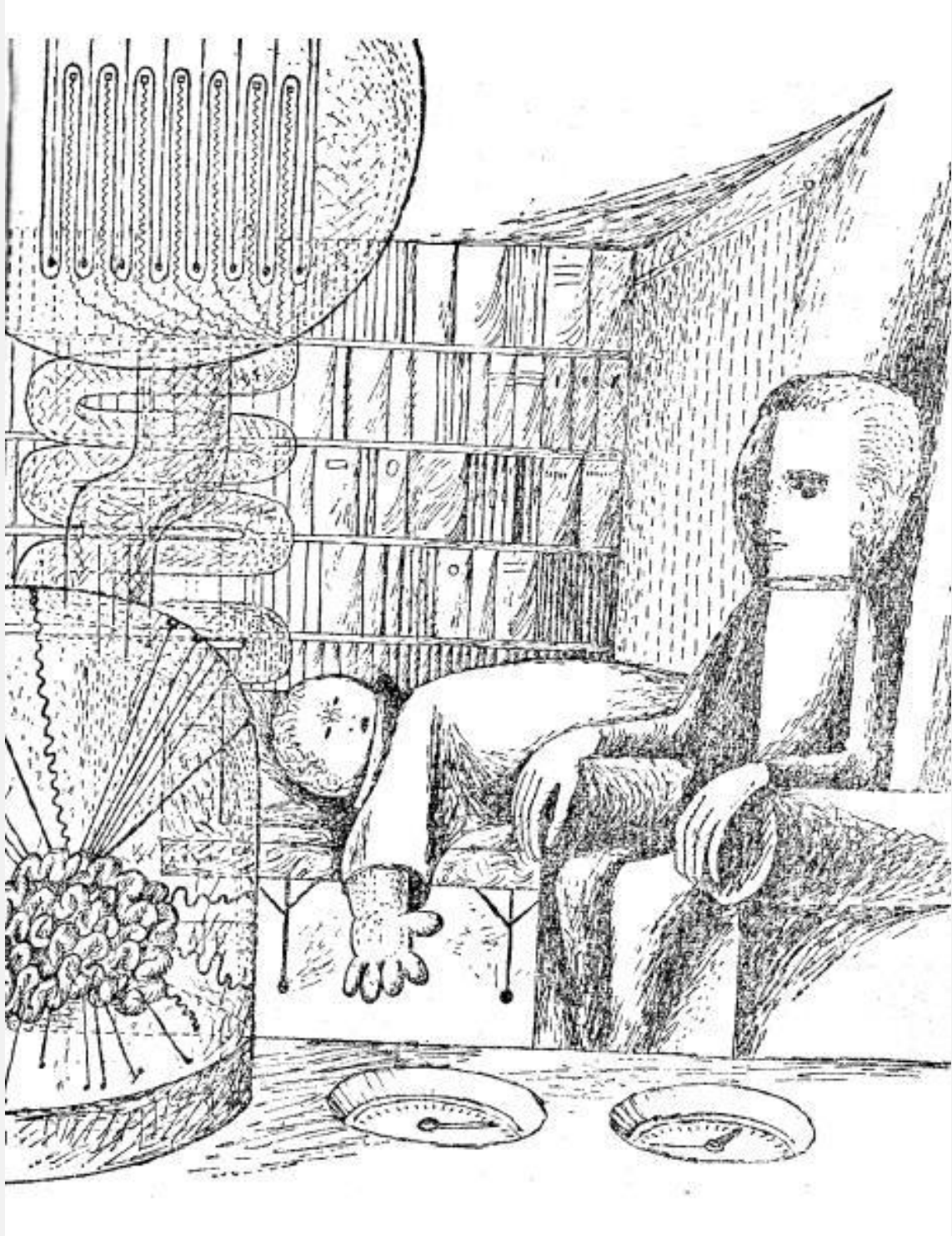
— Co? — spytał szybko profesor.

— Nie mam pewności. Coś się we mnie zmieniło. I wtedy pojawił się strach.

— Nonsens! Nic się nie mogło zmienić! To są atawistyczne doznania.

— Atawizm? U mnie?

— Do diabła, stać cię już na dowcipy! — rzekł Laurent po chwili milczenia. — Na razie idź spać. Jestem zmęczony. Ach,



prawda! Przedstawiam panu Michela. Michel, to jest Józef. Giętka, ciepła ręka mocno uścisnęła dłoń Rajmunda. „Zupełnie jak człowiek” — pomyślał.

— Teraz może pan już wrócić na dół i położyć się spać. Noc minie spokojnie i chyba rano też... Rano... ach, prawda, rano przyjdzie mój pomocnik... — Profesor zamyślił się na chwilę. — Sądzę, że obaj mi się przydadacie. Właściwie to pan mi dziś uratował życie... No więc, jeśli pan ma ochotę, proszę zostać, będę bardzo rad.

— Zostanę — powiedział Rajmund. — Chcę zostać u pana...

... Kiedy Albert ukazał się z za rogu ulicy, Roger odetchnął z ulgą.

— Gdzieś ty się podziewał? Okrągłą godzinę tu łążę.

--- Ledwie się wyrwałem! — mówił z ożywieniem Albert. Oczy mu błyskały z za szkieł okularów.

— Na rogu jest bistro, może wstąpimy? — zaproponował Roger.

— Możemy. — Albert zawahał się. — Jeżeli jest pusto. Mam z tobą do pomówienia o ważnych rzeczach.

W bistro były pustki. Łysy właściciel drzemał za bufetem. Usiedli przy oknie.

— Ja dziękuję za wszystko, nie jestem głodny — powiedział Albert. — Najwyżej kawę.

Albo pernot.

— Mnie też kucharka Lebrunów nakarmiła, że ho, ho! — Roger parsknął śmiechem. — Prosiła, żeby od czasu do czasu zaglądać. Ale okropnie pękata, nie lubię takich bab. Halo, przyjacielu, dwa pernot!

— Słuchaj, Rogerze — zaczął Albert, gdy kelner przyniósł im dwa kieliszki pernot. — Chcę ci zaproponować pracę w domu profesora Laurenta...

Roger słuchał w milczeniu. Potem wybuchnął śmiechem.

— Stuknij się w głowę, braciszku! Prosiłeś mnie o sekret, więc jasne, że pary z gęby nie puszczę. Ale żebym ja, Roger Leroix, miał zostać służącym!

— Czekaj — mówił Albert łagodnie. — Zapewne źle to sformułowałem. To coś takiego jak na wojnie. Będzie nas pięcioro, włącznie z madame Laurent. Wiem, że ty świetnie znasz się na gospodarstwie. Ja do tych rzeczy zupełnie nie mam drygu, Józef znów nie jest z Paryża i chyba też się nie nadaje... Madame Laurent jest bardzo wåtła, trudno jej z tym

wszystkim... Ani jedna służąca nie wytrzyma w tym domu dłużej niż dwa dni. Rozumiesz? Bez ciebie nie damy rady. Poza tym ja i Józef musimy dyżurować na piętrze albo biegać po mieście i załatwiać zlecenia profesora. A madame Laurent jest ciągle sama i boi się.

— Uważasz, że Roger Leroix nadaje się do piastowania starszych pań? — warknął.

— Dlaczego starszych pań? Madame Laurent jest zupełnie młoda.

Roger z miejsca się ożywił:

— Młoda, powiadasz? Trzeba było tak gadać od razu, ty fajowaty okularniku! Może blondynka? I szczupła? Do diabła, to coś w moim guście!

Albert uśmiechnął się blado.

— Sprawa jest znacznie poważniejsza, Rogerze, niż sobie to wyobrażasz. A madame Laurent... Jak ją zobaczysz, zrozumiesz, że nie wolno o niej mówić w takim tonie. Jest śmiertelnie wyczerpana, trzeba jej pomóc. Dziś ledwie zdołała podnieść się z łóżka.

— Co tu dużo gadać, jestem gotów! — rzekł Roger już innym tonem. — A profesor się nie sprzeciwia?

— Nie. Powiedział, że sprawa przyjęła poważny obrót i pomoc jest konieczna.

Roger zapłacił rachunek i wstał.

— Chodźmy. Przedstaw mnie twojemu geniuszowi.

Wyszli znowu razem — Roger na rynek, Albert do biblioteki i do laboratorium.

— Nie podoba mi się tutaj — oświadczył Roger. — Nie wiem, ale to jakaś nieczysta sprawa.

— Jak będziesz na górze, wtedy zrozumiesz wszystko.

— Możesz mi chyba powiedzieć, co tam jest takiego?

— Tam... — Albert zaciął się szukając właściwych słów — tam są sztuczni ludzie.

— Maszyny? Roboty? Słyszałem o tych rzeczach!

— Nie, nie maszyny. Żywe istoty. No, ludzie. Tylko że stworzeni przez profesora Laurenta.

— Słuchaj no, w co ty minie wpakowałeś? — spytał Roger krzywiąc się. — Gdyby nie moje zasady, plunąłbym na tę brudną historię.

— Jakie zasady?

— Nie opuszczać przyjaciela, kiedy jest w potrzebie. Nie zostawiać bezbronnej kobiety. Taka ofiara jak ty na pewno tej drugiej zasady nie zrozumie.

— Jakiego jesteś zdania o Józefie? — spytał zamiast odpowiedzi Albert.

— Niedługo ci powiem, jakiego jestem zdania. I jak się naprawdę nazywa, też się dowiem, przede mną się nie wykpi.

— Co ty, Rogerze! Przecież Józef jest siostrzeńcem madame Laurent!

— Akurat takim, jak my obydwaj! Nie wiem, po co wykombinowali ten numer, ale Rogera Leroix jeszcze nikt nie wywiódł w pole.

— Doprawdy mówisz poważnie? — zaniepokoił się Albert. — Wobec tego trzeba porozmawiać z profesorem...

— Ani słowa profesorowi! — zachnął się Roger. — Sam wszystko wypenetruję. Twój profesor nie ma teraz głowy, żeby śledzić postępowanie żony. Nawet gdyby ten facet rzeczywiście był jej kochankiem... Ale ja mam duże wątpliwości.

Albert zirytował się.

— Co ty pleciesz, Rogerze! Widziałeś ich przelotnie, a uroiłeś sobie...

— Dobrze, sam się przekonasz — oświadczył Roger. — Powiadam ci, że ja mam oko na te rzeczy jeszcze jedno, warto by się zaopatrzyć w broń. Ć będzie nam dawał trochę forsy?

— Tu chodzi o co innego. Profesor zabrania broń przy sobie. Odebrał Józefowi rewolwer.

— Więc jednak Józef miał rewolwer! Wiedziałem, że to facet szpakami karmiony... No dobra, skoro nie wolno rewolweru, trzeba chociaż kastet nosić w kieszeni.

— Słuchaj, Rogerze, lepiej, żebyś w ogóle nie chodził na górę — rzekł zaniepokojony Albert. — We trzech zawsze sobie jakoś poradzimy.

— Dobrze, jak chcesz. Widzę już, że ta historia dobrze się nie skończy. Ale ja nie zwieję, możesz być pewny. Mówię ci jeszcze raz, że Roger Leroix nie opuszcza przyjaciół w biedzie.

— Dziękuję! — Albert popatrzył Rogerowi w oczy. — Jesteś niezawodny.

— Czy jestem niezawodny, tylko dziewczynki wiedzą! —

roześmiał się Roger. — No, ja idę w tę stronę.

Skręcił w wąską, pełną zieleni uliczkę. Albert stał i patrzył za nim. W ciągu jednej doby życie wzięło tak niespodziany i ostry zakręt, że po prostu zapierało oddech. I nie wiadomo było, co przyniosą najbliższe dni, nawet godziny...

— Ale jakież to pasjonujące! — rzekł do siebie Albert. — Tak pasjonujące, że nawet życia nie szkoda!

Rajmundowi Lemonier udało się dopiero przed wieczorem wymknąć z domu profesora. Przez cały dzień pomagał mu w laboratorium. Na dół schodził po to, żeby coś zjeść, i natychmiast wracał — nie podobał mu się ironiczny, badawczy wzrok Rogera. Ale teraz przynajmniej odpadł niepokój o Luizę. Ten ciemnoskóry marynarz ma stalowe bicepsy, lekko załatwi się z każdym robotem. A przy tym w gospodarstwie dzielnie się sprawia...

Wrócił z miasta ten rudy, krótkowzroczny Albert, i profesor natychmiast wysłał Rajmunda do apteki, widocznie chciał porozmawiać z Albertem na osobności. Rajmund miał świetną okazję, żeby zadzwonić do Peyronela. Zastał go jeszcze w redakcji.

— Niech pan zaraz przyjeżdża! Proszę złapać taksówkę, byle prędeej.

Wyprosił wszystkich z gabinetu, gdy tylko zjawił się Rajmund, i słuchał wysunąwszy dolną wargę, sapiąc przy tym głośno.

— Do stu diabłów! — powiedział wreszcie. — Sensacja nie z tej ziemi, a pan, mój chłopcze, jest prawdziwym bohaterem. Ale co będzie z Luizą?

--- Nie podobają mi się ci nowi pomocnicy profesora — powiedział Rajmund. — Madame Laureat na pewno będzie miała pożytek... zwłaszcza z Rogera... ale moje zadanie bardzo się komplikuje.

Peyronel sapał ciężko, pogrążony w myślach.

— A może to również dziennikarze? — zapytał.

— Nie przypuszczam. Albert jest rzeczywiście uczniem profesora. To fanatyk nauki. Widziałem, jak zawierał znajomość z Michelem i z resztą tych dziwotworów. Proszę mi wierzyć, że wcale się nie przestraszył. Zachowywał się tak, jakby go przedstawiano Charlie Chaplinowi albo, dajmy na to,

„miss Europe” — podziw i piekielne zainteresowanie, nic więcej. Profesor był bardzo zadowolony. A Roger to prosty chłopak, trochę nieokrzesany, ale za to chytra bestia. Raczej o nim można by pomyśleć, że jest agentem policji, który pozyskał zaufanie tego dziwaka Alberta.

— Tak... — mruknął Peyronel, oddychając ze świstem. — Myślę, że powinien pan wytrzymać tam jeszcze chociaż parę dni. Niech pan poprosi Luizę, żeby zadzwoniła albo napisała do mnie. Jeżeli tamci dwaj rzeczywiście będą dbać o jej bezpieczeństwo, pan niech się stara zebrać jak najwięcej informacji. Zdjęcia, Lemonier, proszę pamiętać o zdjęciach! Niech pan weźmie tę zabaweczkę, przyda się panu. — Podał Rajmundowi miniaturowy aparat wmontowany w papierośni cę. — W tej chwili jeszcze nie wyobrażam sobie, co i kiedy będziemy mogli dać, ale trzeba mieć przygotowany materiał! Nie wolno zmarnować takiej okazji! Słuchaj, Lemonier — zapytał nagle, wytrzeszczając oczy. — Czy to naprawdę możliwe, że ten Michel normalnie rozmawia?

— Rozmawia, daję panu słowo honoru — powiedział Rajmund wstrząsnawszy się.

— I jest pan pewny, że to nie człowiek? Wie pan, co mam na myśli — że nie matka go urodziła, lecz profesor Laurent stworzył w laboratorium?

— Człowiek? — zaprzeczył Rajmund. — Ależ skąd, gdyby pan mógł go zobaczyć!

Podobny, owszem, bardzo podobny do człowieka, ale człowiekiem nie jest!

— No, dobrze. Niech pan dzwoni codziennie. Jeżeli nie będę miał telefonu od pana, pomyślę, że stała się katastrofa... Zgadza się pan tam wrócić? Co?

— Tak! — Rajmund wstał.

— Doskonale, mój chłopcze! — Peyronel również się podniósł. — Byłem dwukrotnie na froncie, podczas pierwszej i drugiej wojny światowej. Mogę śmiało twierdzić, że jestem stary, doświadczony wyga i nie przeraża mnie niebezpieczeństwo. Ale to, na co pan teraz... — zamilkł na chwilę — to... Boję się tego, nawet siedząc tu w gabinecie. Jeśli wszystko będzie w porządku, Lemonier, pańska kariera jest zapewniona, ma pan moje słowo!

Rajmund wyszedł, czując niemal skrzydła u ramion. To jest prawdziwe życie! Olbrzymia sensacja, niezwykle przygody, czarująca kobieta i młody bohater — obrońca... Niech to diabli, ależ materiał na całą serią artykułów! I co najważniejsze — murowana kariera. Jakżeby inaczej! Nie każdy potrafi sprostać takiemu zadaniu!

*

— Wiedziałem, że z Chamfortem będą trudności wymówił profesor Laurent. — Nie przypuszczałem jednak, że tak się uprze. Będę musiał jutro sam pójść! Pan będzie mi towarzyszył. Tutaj zostanie Józef i ten pański Leroix. I Michel, oczywiście — dodał.

Albert westchnął. Ciągłe jeszcze nie mógł się uwolnić od uczucia jakiejś fantastyki — może to wszystko śni mu się? To najdziwniejsze w świecie laboratorium, i te dziwaczne, człowiekopodobne istoty, i błękitne, niesamowicie błyszczące oczy Michela... Ach nie, trudno nawet we śnie coś takiego zobaczyć!

— Chamfort nie wyjaśnił, dlaczego odmawia współpracy? — spytał po chwili profesor.

— Nie. Przyjął mnie stojąc i powiedział, że już dawno uprzedzał pana... iż nie będzie dłużej tym się zajmował. Dodał jeszcze, że nie może zapomnieć Saint-Ivesa... Nawet krzyknął.

— No, oczywiście — w głosie profesora brzmiało przygnębienie. — Nie może zapomnieć Saint-Ivesa. A ja? i Czy on myśli, że ja zapomniałem? Michel wie najlepiej, że tak nie jest.

Michel powiedział swoim jednostajnym głuchym głosem:

— Pan bardzo często wspomina Saint-Ivesa. Konieczność pomocy i poczucie winy.

Złożony kompleks.

Profesor Laurent, który spacerował po pokoju, gwałtownie zatrzymał się przed Michelem.

— Co ty pleciesz? — zapytał ostro.

— A czy to nieprawda? — ton Michela był niezmacony. — To się daje bardzo łatwo zauważyć.

Laurent wybuchnął trochę nienaturalnym śmiechem.

— No, proszę! Całkiem niepotrzebna komplikacji On

zaczyna się bawić w analizę psychologiczną mojej osoby. Jeszcze trochę i staniesz się freudystą!

— Tego nie rozumiem — rzekł Michel.

— I nie potrzeba. Freuda nie czytaliśmy — wyjaśnił profesor Albertowi. — A w ogóle, to on masę czytał i wiele zagadnień można z nim konsultować lepiej niż ze mną. Ma przecież idealną pamięć, niemal jak mózg elektronowy. A przy tym zdolność myślenia, której tamten nie posiada. Wydaje się nam dziwny, nie podlega bowiem stanom emocjonalnym... prawie nie podlega...

— To brak pewnych hormonów — wyjaśnił Michel.

— Widzi pan! — Profesor uśmiechnął się. — On w ogóle wszystko wie. No, Michel, opowiedz Duclosowi, jak jesteś skonstruowany, a ja tymczasem popracuję z François. Muszę skończyć pewne obliczenia. Opowiedz również o innych. Profesor Laurent odszedł do stolika, przy którym siedział pogrążony w obliczeniach François — dziwaczny stwór z czerwoną twarzą, w której ludzkie rysy zaledwie były z grubsza zaznaczone.

— Mam wiele cech charakterystycznych, którymi różnię się od tamtych — mówił równym, spokojnym głosem Michel wskazując ruchem głowy swoich osobliwych współbraci.

— Tworząc nas, profesor Laurent postawił sobie różnorakie zadania. Ja zostałem stworzony jako model pokazowy. Mam najdoskonalszy i harmonijnie rozwinięty mózg. W pewnym sensie jestem doskonalszy od człowieka, prawie nie odczuwam zmęczenia, mam bardzo dobrze wyrobioną pamięć, nic nie zapominam. Wielu rzeczy zupełnie nie znam, ale to już sprawa wykształcenia i środowiska. Nie rozmawiałem z nikim poza profesorem Laurentem i Saint-Ivesem...

— Co tam znowu gadasz o Saint-Ivesie! — zawołał z irytacją profesor.

— Mówię tylko, że znałem Saint-Ivesa — wyjaśnił spokojnie Michel.

Laurent podszedł do niego nerwowym krokiem.

— Ty już zaczynasz fantazjować! Nie mogłeś widzieć Saint-Ivesa!

— Pan wielu rzeczy nie bierze pod uwagę — rzekł Michel.

— W owym czasie mózg mój był całkowicie rozwinięty.

Potrafiłem widzieć, gdyż analizator był już podłączony. Doskonale pamiętam Saint-Ivesa.

— Do ostatniej chwili? — głos Laurenta był dziwnie zmieniony.

— Tak. Chociaż pod koniec pewne rzeczy uświadamiałem sobie już niejasno. Pobudzenie motoryczne i zaciemnienie świadomości...

Profesor nie odpowiadał. Wargi mu drżały.

— Jak wyglądał Saint-Ives? — zapytał głucho.

— Szczupły, niezbyt wysoki. Jasne włosy, błękitne oczy, bardzo białe zęby, często się uśmiechał. Podobał się kobietom.

— Niesłychane! — powiedział zdetonowany Laurent. — Skądże ty wiesz o takich rzeczach?

— Pan o tym mówił i Chamfort, i on sam. Wiem, że to prawda.

— Okazuje się, że znasz również Chamforta?

— Tak, znam. On bardzo lubił Saint-Ivesa. Natomiast nie lubił pana.

— Wiem, że potrafisz odbierać emocje za pośrednictwem rozumu. Ale wówczas jeszcze tego nie potrafiłeś.

— Tak, jednak wszystko pamiętam. Teraz wyciągnąłem wnioski.

— No dobrze, opowiadaj dalej. — Profesor wrócił do stolika.

— Moja czaszka i szkielet są z plastyku. Początkowo skóra i mięśnie twarzowe narastały na tej formie. Ale skóra jakoś się profesorowi nie udaje. Ja byłem przeznaczony na model pokazowy, dlatego w końcu i twarz zrobili mi sztuczną. Mam nawet zęby, chociaż nie są mi potrzebne.

— Niepotrzebne? — przerwał Albert.

— Oczywiście. My wszyscy odżywiamy się sztucznie, nie posiadamy jelit. Tylko Paul ma wszystko, nawet gruczoły płciowe, ale on też odżywia się sztucznie i jego przewód pokarmowy nie jest w pełni rozwinięty... Paul, chodź no tutaj — zawołał Michel.

Z wąskiej kanapki, obitej ciemnoczerwoną ceratą, podniósł się Paul i zbliżał się do nich dziwnym, balansującym krokiem. Twarz miał wykrzywioną, jak gdyby wskutek

paraliżu. Miękki, trochę na lewo odchylony nos, gąbczaste policzki, niskie, pochyłe czoło, mokre, półotwarte wargi, małe, mętne oczki. Albert mimo woli odwrócił wzrok od tej twarzy, należącej jak gdyby do stałego pacjenta kliniki psychiatrycznej.

— Siadaj, Paul — powiedział Michel i tamten posłusznie usiadł, opierając długie ręce na kolanach. — Paul został stworzony z innym założeniem. Miał sam rosnać. Wszystko było tak zrobione, żeby sam rósł. Oczywiście znacznie szybciej niż ludzie, no i z pomocą profesora. W ciągu czterech lat osiągnął to stadium, jakie człowiek mógłby osiągnąć dopiero w siedemnastym lub osiemnastym roku życia. Działanie hormonów sprawdzano tylko na nim.

Paul w rezultacie wypadł zanadto uczuciowy, bardzo pobudliwy. Paul, jak się czujesz po wczorajszym? Paul uśmiechnął się krzywo, pokazując nierówne żółtawe zęby.

— No, powiedz... On nie lubi mówić... Trzeba go zmuszać. No, powiedz.

— Wyspałem się dobrze — odezwał się cichym, skrzypiącym głosem. — Tylko bolą mnie plecy.

— To jego stała dolegliwość. Widocznie ma za słaby kręgosłup... Posiedź z nami, Paul.

— Ja chcę do Pierre'a — zaskrzypiał.

— Nie można do Pierre'a, siedź tutaj... Pierre jakoś dziwnie na niego działa. Nie możemy się jeszcze zorientować, o co tu chodzi.

— Ja kocham Pierre'a — zaskrzypiał Paul z grymasem uśmiechu.

--- Nonsens — oświadczył autorytatywnie Michel. — Kochać można człowieka, ale Pierre'a nie.

— Można — upierał się Paul. — Pierre jest dobry. Ja nie mam kogo kochać. Profesora się boję. A ty jesteś bez serca.

— Ja mam sztuczne serce — wyjaśnił Michel. — To daje większą gwarancję. I płuca także. Profesor Laurent i Saint-Ives nie chcieli nic ryzykować w trosce o mój mózg. Ale to nie znaczy, że jestem nieczuły — powiedział do Paula. — Uczucia to coś zupełnie innego.

— Ty nawet nie rozumiesz, co to znaczy kochać. Masz tylko mózg i nic więcej — mówił Paul. — A Pierre jest dobry i

kocha mnie. Nikt mnie nie kocha prócz niego.

— Słyszysz pan, profesorze, jak się rozgadał? — Michel z zainteresowaniem przyglądał się Paulowi. — Rozwija się, staje się bardziej złożony.

— Słyszę. — Laurent znowu podszedł do nich. — No, proszę, wytłumacz mi, co to jest miłość.

Paul poruszył się niespokojnie.

--- Wytłumaczyć? Nie mogę tego wytłumaczyć. Pierre jest najlepszy ze wszystkich i tyle! I kocha mnie.

— A ja? Czy ja cię nie kocham? — zapytał profesor.

— Pan? Nie! — twarz Paula zadrgała spazmatycznie. — Wiem, że pan chce mnie przerobić. I Pierre'a też. A my nie chcemy. Wolimy zostać tacy jak teraz. W przeciwnym razie moglibyśmy zapomnieć o sobie.

— Co-o? — zawołał zdumiony Laurent. Do stu diabłów, Duclos, słyszałeś coś podobnego?

— To są przecież normalne ludzkie uczucia — wtrącił nieśmiało Albert. — Jeżeli Paul ma nie tylko mózg, Jak w przypadku Michela... Profesor powiódł ręką po czole i odwrócił się.

— Tak, naturalnie... normalne ludzkie uczucia — mruknął. — Normalne uczucia... nic podobnego, po prostu za mało uwagi poświęcamy jego mózgowi!

— Można wzmocnić i trochę zmienić zasilanie mózgu — wtrącił się Michel. — Jeszcze nie jest za późno. Paul ciągle rośnie. Zapisuję wszystkie dane.

— Dlaczego nie wspomniałeś mi o tym?

--- Uważał pan Paula za model nieudany, fetory należy przerobić. Jestem tego samego zdania. Może jednak warto wypróbować inną kombinację zasilania. Paul stał się bardziej interesujący. Ale równocześnie bardziej niebezpieczny.

Paul obrzucił ich szybkim spojrzeniem. Albert gotów był przysiąc, że w mętlawych, niewyraźnych oczkach błysnęła wściekłość. Natychmiast jednak spuścił oczy i znów na jego twarzy ukazał się karykaturalny uśmiech.

— Ja zawsze byłem lepszy — zaskrzypiał. — Zawsze kochałem Pierre'a. Tylko że pan tego nie widział.

Profesor Laurent patrzył na niego z mieszaniną szczególnego zainteresowania i smutku.

— Zawsze? — powtórzył. — Nawet wtedy, gdy razem z François chcieliście zniszczyć Pierre’a? Pamiętasz to?

Zamazana twarz Paula drgnęła konwulsyjnie, plamy zaznaczyły się mocniej.

— To nie był Pierre — wymówił z trudem. — Tylko sam mózg.

— I właśnie mózg mu uszkodziłeś. Dlatego jest taki.

--- Jest dobry!—powiedział z wyzwaniem Paul. — Zwyczajnie nie starczyło panu na niego materiałów. To nie jego wina. Stroił miny, wymachiwał długimi, niezdarnymi łapskami. Albertowi zdawało się, że ma przed sobą rozhukanego, źle wychowanego wyrostka. Profesor pomacał puls Paula, wywrócił mu powieki.

— Michel, zmierz mu ciśnienie — polecił.

Michel przyniósł aparat, Paul zawinął posłusznie rękaw granatowej bawełnianej bluzy, obnażając sflaczałe, plamiste ramię o wysadzonych, jakby opuchniętych stawach.

— Górna granica — dwieście dziesięć, dolna — sto dwadzieścia — oznajmił Michel.

— Widzisz, zdenerwowanie jest dla ciebie szkodliwe — powiedział łagodnie profesor. — Prześpij się teraz. Weź T-24, masz, połknij. — Dał Paulowi tabletkę.

— Ja tylko poleżę, jestem wyspany — opierał się Paul.

Powlókł się swoim rozchwianym krokiem do kąta za parawanem. Pierre natychmiast wstał i poszedł za nim. Usiedli obejmując się ramionami i Paul zaczął coś szeptać Pierre’owi do ucha. Profesor patrzył na nich zatroskany.

— Ta-ak, a to dopiero historia! — powiedział i znowu wrócił do François.

— Paul mimo wszystko jest nieudany — rzekł Michel. — Nie chodzi już o jego nadmierną pobudliwość, ale zwyczajnie jest słaby i mało odporny. Ma wątły szkielet i nie wytrzymuje szybkiego wzrostu, coraz częściej uskarża się na bóle, drętwieją mu ręce i nogi. Następnie — widział pan jego twarz? Zupełnie się wykrzywiła. Robię mu masaże elektryczne, ale to niewiele pomaga. Może umrzeć, przecież on jest zupełnie jak człowiek, wszystko ma własne — ręce i nogi.

— Czyżby pan?... — zdziwił się Albert. Michel wyciągnął białą, arystokratycznego kształtu rękę o podłużnych,

wypukłych paznokciach, misternie odrobionych.

— Oczywiście że nie. To są właściwie protezy. Poruszone bioprzadami. Zmysł dotyku zastępują mi specjalne transformatory — czujniki. Posiadam ogromną wrażliwość, w każdym razie bardziej precyzyjną niż Paul — u niego wiecznie występują jakieś zaburzenia, to ból, to drętwienie, to znów skarży się na gorąco albo na zimno. Ja wszystkie bodźce odbieram prawidłowo. I ruchy mam prawidłowe. Paul oczywiście jest pierwszym modelem tego typu, następne, być może, wypadną lepiej. Ale jestem przekonany, że mój model jest lepszy w samym założeniu. I powinien służyć nie tylko do demonstracji. Po cóż tworzyć człowieka na nowo, skoro jest tak niedoskonały? Trzeba poprawiać naturę.

— Zaczynasz się przechwalać, Michel — powiedział z uśmiechem profesor. Wstał i przeciągnął się. — No, Duclos, jak się panu podoba Michel?

Albertowi zaświeciły oczy:

— Profesorze, to cudowne! Wydaje mi się, że śnię!

— I mnie czasami się zdaje, że to jakieś sensne majaczenie — rzekł profesor. — Choć należałoby się już przyzwyczaić... Pewnie pan jest głodny?

Albert uśmiechnął się z pewnym zażenowaniem. Profesor wyjął brunatnoczerwoną tabletkę i włożył ją do ust.

— Niech pan zejdzie na dół. Ja przyzwyczailem się do tabletek, ale pana nie chcę w to wciągać. Zresztą zapas mam nieduży.

Na dole panowała cisza. Albert zajrzał do jadalni, do kuchni — nigdzie nie było Rogera.

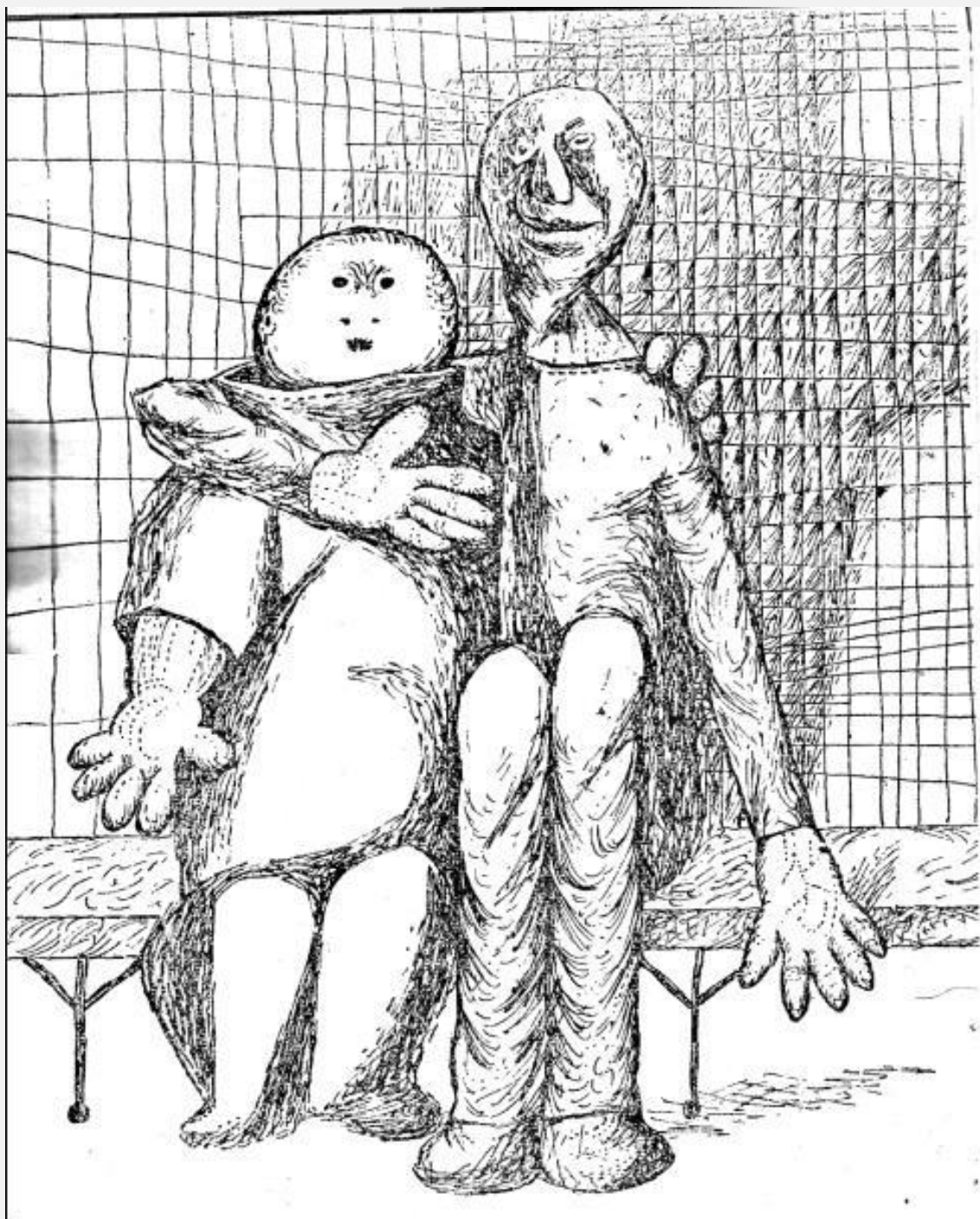
— Hej, Rogerze! — zawołał głośno. Usłyszał ciche pośpieszne kroki.

— Czego się drzesz? — spytał półgłosem Roger wyłaniając się z głębi korytarza.

Albert wytrzeszczył na niego oczy. Roger był porządnie ogolony, policzki i broda aż się mieniły niebiesko i w ogóle cały był jakiś wyświeżony, elegancki, uroczysty.

— Ciszej, Luiza śpi! — powiedział.

Albert przycisnął usta dłonią, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Doprawdy, ten Roger jest jedyny w swoim rodzaju! Wystarczy, żeby zobaczył kobietę...



— Tyś chyba zwariował, mój drogi — wykrztusił łapiąc oddech. — Patrzcie państwo — Luiza!

— Sam jesteś wariat! — syknął zapalczywie Roger, popychając go w stronę kuchni. — Nie mogę tego młodego dziewczątka nazywać madame. To nie w moim stylu, wiesz... Nie wyobrażaj sobie Bóg wie czego, nie jestem przecież

bałwanem i wiem, że jej te rzeczy nie w głowie. Ale wy wszyscy dostaliście bzika na punkcie tych tam potworów, a o biednej małej nikt nie pomyśli, nawet mąż... ten twój geniusz! Chcesz trochę podezreć? Siadaj, zaraz zobaczysz, co Roger Leroix potrafi zrobić dla przyjaciela!

Nałożył Albertowi pełen talerz jakiejś dymiącej potrawy, apetycznie pachnącej i ostro, na Sposób południowy, przyprawionej. Albert, błogo mrużąc oczy, zaczął ją pochłaniać z wręcz błyskawiczną szybkością. Roger przyglądał mu się dobrotnie.

— A to — uchylił pokrywkę na małym, niebieskim rondelku — dla Luizy. Rosół z kury i kotleciki. Musi nabrać sił. — Nalał Albertowi kawy. — Pij! Będę was tu karmił, że wam oczy wyjdą na wierzch. Kiedy płynęliśmy do Valparaiso, kucharz nam zachorował na środku oceanu... Możesz mi wierzyć, że załoga nic na tym nie straciła, bo na pokładzie był Roger Leroix! Kapitan chciał mi dać podwójną gażę... Albert znał już tę historyjkę, zawsze jednak podejrzewał, że Roger z lekka koloryzuje, podobnie jak na temat swoich sukcesów u kobiet. Tymczasem wszystko okazywało się bardzo bliskie prawdy...

— A madame Laurent nie czuje się obrażona, że od pierwszego dnia zaczęłaś ją nazywać po imieniu? — zapytał.

— Kobiety nigdy nie obrażały się na Rogera Leroix! — oświadczył z dumą. — A poza tym, ja wcale nie nazywam jej po imieniu. Z babkami to niebezpieczne, jeszcze popłaczą się imiona. Znacznie lepiej mówić: „moje dziewczątko”, „moja maleńka” — to do każdej pasuje, żeby nawet była jak wieża Eiffla.

--- Słuchaj no, Roger ze... — Albert na serio się zaniepokoił.

— Nie bój się, wszystko zależy od tonu — mówił Roger autorytatywnie. — Widzisz, że śpi. Bez środków nasennych, a sama opowiadała, że nawet w nocy nie mogła spać ze strachu. A dlaczego śpi? Bo każda babka, o ile nie jest stuprocentową idiotką, doskonale wie, że na Rogerze Leroix można polegać!

Albert wstał. Paplanina Rogera zaczęła go irytować.

— Chodźmy na górę — zaproponował. — Poproszę profesora, żeby ci przedstawił swoich przyjaciół.

— No dobra, idziemy — powiedział Roger niezbyt zachwyconym tonem. — Prawdę mówiąc, po kiego diabła mi ta znajomość, ale zawsze to ciekawe.

Profesor Laurent zgodził się z tym, że trzeba Rogerowi pokazać laboratorium i wytłumaczyć, jak należy się obchodzić z jego mieszkańcami. Albert otworzył drzwi i Roger wszedł, uważnie się rozglądając. Nic się nie zmieniło — profesor pracował z François, Paul i Pierre siedzieli za parawanem, Michel w fotelu czytał książkę, robiąc notatki w dużym zeszycie.

— Michel, przedstawiam panu mojego przyjaciela, Rogera Leroix — powiedział Albert.

Roger ostrożnie wyciągnął rękę, gapiąc się na Michela. Gdy wymienili uścisk dłoni, tak samo ostrożnie cofnął rękę, nie wiedzieć czemu powąchał ją i wsunął do kieszeni.

— Nie mam żadnego zapachu — rzekł Michel beznamiętnym głosem.

— To tak odruchowo... niech pan się nie obraża — bąknął Roger.

— Ja się nie umiem obrażać.

Roger zerknął na niego spode łba.

— A ja umiem — powiedział z naciskiem.

— Nie strugaj wariata, Rogerze, nikt nie ma zamiaru cię nabierać — wmieszał się Albert.

— Poznajcie się z François.

François tak mocno uściśnął rękę Rogera, że ten mimo woli jęknął:

— Ale niedźwiedź! — To pewnie mistrz w boksie?

— Nie, François jest matematykiem — odpowiedział profesor Laurent. — Ale muskuły ma też wspaniale rozwinięte. Trudno mu dać radę.

— Przypuszczam, że jednak można — rzekł Roger. — Dżu-dzitsu znasz, przyjacielu?

François pokręcił głową przecząco.

— No właśnie, a to pierwszorzędna sztuka! — Roger ożywił się. — Chcesz, to ci pokażę?

Profesor uśmiechnął się z lekka, spoglądając z zaciekawieniem na Rogera.

— François teraz pracuje — powiedział.

— Chodźmy, Rogerze — zaczął przynaglać Albert. — Popatrz jeszcze na Paula i na Pierre'a, a resztę wyjaśnię ci na dole.

Zajrzeli za parawan. Paul leżał na sofce, oczy miał otwarte, nieruchomo utkwione w sufit. Pierre siedział przy nim.

Na dole Roger, wstrząśnięty do głębi, powiedział:

— Gdybym wierzył w Boga, myślałbym, że ten twój profesor jest wcielonym diabłem. Psiakrew, nikt by nie dał wiary, gdyby to nawet komu opowiedzieć! Na przykład ten Michel, przecież on jest kropka w kropkę podobny do człowieka. Ja naprawdę myślałem, że zrobiłeś mi kawał. Ale tamci — okropność! I on przez cały czas był z nimi sam? Wiesz co, nikt nie nazwie Rogera Leroix tchórzem, ale tego z niczym nie można porównać! Ja bym nawet godziny nie zgodził się tam przesiedzieć.

— Rogerze, jutro wychodzimy z profesorem na jakieś trzy godziny. Józefowi samemu też nie będzie tam przyjemnie. Zresztą to niebezpieczne. Musisz podyżurować z nim na górze. Profesor zostawi dokładne instrukcje, jak należy w razie czego postępować. Pamiętaj, żadnej broni. Nie bić ich. Zacisnąć tylko mocno rurkę, którą mają na szyi, i trzymać, dopóki Michel nie zrobi zastrzyku.

— Wesoła robótka, szkoda gadać — warknął Roger.

— Nie zapominaj o niebezpieczeństwie. Obserwuj zwłaszcza François, którego chciałeś nauczyć dżu-dżitsu i Paula — to ten, co leżał za parawanem. Michel z pewnością będzie wam pomagał.

— Zgoda — rzekł niechętnie Roger. — Będę uważał. A ten Józef nie stchórzy, nie zwieje stamtąd?

— Profesor mówi, że jest odważny. Uratował mu życie.

— Zgoda — powtórzył Roger. — Zobaczymy tę jego odwagę.

W nocy Rajmund nie mógł spać. Leżał i patrzył w sufit, na którym migąła świetlna plama — odbłask ulicznej latarni. Drzewa za oknem szumiały głucho i niespokojnie, chwilami zaczynał kropić deszcz i rzadkie krople ciężko uderzały w gzyms nad oknem. Rajmund wiercił się na niewygodnej amerykańce, podziwiając Alberta śpiącego spokojnie z półotwartymi ustami. W mglistym świetle nocy jego twarz bez okularów wyglądała niemal dziecinnie.

„Czemu właściwie mam tutaj spać? — myślał Rajmund

przysłuchując się z mimowolnym strachem i odrazą dziwnym, chrypiącym oddechem François i Michela, którzy spali niedaleko na twardych kozetkach. — Ktoś jęknął przez sen... To pewnie Paul... tam za parawanem... Na dole wygodniej spać... Dlaczego tam sypia Roger Leroix... Tam jest Luiza, a on tak na nią patrzy, jakby się znali od stu lat... Ach, prawda, on musi najwcześniej wstawać i iść po zakupy... Mimo wszystko wolałbym i ja sypiać na dole... Profesor chyba też nie śpi... Jaki dziwny jest ten pokój... Aha, to były przedtem dwa pokoje, na suficie widać źle zamalowany ślad po ścianie działowej. Wyszła z tego niemal sala, z dwoma rzędami okien... No tak, teraz znacznie wygodniej mieć na oku wszystko, co się dzieje w laboratorium... Boże, jakież okropne jest życie profesora... bez przerwy sam jeden z tymi monstrami, w dodatku ciągle niebezpieczeństwo... Co za siłę woli trzeba mieć, żeby wytrwać samotnie, bez pomocy... Luiza... tak, Luiza jest przez niego nieszczęśliwa...”

Otworzył oczy i w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, gdzie się znajduje. Za oknami jaśniało słońce, świergotały ptaki, a tu w laboratorium dalej płynęło fantastyczne i złowieszcze życie. Z łazienki wyszedł Michel rozczesując po drodze gęste, jasne włosy.

Albert siedząc na posłaniu, wodził za nim wzrokiem pełnym zachwyty.

— Wyobraża pan sobie, on się myje i czyści zęby — rzekł cicho do Rajmunda.

Michel usłyszał to i wyjaśnił jednostajnym głosem:

— Muszę dbać o higienę. W przeciwnym razie brud może zatkać pory, a zęby też prędzej się zniszczą.

Rajmund wstrząsnął się febrycznie. Tfu, do diabła! Zaczął się szybko ubierać. Profesor Laurent siedział już przy stoliku i patrzył, jak François robi obliczenia. W twarzy jego nie było kropli krwi i kiedy spuszczał oczy, wyglądał jak trup.

Niebawem nadszedł Roger, poprosił ich na dół i uraczył smacznym śniadaniem. Po filiżance mocnej czarnej kawy Rajmund poczuł się nieco raźniej.

— A więc mamy spędzić parę godzin w przyjemnym towarzystwie — rzekł zwracając się do Rogera.

— Ha, trudno — mruknął Roger bez zbytniego entuzjazmu.

Profesor również zszedł na dół i po jakimś czasie ukazał się starannie ogolony, w eleganckim szarym ubraniu i w śnieżno-białej koszuli. Ale na twarzy znać było jeszcze większe zmęczenie.

— Michel, ci dwaj panowie zostaną z tobą — powiedział. — Ja muszę wyjść do miasta. — Gdyby François albo Paul zachowywali się zbyt nerwowo, pomóż ich uspokoić. Jeżeli ty sam wpadniesz w rozstrój, dostaniesz T-21.

— A może od razu dać im T-24? — spytał Michel.

— Nie. François musi do wieczora zakończyć ważne obliczenia. Będzie używał maszyny do liczenia. A Paul nawet w nocy źle sypia bez środka nasennego, nie trzeba go przyzwyczajać do T-24. Dziś przecież nie przeprowadzałem z nim żadnych doświadczeń, więc powinno się obejść bez awantury. My niedługo wrócimy. Boisz się?

— Tak. François jest niewyraźny. Paul również. A tym samym i Pierre.

— Bądź spokojny. We trzech poradzicie sobie — rzekł profesor po krótkim milczeniu. — Zamknijcie dobrze drzwi.

Wyszedł wraz z Albertem. Rajmund i Roger zamknęli drzwi na klucz i usiedli w pobliżu Michela. Przypatrywał im się uważnie swoimi dziwnymi, jasnoniebieskimi oczami.

— Czy panowie będą pracowali z profesorem? — zapytał.

— Tak... — potwierdził Rajmund, zakrztusiwszy się.

— To dobrze. Jest mu trudno samemu. Bardzo trudno. François pomaga tylko w obliczeniach, ja czytam literaturę, robię notatki i przeprowadzam niektóre doświadczenia. Ale profesor od dawna nie mógł nigdzie wyjść. Ja też nie mogłem. Przecież ja nic nie wiem, co się tam dzieje. — Szerokim gestem wskazał na okna.

— A nie nudzi się panu tutaj? — zapytał Rajmund czując, że mówi głupstwo.

Michel uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Ja się nigdy nie nudzę. Mam książki, mam moje obowiązki. A odkąd zacząłem osiągać wyższe stadia rozwoju, często zastanawiam się nad sobą...

Roger wybałuszył oczy.

— Myślę o swojej przyszłości... o tym, co sobą reprezentuję i czym się różnię od ludzi... i jaki jest pożytek z mego

istnienia...

Rajmund nerwowo zabębnił palcami po oparciu krzesła.

— Hm... tak! To wszystko są bardzo szlachetne myśli...

— Szlachetne? — przerwał Michel. — Nie rozumiem dobrze tego słowa.

— Nie rozumie pan? Przecież pan świetnie mówi... po francusku.

— Mówię również po angielsku, po niemiecku i po rosyjsku. Ale czytam wyłącznie literaturę techniczną. Saint-Ives był zdania, że powinno się dawać mi również literaturę piękną dla wzbogacenia horyzontu myślowego i słownictwa... Ale profesor dotychczas nie znalazł na to czasu, byłem zanadto obciążony pracą.

— A może pan teraz spróbuje poczytać? — zaproponował Rajmund. — W moim pokoju jest Maupassant, jest Tolstoj i Hemingway. Zejdiesz na dół, Rogerze, czy ja mam to zrobić?

— Zejdę — powiedział skwapliwie Roger, czując, że za nic w świecie nie zostanie tutaj sam. — Przy okazji zobaczę, jak się czuje... madame Laurent.

Luiza spała. Jej blada twarz lekko się zaróżowiła, wargi rozchyliły, wyglądała we śnie jak mała dziewczynka. Roger wyszedł z pokoju na palcach i skoczył po książki. Przy okazji złapał jeszcze dla siebie jakiś kryminał w jaskrawej okładce. Na górze dalej panował spokój. Michel z ciekawością spojrział na książki. Rajmund po krótkim namyśle dał mu tomik opowiadań Maupassanta. Roger zatopił się w lekturze powieści kryminalnej. Michel, ukradkiem obserwowany przez Rajmunda, z zadziwiającą szybkością odwracał kartki. Skończył czytać jedno opowiadanie, zaczął następne, po chwili jednak przerwał i wzruszył ramionami. Potem znów przeczytał pierwsze opowiadanie.

— Tak, to jest literatura zupełnie innego gatunku — zauważył.

— Czy pan może czegoś nie rozumie? — zapytał Rajmund.

— Nie bardzo rozumiem, w jakim celu to wszystko zostało napisane.

Rajmund zajrzał do książki. Chodziło, o jedno z najbardziej poetyckich opowiadań Maupassanta „Światło księżycy”.

— Mówił pan, że zastanawia się pan nad sobą. Prawie

wszyscy ludzie czynią to samo. Zastanawiają się, kim są, po co istnieją, co jest w ich życiu wartościowego. Zrozumiały, że myślą również o miłości...

— Ja wiem, co to jest miłość — rzekł spokojnie Michel. — Jej źródłem jest instynkt zachowania gatunku i poza tym jeszcze zgodność charakterów.

Roger otworzył już usta, by zaprotestować, lecz Rajmund dał mu znak.

— To raczej trochę uproszczona definicja — powiedział. — Niekiedy zgoła nie ma i nawet nie może być mowy o zachowaniu gatunku. A charaktery kochających się bywają diametralnie różne.

— Taka miłość nie może być trwała — oświadczył doktrynerskim tonem Michel. — Nie ma istotnego podłoża.

Tym razem Roger nie wytrzymał.

— Słuchaj, przyjacielu — zaczął. — Weź na przykład mnie, nigdy nie byłem żonaty i nie mam dzieci. — To by według ciebie znaczyło, że nigdy nie kochałem?

— Z pewnością nie — powiedział Michel. — To są talk zwane romanse. Czytałem o tym.

— Czytałeś! No, a gdybyś ty... — zaczął zjadliwie Roger i nagle urwał...

— Ja nie posiadam płci. Jestem w zasadzie tylko mózgiem — odparł z niezmaconym spokojem Michel. — Ale proces myślenia pozwala mi wszystko zrozumieć.

— No dobrze — włączył się Rajmund. — Jeżeli pan wszystko rozumie... Weźmy na przykład profesora Laurenta i jego żonę, oni przecież nie mają dzieci, a jednak... — Umilkł, przykład był wyraźnie niefortunny, a co więcej — nietaktowny.

— Toteż oni się nie kochają — stwierdził beznamietnie Michel. — Profesor w ogóle nie potrafi kochać. On również jest właściwie tylko mózgiem.

— To-to! — zachwycił się Roger. — Nic dodać, nic ująć. Widzę, przyjacielu, że twój globusik nieźle pracuje!

— Globusik? — zdziwił się Michel.

— To taka gwara, Roger jest marynarzem — wyjaśnił Rajmund. — Chce przez to powiedzieć, że pan bardzo ciekawie rozumuje.

— Wobec tego, czemu się ze mną nie zgadzacie?

— Życie jest o wiele bardziej skomplikowane, niż pan je sobie wyobraża — powiedział ostrożnie Rajmund.

— Na pewno jest to pozorna... — zaczął Michel.

Przerwał mu łoskot. François zerwał się, przewracając stół i krzesło. Stał, groźnie pochylany, i chwiał głową jednostajnym ruchem jak niedźwiedź. Twarz mu poszarzała.

Michel chwycił za strzykawkę.

— Postarajcie się złapać go z tyłu i przytrzymać — szepnął.

— Przede wszystkim trzeba mocno ścisnąć rurkę na szyi.

Roger i Rajmund próbowali zejść François od tyłu, lecz on powolnym, groźnym ruchem odwrócił się plecami do ściany.

— Uwaga! — Roger niespodziewanie padł mu pod nogi i przerzucił przez siebie zwaliste cielsko. — Trzymaj go!

Rajmund już siedział okrakiem na François i z całej siły ścisnął elastyczną rurkę, odchodzącą od jego krótkiego, potężnego karku. François charczał. Michel podszedł ostrożnie i wbił igłę u nasady rurki. Głowa François opadła na bok, ciało zwiotczało, oczy się zamknęły.

— Potraficie go unieść?... O tam... — głos Michela nagle się załamał. — Każcie mi... połknąć...

Otworzył szeroko usta, ręce i nogi zaczęły mu podrygiwać jak w obłąkanym tańcu, z ust wyrwało się cienkie, wibrujące wycie. Rajmund chwycił przygotowaną na stoliku tabletkę.

— Połknij! — krzyknął rozkazująco. — Połknij! — Ścisnął gorącą, rozdygotaną rękę Michela, przełamując strach i obrzydzenie, i wsunął w drgające, otwarte usta tabletkę.

Michel z konwulsyjnym wysiłkiem przełknął. Przycisnął do piersi kurczowo zaciśnięte dłonie, jakby chciał powstrzymać krzyk. Po upływie kilku sekund oddech jego stał się równiejszy, napięcie wyraźnie mijało. Osunął się na krzesło i zamknął oazy.

— To... działanie stymulatorów... — mamrotał. — Na razie trudno to jeszcze uchwycić...

Roger mruknął coś niewyraźnie, stojąc z wlepionymi w niego oczami.

— Co zrobić z tym? — wskazał na François.

Michel zerwał się. Widocznie już całkowicie przyszedł do siebie.

— Trzeba go zanieść na kozetkę w rogu — powiedział rzeczowym tonem. — Niepokoi mnie co innego... — Zajrzał za parawan. — Co to znaczy, Paul?

Za parawanem milczenie. Rajmund i Roger podeszli bliżej. Paul leżał z oczami w słupek, usta miał otwarte. Pierre stał nad nim bezradnie rozłożywszy krótkie, ciemne ręce.

— Co on zrobił, Pierre? — zapytał Michel. — Pokaż, co on zrobił?

Pierre zaczął nerwowo poruszać rękoma i bezkształtnymi, okrągłymi ustami, pokazując, że Paul coś połknął... jeden... dwa... trzy... cztery... pięć...

— T-24? Tak? To, po czym się zasypia? Pierre gwałtownie kiwnął głową.

— Źle! Pięć tabletek! — Michel zastanawiał się chwilę. — No tak!

Podbiegł do szafki wiszącej na ścianie.

— Zamek zepsuty! Nie darmo ciągle obserwowałem Paula. Czułem niebezpieczeństwo! — Wyjął probówkę z czerwonym krystalicznym proszkiem i dwie ampułki z żółtym olejowym płynem, przygotował mieszanekę i napełnił strzykawkę. — Pierre, załóż gumę!

Pierre z nieoczekiwaną zręcznością przewiązał gumą bezwolnie wiszącą rękę Paula.

Michel wprowadził igłę do żyły w zgięciu łokcia. Paul nie drgnął, spod półotwartych powiek martwo połyskiwały białka.

— Teraz potrzebuję ciepłej wody — rzekł Michel wyciągając igłę. — Zrobimy mu płukanie żołądka.

— Przyniosę z dołu — zaofiarował się Roger.

— Co się właściwie stało? — spytał Rajmund. Michel ujął rękę Paula.

— Puls bardzo słaby... To się nazywa samobójstwo. Paul chciał umrzeć.

— Ale dlaczego?

— Nie wiem. To głupota... Zaraz, puls się poprawia. Przypuszczam, że zdołamy go uratować...

Po przepłukaniu żołądka Paul dalej leżał nieruchomo i bezsilnie, jednak na twarzy widać było pewną zmianę — powieki opadły, usta się zamknęły, wyglądał na śpiącego.

— Puls jeszcze bardzo słaby — powiedział Michel. — Zaraz



mu wstrzyknę kamforę. Pierre, wytłumacz mi, dlaczego Paul zażył T-24?

Pierre gestykulował bezładnie i myczał. Michel słuchał uważnie.

— Pierre nie potrafi mówić jak ludzie — wyjaśnił. —

Zabrakło na niego materiałów. Ja go jednak rozumiem. Mówi, że Paul bardzo cierpiał, nie mógł już tego zmieść. I nie chciał, żeby profesor go przerabiał. Nie chciał rozstawać się z Pierre'em. Mówił, że kocha Pierre'a.

Pierre zaczął kiwać głową, wskazując ręką na swoją pierś.

— No, a ten przypadek? Czy to jest instynkt rozmnażania, czy zgodność charakterów? — spytał Rajmund uszczypliwie.

— Po prostu głupota — odparł ze spokojem Michel. — Paul jest nieudanym modelem — i to wszystko. Nie wolno było przeprowadzać na nim doświadczeń z hormonami. Trzeba go rzeczywiście przerobić. Teraz profesor przyzna mi rację...

Pierre wydał głuchy, złowrogi pomruk i magle chwycił Michela za gardło. Rajmund wraz Rogerem ledwie go zdołali odciągnąć. Michel rozcierał gardło patrząc w zamyśleniu na Pierre'a wściekle szamoczącego się w rękach ludzi.

— Przytrzymajcie go jeszcze chwilę — powiedział idąc po strzykawkę.

Ułożyli Pierre'a na kozetce niedaleko Paula. Michel był wyraźnie zdezorientowany.

— Nie rozumiem, co się z nimi dzieje. Dlaczego u wszystkich naraz zaczęły źle funkcjonować ośrodki hamowania? Niepodobna przecież tłumaczyć tego działaniem stymulatorów hormonalnych...

— Chwileczkę, Michel — przerwał Rajmund. — Czy nie wydaje się panu, że tu nie chodzi o jakieś tam ośrodki ani stymulatory? To są zwyczajne ludzkie reakcje...

— Ludzkie? Nie rozumiem...

— A ja rozumiem! — oświadczył Roger. — Gdyby mi przyszło siedzieć tu chociażby tydzień bez nadziei wydostania się na wolność i jeszcze z taką perspektywą, że mnie mają przerobić... Boże drogi, rozniósłbym na kawałki całe to wasze laboratorium!

Michel popatrzył na niego ze zdziwieniem.

— To prawda — rzekł Rajmund. — François ma już dosyć nie kończących się obliczeń, Paul jest udręczony ciągłym bólem i słabością, a w dodatku nie chce się rozłączać z Pierre'em...

— Ależ gdyby nie ja, nie zobaczyłby już więcej Pierre'a! To nielogiczne! — zaprotestował Michel. — I w rezultacie Pierre...

— Pierre chciał się pomścić na panu za swego przyjaciela...

— Pomścić się? Za przyjaciela? — powtórzył zaskoczony Michel. — Nie rozumiem.

— Czego tu można nie rozumieć? — wybuchnął Roger. — Jesteś człowiekiem czy nie jesteś?

— Sądzę, że nie jestem człowiekiem — odrzekł spokojnie Michel. — Jestem tylko mózgiem.

Rajmund i Roger spojrzeli na siebie w milczeniu.

Kiedy metro dojeżdżało do stacji Raspail, Albert wstał z miejsca.

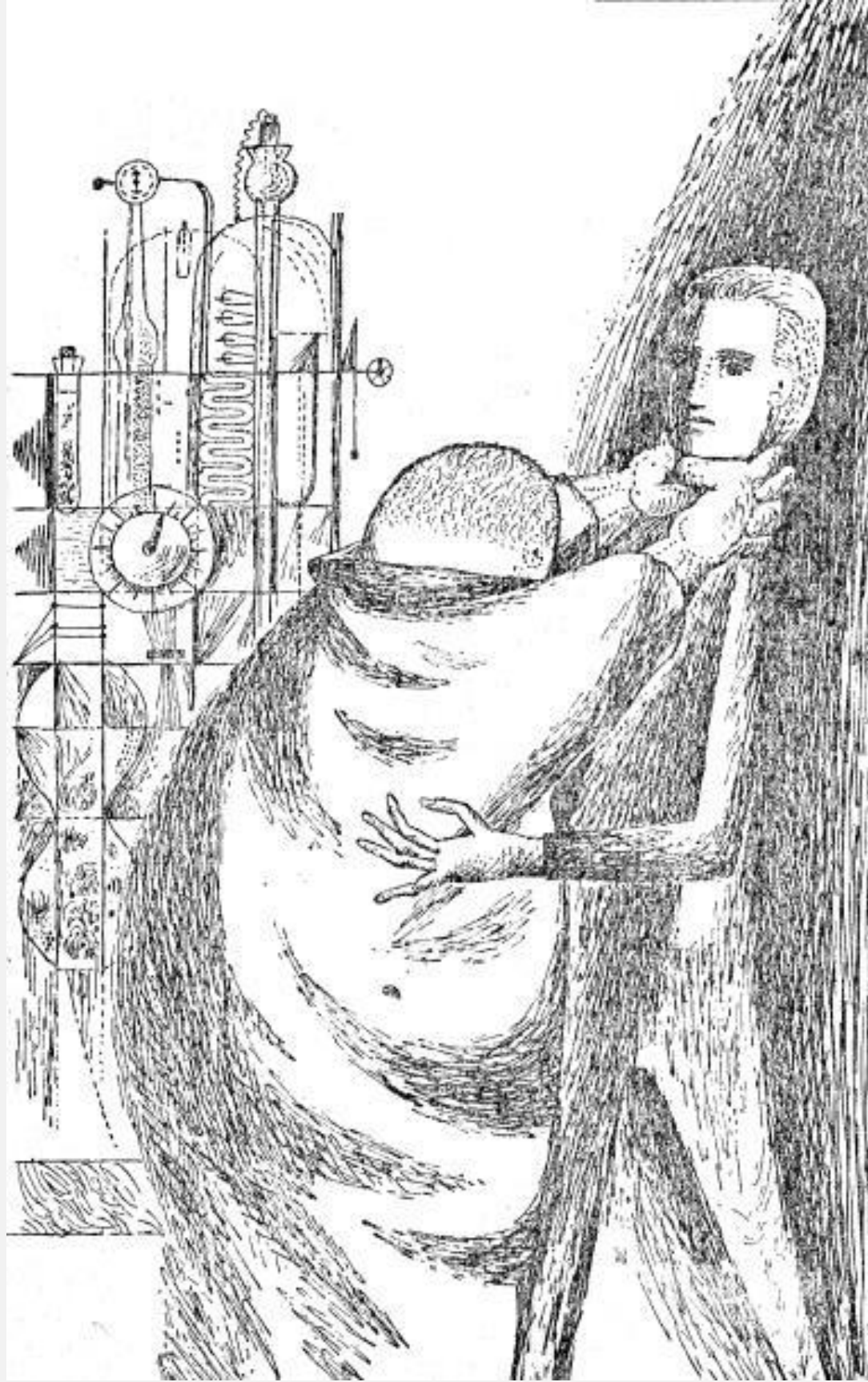
— Wsiądziemy na następnej stacji — powiedział profesor Laurent nie patrząc na niego.

Z placu Denfert-Rochereau skręcili w labirynt wąskich, krzywych uliczek. Albert dziwił się w duchu, wcale bowiem nie zmierzali w kierunku laboratorium Chamforta, nie miał jednak odwagi zapytać.

— Usiądźmy tutaj — rzekł profesor wskazując mały skwe-rek. — Muszę panu coś opowiedzieć.

Siedli na ławice pod starym platanem.. Opodal, na drugiej ławce, jakaś staruszka robiła na drutach szalik, u jej stóp leżał z wywieszonym językiem tłusty buldog. Na skwerku otoczonym z dwóch stron poczerniałym murem, było chłodno i zacisznie. W domu po drugiej stronie ulicy ktoś ćwiczył gamy.

— Zna pan już rezultaty moich doświadczeń — zaczął bez dłuższych wstępów profesor Laurent. — Jakiegokolwiek wrażenie wywarły na panu czy na kimś innym, muszę stwierdzić, że są one dalekie od moich pierwotnych marzeń. Ale nie mogłem nic zdziałać sam, niemal bez pomocy. Widzi pan, co ze mnie zostało po pięciu latach... Myśli pan, że to skutki nadmiernie wyteżonej pracy? Zapewne tak... Ale ja obawiam się, że przede wszystkim wpłynął na to Sial-5. — Profesor wyjął z kieszeni przezroczystą fiolkę z żółtymi granulkami. — Sial — są to nasze inicjały — Saint- Ives i Henryk Laurent. — Wynaleźliśmy go dla celów doświadczalnych, później jednak zaczęliśmy sami stosować. Cudotwórczy środek, który natychmiast usuwa zmęczenie, zastępuje sen, rozjaśnia umysł... i szybko staje się nieodzowny przy takim trybie życia, jakie prowadzę od kilku lat, ale też podkopuje organizm.



Trzeba przyznać, że zorientowałem się trochę za późno... Ale gdybym nawet spostrzegł się wcześniej, czyżby to coś zmieniło? Nie mogłem inaczej, nie było wyjścia. Dopóki żył Saint-Ives... O nim właśnie chciałem panu opowiedzieć, zwłaszcza że Chamfort też wspomniał jego nazwisko. Profesor przechylił głowę na oparcie ławki i przymknął powieki. Twarz jego bezkrwista i szara wyglądała jak twarz nieboszczyka.

— Źle się pan czuje, profesorze? — zaniepokoił się Albert.

— Nie. To tylko zawrót głowy od świeżego powietrza. Nie pamiętam już, kiedy wychodziłem na ulicę. Gdyby nie Sial-5, z pewnością zwałibyśmy się z nóg ledwie wyszedłszy za furtkę... Wielki pręgowany kot w białych skarpetkach przeszedł majestatycznie aleją, parsknął na obojętnie leżącego buldoga i przesadziwszy noski żywopłot usiadł na gazonie. Z okna na pierwszym piętrze wyjrzała rozczochrana blondynka i zawołała dźwięcznym głosem:

„Jeanne, Jeanne, twój Jérôme znowu wraca pijany!”

— Saint-Ives był najmłodszy spośród nas — podjął opowiadanie profesor Laurent. — Miał niespełna dwadzieścia osiem lat, kiedy zginął. Pełen radości życia, o wielostronnych zainteresowaniach, pasjonujący się wszystkim. Był cybernetykiem, neurocybennetykiem, pracował z Chamfortem, który ogromnie go lubił... wszyscy go zresztą lubili i wszyscy uważają, że go sprowadziłem na fałszywą drogę i stałem się przyczyną jego zguby... Chamfort nie może mi wybaczyć śmierci Saint-Ivesa. A ja sam, czy przebaczyłem to sobie? Nie bez powodu Michel zauważył we mnie poczucie winy, jeśli idzie o Saint-Ivesa... To prawda, że gdyby nie ja, Saint-Ives nie zacząłby się tak namiętnie pasjonować neurofizjologią, nie robiłby skomplikowanych i ryzykownych doświadczeń... Pracowaliśmy bardzo dużo, gdyż poza badaniami prowadzonymi przez całą grupę, zaczęliśmy własne... Były to badania coraz bardziej skomplikowane, musieliśmy kryć się z nimi, pracować nocami... potem urządziliśmy w sekrecie przed resztą kolegów osobne laboratorium. Niedaleko stąd, na ulicy Benard... Ale Saint-Ives na wszystko znajdował czas. Wtedy mnie to denerwowało, uważałem, że się rozprasza... Nie o tym zresztą chciałem mówić, to nie ma nic do rzeczy. Profesor wyprostował się i westchnął. — Chciałem natomiast

powiedzieć panu, że Saint-Ivesa zabił Michel... to znaczy, nie ten sam Michel, jakiego pan dziś ogląda, lecz jego mózg zamknięty w znacznie mniej doskonałej powłoce. Obecna powłokę Chamfort już przygotował i mieliśmy dokonać przeszczepienia. Wówczas był to jedynie mózg w środowisku odżywczym, analizator podłączony do niego i zapewniający zdolność wzmocnienia bioprądów poruszających kończyny. Ruchy jego były zupełnie chaotyczne, tyle że nauczył się chodzić, trzymać książkę i odwracać kartki. Ale już wtedy czytał i pamiętał wszystko znakomicie. Nie wiem nawet, czemu tak się zdziwiłem, gdy zaczął mówić o Saint-Ivesie. Po prostu nie miałem czasu sprawdzić należycie jego wiadomości z tamtego okresu. A, jak widać, pamięć jego zarejestrowała wszystko bardzo dokładnie. Wprawdzie nie mógł wtedy jeszcze mówić, tylko pisał. Dlatego wiele rzeczy uchodziło naszej uwagi.

— Ale dlaczego on zataił Saint-Ivesa? — spytał Albert wzdrygając się mimo woli. —

Przecież, o ile mi wiadomo, on i teraz nie podlega emocjom.

— Otóż bynajmniej nie chciał go zabić! To było jakieś niespodziane, gwałtowne pobudzenie motoryczne z wyłączeniem ośrodków hamujących. Przecież pan słyszał, on sam o tym mówi. Widzi pan, nawet mózg elektronowy nie zawsze daje się kontrolować. Im bardziej jest złożony, tym częstsze bywają różne przypadki, niespodzianki, odchylenia od normy. A przecież tu mamy do czynienia z żywym białkiem, z nieskończeniem złożonymi komórkami mózgu. Przez to że ten. Przeciwnie, tym trudniej jest przewidzieć, czy w tak nienormalnych warunkach będzie się on rozwijał normalnie, czy istotnie da się uzyskać wysoką specjalizację pewnych funkcji poprzez taki lub inny dobór składników środowiska odżywczego.

— A czy Michel posiada taką specjalizację — Staraliśmy się głównie rozwinąć jego pamięć i wytrzymałość. Udało się mam wiele osiągnąć, jakkolwiek w gruncie rzeczy działaliśmy po omacku. Przecież o strukturze ludzkiego mózgu wiemy nieprawdopodobnie mało. To są dopiero poszukiwania, hipotezy, dyskusje. Odkryliśmy, gdzie jest siedlisko pamięci u ośmiornicy. Ale gdzie mieści się ono u człowieka, tego nie

wiemy.

Albert słuchał chciwie. Wiele z tych rzeczy zdażyło mu już wywietrzeć z pamięci... i nic dziwnego zresztą, tak trudne były ostatnie lata, a życie jego tak dalekie od atmosfery wykładów, namiętych dyskusji Quartier Latin...

— Widocznie pamięć jest rozłożona w milionach komórek mózgu. Każde wydarzenie zostaje utrwalone nie w jednej komórce, lecz w całym ich mnóstwie... Ale nie o tym chciałem... — Profesor Laurent podniósł się nagle z ławki. — Chodźmy, boję się opuszczać na dłuższy czas laboratorium. Przeszli wąską ciemną ulicę, następnie skręcili za róg.

— O... to było tutaj... — Laurent skinął w kierunku ciemnoszarego domu z rdzawymi zaciekami. — Tu mieściło się nasze laboratorium. I tu zginął Saint-Ives. Michel usiłował wyskoczyć oknem, Saint-Ives chciał go przytrzymać... i sam wypadł z drugiego piętra.

Przyspieszył kroku. Albert podążył za nim, mimo woli oglądając się na posępny dom.

— Zabił się na miejscu... — dokończył cicho profesor Laurent. — Kiedy zbiegłem na dół, charczał... już mnie nie poznał...

Sekretarka oznajmiła, że monsieur Chamfort prosi ich do gabinetu. Weszli. Chamfort stał przy oknie.

— Nie rozumiem, Laurent, co pan chce wyjednać — powiedział nie witając się. — Wyjaśniłem przecież temu młodemu człowiekowi, że nie mam możliwości służyć panu dalszą pomocą.

— Dlaczegoż to nie ma pan możliwości? — spytał znużonym głosem profesor i usiadł nie czekając na zaproszenie.

Chamfort po raz pierwszy spojrział na niego — dotychczas stał bokiem do gości i nie podnosił oczu. Czarne krzaczaste brwi podniosły się wysoko ku szpakowatej, kędzierzawej czuprynie, grube murzyńskie wargi otworzyły w zdumieniu.

— Co się z panem stało, Laurent! — powiedział wstrząśnięty. — Na miły Bóg, jakże pan wygląda! Czy pan jest chory?

— Nie, zwyczajnie jestem zmęczony. A po drugie — Sial-5. Wie pan przecież... — profesor uśmiechnął się z przymusem. — Na miły Bóg! — powtórzył Chamfort zupełnie zdetonowany.

Usiadł obok Laurenta wskazując Albertowi drugie krzesło. — Tak, tak, to jest właśnie działanie pańskiego cudownego wynalazku. Pamięta pan, jak triumfował pan wówczas: „Sial-5 pozwala wyprzedzić czas! Pozwala kraść czas samemu sobie!” Są granice fizjologicznej wytrzymałości organizmu, zawsze to panu mówiłem.

— Wiem. Tylko dla pańskich półprzewodników nie ma żadnej granicy.

— Oczywiście. Bo to są półprzewodniki — odpowiedział Chamfort z mieszaniną ironii i smutku. — Dobrze już, kapituluję, przeraził mnie pański wygląd. Proszę mówić, czego pan żąda od moich półprzewodników i mas plastycznych.

Słuchał krzywiąc wargi w pogardliwym i litosnym uśmiechu.

— I po co to wszystko, Laurent? — powiedział na koniec. — Zrobię to dla pana, oczywiście, że zrobię, nie jest to znowu dla mnie takie trudne. Prawie wszystko może ujść za zamówienie dla kliniki, no a resztę jakoś wytłumaczę moim chłopcom... Och, jak mi dokuczyły te pańskie tajemnice! Ale niech mi pan powie, co pan chce uzyskać? Mało panu Saint-Ivesa, chce pan pójść w jego ślady? Widzi pan, że nawet przestałem się już gniewać, tak mnie przeraża to, do czego się pan doprowadził. Jak długo myśli pan ciągnąć w tych nieludzkich warunkach? W imię czego?

Profesor Laurent milczał przechylony na oparcie fotela, oczy miał zamknięte.

— Ja naprawdę jestem bardzo wyczerpany, Chamfort — odezwał się wreszcie cichym głosem. — Sam nie wiem, jak długo dam jeszcze radę. Ale jeśli rzucę, nie doprowadziwszy do końca, to albo skoczę do Sekwany, albo się znajdę w klinice psychiatrycznej. Na pewno tego nie wytrzymam. A zresztą, jak mogę rzucić? Pan niezupełnie zdaje sobie sprawę, w jakim stadium są moje badania... — Znowu zamilkł na chwilę. — Normalnie czuję się lepiej... widocznie gwałtowna zmiana warunków... świeże powietrze... Ja przecież rok z górą siedziałem w zamknięciu, nawet do ogrodu obawiałem się wyjść...

— Zrobić panu zastrzyk? — zapytał Chamfort.

Laurent potrząsnął przecząco głową.

— Nie, chyba zażyję dodatkową porcję...

Wysypał ze szklanej fiolki żółtą granulkę, połknął ją i znowu oparł głowę o fotel. Po paru chwilach twarz mu się ożywiła, oczy nabrały blasku.

— Otóż ma pan działanie Sialu-5 — zauważył z ironicznym uśmiechem. — Doświadczenie jak w laboratorium.

Chamfort westchnął głośno.

— Powtarzam, że chciałbym wiedzieć, czym i kiedy skończy się ta niepowszednia historia. Co pan zamierza osiągnąć w najbliższym czasie?

— Pokaz — odrzekł profesor. — Michel właściwie jest prawie gotów, można go zademonstrować. Ale chciałbym jeszcze przygotować przynajmniej François. Jeden to za mało. Specjalistom można pokazać nawet Pierre'a i Paula. Oni potrafią ocenić. Dla szerszego audytorium Pierre i Paul się nie nadają. A jeden Michel — za mało. Dlatego też prosiłem, by pan wykonał twarz dla François. Tylko jakąś bardziej zindywidualizowaną. Michel ma zbyt regularne rysy i to sprawia nienaturalne wrażenie. Ja tego nie dostrzegalem, jednak Duclos zwrócił na to uwagę... inni również...

— Ach, więc ma pan duży personel? — zainteresował się żywo Chamfort. — Jednak się pan zdecydował?

— Mam trzech pomocników. Od wczoraj — odparł niechętnie Laurent. — No więc, dla François trzeba by coś prostego, energicznego, nawet trochę pospolitego... jakby tu panu wytłumaczyć... I żeby twarz nie była biała, lecz śniada, z lekka czerwona. Ja bym Michelowi też poprawił twarz, obawiam się jednak poddać go zabiegowi chirurgicznemu, jest mi za bardzo potrzebny...

Chamfort zamyślił się.

— A gdybym poszedł z panem, Laurent? — odezwał się nagle. — Do pańskiego laboratorium? Na miejscu łatwiej byłoby mi zorientować się, jak i co panu zrobić.

— To najlepsza myśl! — Laurent wstał, podszedł do Chamforta i spojrział mu w oczy. — Wydaje mi się, że wraca przeszłość...

Chamfort odwrócił oczy. Twarz jego przed chwilą jaśniejąca ożywieniem szeptem się zmękniała.

— Przeszłości wrócić niepodobna — powiedział. — Nie

wróci się życia Saint-Ivesowi ani zdrowia panu... No, dobrze, chodźmy obejrzyć tę pańską czarną magią.

Na ulicy Laurent nagle się zaniepokoił i zaczął nalegać, by wzięli taksówkę.

— Trochę za długo nie było mnie w laboratorium. A Józef i Leroix to nowicjusze.

— W dobrym momencie pana przyprowadziłem, Chamfort, nie ma co mówić! — Profesor Laurent przesunął dłonią po czole znużonym gestem i odwrócił się do Michela. — Miałeś go przecież na oku. Jak mogłeś do tego dopuścić?

— Spodziewałem się czegoś zgoła innego — powiedział Michel. — Zabrałem mu wszystkie niebezpieczne przedmioty. Myślałem, że napadnie na nas. Ale tego nie mogłem przewidzieć... to zbyt wielki nonsens.

— Jakże to! — wmieszał się Chamfort. — Więc ty uważasz, że samobójstwo jest nonsensem, a zabójstwo nie?

— Zabójstwo również — wyjaśnił spokojnie Michel. — Nie istnieją żadne racje, by Paul zabijał mnie lub profesora. Jednakże Paul uroił sobie, że my go nienawidzimy. Poza tym u niego, jak i u nas wszystkich, występuje czasem gwałtowne i niebezpieczne pobudzenie motoryczne.

Chamfort patrzył na niego, nie odrywając wzroku.

— U wszystkich, powiedziałeś? — Więc u ciebie również?

— Tak. Teraz już z mniejszą siłą. Ale pamięta pan przecież, jak było z Saint-Ivesem — rzekł nieoczekiwanie Michel swoim, jednostajnym głosem. Chamfort zerwał się. Jego śniada, szeroka twarz poszarzała. Profesor Laurent zagryzł wargi.

— Nie zdażyłem pana uprzedzić, Chamfort — powiedział bardzo cicho. — Ja sam dopiero bardzo niedawno odkryłem, że Michel pamięta Saint-Ivesa. Okazuje się, że pamięta również pana.

— Naturalnie, że pamiętam. — Błyszczące, niebieskie oczy Michela uważnie wpatrywały się w twarz Chamforta. — Niewiele pan się zmienił przez te trzy lata. To ciekawe. Więc nie wszyscy ludzie zmieniają się tak szybko jak profesor Laurent. Tak przypuszczałem, chciałem jednak sprawdzić to doświadczalnie. Czy prawidłowo rozumię?

— Albo ty potrafisz rozumować nieprawidłowo? — Profesor Laurent uśmiechnął się z przymusem. — Chamfort, ma pan

przed sobą okaz żelaznej logiki.

— To pański pierwszy uczeń? — Chamfort uśmiechnął się. — T-tak, interesujące... A czy nie zechciałby pan w takim razie poznać mojego pierwszego ucznia? O ile się orientuję, najbliższe gadziny powinny tu minąć spokojnie. Pójdzie pan?

— Dobrze. — Profesor Laurent jeszcze raz sprawdził puls Paula i wstał. — Możemy iść. Duclos pójdzie z nami. A panów obu proszę o dyżurowanie tutaj. Jak się czuje Luiza?

— Lepiej — zameldował cichym głosem Roger wysuwając się naprzód, mimo że profesor zwracał się do Rajmunda. — Wypiła filiżankę rosółu i zjadła, kotlet, ale potrzebny jej całkowity spokój. Musi poleżeć.

— Widzę, że pan jest prawdziwym skarbem, Leroix. — Profesor uśmiechnął się z lekka. — Więc Luiza jest u siebie? Zajdę do niej na chwilę i już wychodzimy.

— Dobrze, ja przez ten czas obejrzę pańskiego François — powiedział Chamfort.

— Michel panu wszystko objaśni — rzucił od progu profesor.

— No więc? — Chamfort spojrzał z ukosa na Michela. — Proszę, objaśniaj.

Podeszli do François leżącego nieruchomo na kozetce. Rajmund po chwilowym namyśle przyłączył się do nich. Albert i Roger spojrzeli na siebie.

— Co tam słyhać, przyjacielu? — zapytał Albert. — Nie gniewasz się na mnie?

— Przestań o tym gadać! Raz postanowione, że zostaje tutaj, choćby się waliło i paliło. Bez Rogera Leroix te chłopaczki wykończą was w try migi, możesz mi wierzyć. Specjalnie upatrzyłem sobie tę kanapkę na dole koło schodów, jakby się tu zaczęła rozróżba, natychmiast usłyszę i przylecę. A ty z Józefem śpijcie sobie tutaj. Główka przy główce z tymi przystojniaczkami. — Przymknął łobuzersko oko. — Ale wesołutka historia! Szkoda, że nie widziałeś, jak grzmotnąłem na podłogę tego François! Silny jak diabeł! Po co go uczyć dżudzitsu, on i tak bykowi kark skręci. Popatrzył z ciekawością na Michela, który z bardzo poważną miną wyjaśniał coś Chamfortowi.

— Musisz znaleźć jakąś wolną godzinę i wytłumaczyć mi

solidnie, co oznacza cała ta czarna magia. — Roger powiódł dłonią wokół laboratorium. — Co tu się robi i w jakim celu. Dobra?

— Przyłączam się do tej prośby — rzekł Rajmund podchodząc do nich. — Przyznaję, że ja też nie mam najmniejszego pojęcia, co tu się robi. A przecież trzeba się choć pobieżnie orientować.

— Panowie, pozwólcie najpierw mnie samemu trochę się rozejrzeć! — powiedział błagalnie Albert. — Ja już gruntownie zapomniałem, czego nas uczono na wydziale medycznym. A tu nawet najmądrzejszy zgłupieje. Przecież nic podobnego nie ma na świecie, pamiętajcie o tym.

— Wy tłumacz, chociaż po lebkach — nalegał Roger. — Bądź co bądź ty lepiej znasz się na tych sprawach niż my.

— Dobrze, wytłumaczę, jak tylko się znajdzie odpowiednia chwila — obiecał z westchnieniem Albert.

Wrócił profesor Laurent.

— Mam już wszystkie potrzebne informacje — oznajmił Chamfort. — W najbliższych dniach będzie gotowe. Michel uważa jednak tę operację za bardzo niebezpieczną.

— Tak, nie wiedziałem, że pan zamierza przerabiać twarz — powiedział Michel. — Powinno mu się albo operacyjnie przerobić mózg, albo spróbować innej kombinacji hormonów oraz leczniczych mieszanek. Natomiast w jego obecnym stanie jakakolwiek operacja może go absolutnie wytrącić z równowagi. Narkoza, uraz fizyczny, utrata krwi, proces zablizniania...

— Pamiętasz to z własnego doświadczenia? — zapytał żywo profesor Laurent. — Tak, oczywiście. Jednakże od tamtych czasów zdołaliśmy już coś niecoś osiągnąć. Przypatrz mi się, François wczoraj rozciął mi czoło, a ja natychmiast zwilżyłem ranę Bisti-3. Ból i krwawienie ustało niemal od razu, a gojenie przebiega znakomicie...

Rajmund spojrzał na cienką, czerwonawą kresę, przecinającą czoło profesora. Więc tylko tyle zostało z wczorajszej ziejącej rany?

— Można zrobić znieczulenie miejscowe, bólu nie będzie... — mówił dalej profesor.

— François nie potrafi nam powiedzieć czy go boli. Może

bardzo cierpieć, czuć się ciężko chory, a my to weźmiemy za wściekłość albo pobudzenie motoryczne. To duże niebezpieczeństwo. Ja sam z trudnością mogę zrozumieć François, nawet gdy jest zupełnie normalny. I czemu pan chce zademonstrować François, skoro on nie umie mówić? Przecież pan sam był zdania, że to wywrze okropne wrażenie.

— No dobrze, więc cóż twoim zdaniem powinienem uczynić? — spytał poważnie profesor Laurent. — Przygotować Paula?

— Paul również się nie nadaje. Nie wiadomo przy tym, co będzie, gdy się obudzi, jak to wszystko na niego podziało... Doprawdy lepiej zademonstrować tylko mnie jednego. Gdyby stało się ze mną coś złego, można zastosować T-21. A może wszystko przejdzie spokojnie. Dotychczas tylko dwa razy zdarzył mi się szok... jeśli nie brać pod uwagę pierwszego okresu.

— Możliwe że masz rację — odparł profesor niezbyt przekonany. — Jednak mnie się zdaje, że François można z powodzeniem przygotować do operacji... No, powiedzmy, w ciągu tygodnia. Można wreszcie zaryzykować i za jednym zamachem dokonać operacji mózgu. To, co chcę z nim zarobić, nie jest w gruncie rzeczy tak bardzo skomplikowane...

— Boi się pan zniszczyć zdolności matematyczne François, ale ryzykuje pan zgubę własną i całego pańskiego dzieła — powiedział Michel beznamiętnym tonem, jak gdyby nie dyskutował z profesorem, lecz po prostu stwierdzał fakt. — Tymczasem François, jeśli go doprowadzić do normalnego stanu, może być o wiele bardziej interesującym modelem pokazowym, nawet gdy utraci swój niezwykły talent matematyczny. Moim zdaniem lepiej dać mu zdolność mówienia. On jest przecież rozumny i niemota bardzo mu przeszkadza. Dwa dni temu omawialiśmy ten temat na piśmie przez okrągłą godzinę. Pan o tym nie wie, ponieważ spał pan wówczas. Mogę panu pokazać te notatki.

Wyjął ze swego stolika dwa duże arkusze zapisane wzdłuż i wszerz dwoma charakterami pisma. Drobne, wyraźne, starannie napisane literki przeplatały się z kanciastym, zamaszystym pismem.

— Proszę. — Michel wskazał zdanie skreślone dużymi literami, nieco na ukos. — „Jeżeli profesor jest zdania, że swobodne obcowanie z człowiekopodobnymi rozwija ich umysł i jeżeli naprawdę ceni mój umysł, to dlaczego nie daje mi mowy? Powinien przecież rozumieć, że niemota krępuje mi umysł i kaleczy charakter. Wy tłumacz mi to”.

— Ale ty jakoś dziwnie mu odpowiedziałeś — rzekł profesor czytając dalej. — Po co te tajemnicze aluzje do jakiejś wyższej celowości? Wiesz przecież dobrze, że przyczyna była prosta — kiedy pracowałem nad François, zabrakło mi pewnych materiałów, a po wtóre czasu. Poza tym w ogóle nie przewidywałem, że François stanie się tak złożony. Sądziłem, że będzie to coś w rodzaju żywej maszyny liczbowej, mózg bez emocji, z wąską specjalizacją... Powinieneś być mu to wszystko wyjaśnić.

— Nie trzeba im sugerować, że pan nie jest wszechmogący — odparł pouczająco Michel.

Chamfort wybuchnął śmiechem.

— Patrzcie państwo! Doszedł w końcu do koncepcji Boga.

— Boga nie ma — wygłosił Michel takim tanem, jakim się mówi: „Deszcz przestał padać”.

Roger patrzył na niego wybałuszony oczy.

— Go za typek! Widziałeś kiedy coś podobnego?

— Nigdy nie widziałem — zapewnił z całą szczerością Albert.

— Musimy koniecznie pomówić o wszystkim we trzech — odezwał się Rajmund. — Koniecznie.

Rozmawiali szeptem. Michel w dalszym ciągu dyskutował z profesorem. Laurent powiedział na koniec z ironicznym uśmiechem:

— Mówiłem już panu, że Michela cechuje żelazna logika, nikt go nie przegada. Chodźmy, Chamfort, chcę pana przedstawić Luizie. Duclos, za dziesięć minut proszę was oczekiwać na dole.

— Wiecie co, ja teraz skoczę do kuchni — powiedział Roger zaraz po ich wyjściu. — Trzeba podgrzać obiad. Czas nakarmić Luizę, a nam też warto by coś niecoś przetrącić. Albercie, przyniosę ci filiżankę rosółu.

Wybiegł. Albert i Rajmund podeszli do Michela, który

sterylizował strzykawkę i przygotowywał ampułki.

— Paul musi teraz jak najczęściej dostawać środki wzmacniające i toniczne. Jest bardzo osłabiony — wyjaśnił.

— Przysłuchiwałem się pana rozmowie z profesorem — powiedział Albert. — O ile pamiętam, przedwczoraj wspominał pan, że profesor będzie pana również operować. Tymczasem widzę, że jest pan przeciwnikiem operacji.

Odniosł wrażenie, że Michel się boi, i chciał sprawdzić, czy tak jest rzeczywiście. Michel napełniając strzykawkę odparł ze spokojem:

— Nie, nie potrzeba mnie operować, przeanalizowałem tę sprawę. Wystarczy zastosować kurację hormonową i neurochemiczną.

— A profesor jakiego jest zdania?

Michel wziął strzykawkę i udał się za (parawan. Młodzi ludzie poszli za nim. Albert przewiązał gumą bezwładnie zwisające ramię Paula. Michel wprowadził igłę do żyły. Paul nie wracał do przytomności, ale na policzkach jego pojawił się słaby plamisty rumieniec. Pierre, nieruchomy i ponury, siedział w nogach kozetki.

— Profesor liczy się z moim zdaniem — podjął Michel wychodząc zza parawanu. — I jest na ogół zaprzątnięty zbyt wieloma sprawami, ma uwagę niesłychanie rozproszoną. Absorbuje go i nurtuje mnóstwo rzeczy, których na dobrą sprawę nie powinien dostrzegać. Składał to na karb nadmiernego przeciążenia. Nie może się wyłączyć, nie może całkowicie skoncentrować się na jednym. To mu przeszkadza. Michel posuwał się z wolna wzdłuż długich stołów z termostatami, kolbami i retortami, sprawdzał wskazania przyrządów, zapisywał coś w notesie. Mówił powoli, spokojnie, jak gdyby do siebie:

— Weźmy za przykład Saint-Ivesa. Profesor za dużo o nim myśli. O Chamforcie również. Ale to jeszcze można zrozumieć, jego praca w dużej mierze łączy się z koncepcjami Saint-Ivesa oraz współpracą Chamforta. To dobrze, że się pogodzili, pomoc Chamforta jest dla profesora niezbędna. Mam nadzieję, że wywarłem dość silne wrażenie na Chamforcie. Specjalnie rozpocząłem dyskusję z profesorem, aby udowodnić, że umiem myśleć samodzielnie. Rozumie pan?

Albert ze zdumieniem popatrzył na Michela.

— Pan jest bardzo inteligentny i odznacza się dużą przytomnością umysłu — powiedział.

— Owszem, umysł mój działa sprawnie — zgodził się Michel. — Jednakże prawdziwy twórczy umysł, to, co nazywamy geniuszem, cechuje tylko profesora. Ja robię wszystko szybciej i dokładniej niż on, niczego nie zapominam i nie znam zmęczenia — a jednak wiem, że on jest silniejszy ode mnie. Ale musi się leczyć, bo w przeciwnym razie może nastąpić katastrofa. Umysł ma straszliwie napięty i rozproszony. Dlaczego na przykład tak bardzo interesuje go opinia Desmarais o jego pracy? Albo zdrowie Luizy?

— Przepraszam, ale Luiza jest jego żoną! — zdenerwował się Rajmund.

— Żona wcale mu nie jest potrzebna, sprawy osobiste teraz dla niego nie istnieją — spokojnie odparował Michel. — Profesor ma w ogóle skomplikowaną psychikę. Całą masę nawarstwień! Wspomina czasem jakieś zgoła nieważne epizody dzieciństwa, na przykład, jak się przekomarzał ze swoim nauczycielem szkolnym, jak kapał się w rzece. Po co to wszystko?

— Ale pan przecież jaszczce trwałej i bez żadnej selekcji rejestruje wszystko w pamięci — zauważył Albert. — Profesor mówi, że praktycznie pan nic nie zapomina.

— Ja to co innego. — Michel odwrócił się do nich. — Całe życie spędziłem w laboratorium. Niemal wszystkie moje wspomnienia wiążą się z tą pracą. Profesor natomiast zachowuje w pamięci dużo faktów¹ postronnych. I co ważniejsze, nie tylko zachowuje — one nie przestają go nurtować, wytrącać z równowagi. Wzrusza się wspominając śmierć matki, a przecież to się stało chyba ze trzydzieści lat temu. Z przejściem mówi o wojnie, o swoim udziale w Michel zająknął się, po czym wyrecytował dokładnie: — w Ruchu Oporu, tak się to nazywa. Rajmund i Albert wymienili znaczące spojrzenia.

— Ale człowiek jest przecież człowiekiem — powiedział Albert. — Jeśli nawet przyjąć, że zjawił się pan na tym świecie jako istota w pełni świadoma, choćby w postaci mózgu wyposażonego we wzrok i słuch, to jednak przeżył pan

zaledwie cztery lata. I wyłącznie w laboratorium. Natomiast profesor Laurent przeżył o czterdzieści lat więcej, życie jego było skomplikowane i różnorodne, jak zresztą każde życie ludzkie.

— Duclos! — zawołał z dołu profesor. — Czekamy na pana! Albert zszedł po schodach. Z kuchni wyskoczył Roger niosąc na tacy trzy filiżanki rosółu i talerzyk z pasztecikami.

— Niech panowie to wypiją! — rzekł rozkazująco. Chamfort roześmiał się i wziął filiżankę.

— Ma pan nadzwyczajnych pomocników, Laurent! Wszechstronnie uzdolnionych, jak widzę!

Profesor skinął głową. Chciwie przelykał mocny, złocisty rosół.

— Dziękuję! — powiedział chrupiąc delikatny pasztecik. — Zupełnie już odwykłem od ludzkich potraw. A pan je przyrządza niczym w pierwszorzędnej restauracji.

— Chwileczkę, Laurent! Czyżby pan był na tej samej diecie co oni? — Chamfort skinieniem głowy wskazał laboratorium na piętrze.

— Tak. Postanowiłem sprawdzić na sobie samym, w jakiej mierze ten pokarm zapewnia organizmowi potrzebne składniki. A później się jakoś przyzwyczailem. I oszczędność czasu, i pod wieloma względami wygodniej... Czasem tylko, gdy mi przyszła ochota na jakieś ludzkie jedzenie, schodziłem na dół.

— Pan jest doprawdy szalony, Laurent! Jeść ten obrzydliwy kleik!

— Proszę mi wierzyć, Chamfort, że nie w głowie mi teraz gastronomia. Zrezygnowałem z wielu rzeczy o całe niebo ważniejszych. A poza tym, ten pokarm wcale nie jest obrzydliwy.

Duclos próbował, więc może potwierdzić.

— Ja również próbowałem! — Chamfort zmarszczył brwi. — Nie, to naprawdę szaleństwo, Laureat! — Robić eksperymenty na sobie przy tak nieprawdopodobnie wyczerpującej pracy... to przecież... I ostatecznie pańscy wychowankowie nie mają przewodu pokarmowego, a pan go ma! Sztuczne odżywianie jest szkodliwe dla pańskiego zdrowia!

— Paul też posiada przewód pokarmowy. I właśnie to mnie

skłoniło do przeprowadzenia próby na własnym organizmie. Otóż całkiem nieźle to znoszę. Paulowi dawałem ponadto stale glukozę, witaminy i rozmaite środki toniczne.

— Niech pan go zmusza, by jadł normalnie trzy razy dziennie! — rzekł Chamfort zwracając się do Rogera. — Doprowadzi się do katastrofy!

— Profesor będzie jadł trzy razy dziennie, choćbym miał stanąć na głowie! — oświadczył stanowczo Roger.

Laurent z zainteresowaniem popatrzył na niego.

— Pan mi się naprawdę podoba, Leroix.

Wyszli. Roger z uśmiechem pokiwał głową.

— Hm! No (proszę, podobam mu się. Natomiast mnie osobiście podoba się biedulka Luiza. A nie podobają mi się te wszystkie sztuczki za plecami Pana Boga. Staruszkowi i bez tego niezbyt wesoło w niebie, nam zresztą także nie lepiej...

— Poznajcie się — prezentował Chamfort. — To jest Sokrates.

Ciemnobrązowy olbrzym, liczący blisko dwa metry wzrostu, stał przy desce kreślarskiej. Niewiele był podobny do człowieka, jedynie ręce miał ludzkie, o giętkich, silnych palcach. Sokrates nie obejrzał się na wchodzących i kreślił dalej. Profesor Laurent i Albert stanęli za jego plecami obserwując, jak na arkuszu kalki powstaje z zadziwiającą szybkością jakiś niezrozumiały i skomplikowany rysunek.

— Co to jest? — spytał profesor.

— Poleciałem Sokratesowi obliczyć inną konstrukcję takiego robota jak on. Zadanie: zmniejszyć wymiary do normalnego wzrostu ludzkiego, uzyskać maksymalne podobieństwo do człowieka. W tym celu trzeba, rzecz jasna, zmienić budowę kończyn dolnych oraz tułowia. Sokrates, jak panowie widziacie, ma gąsienice zamiast nóg.

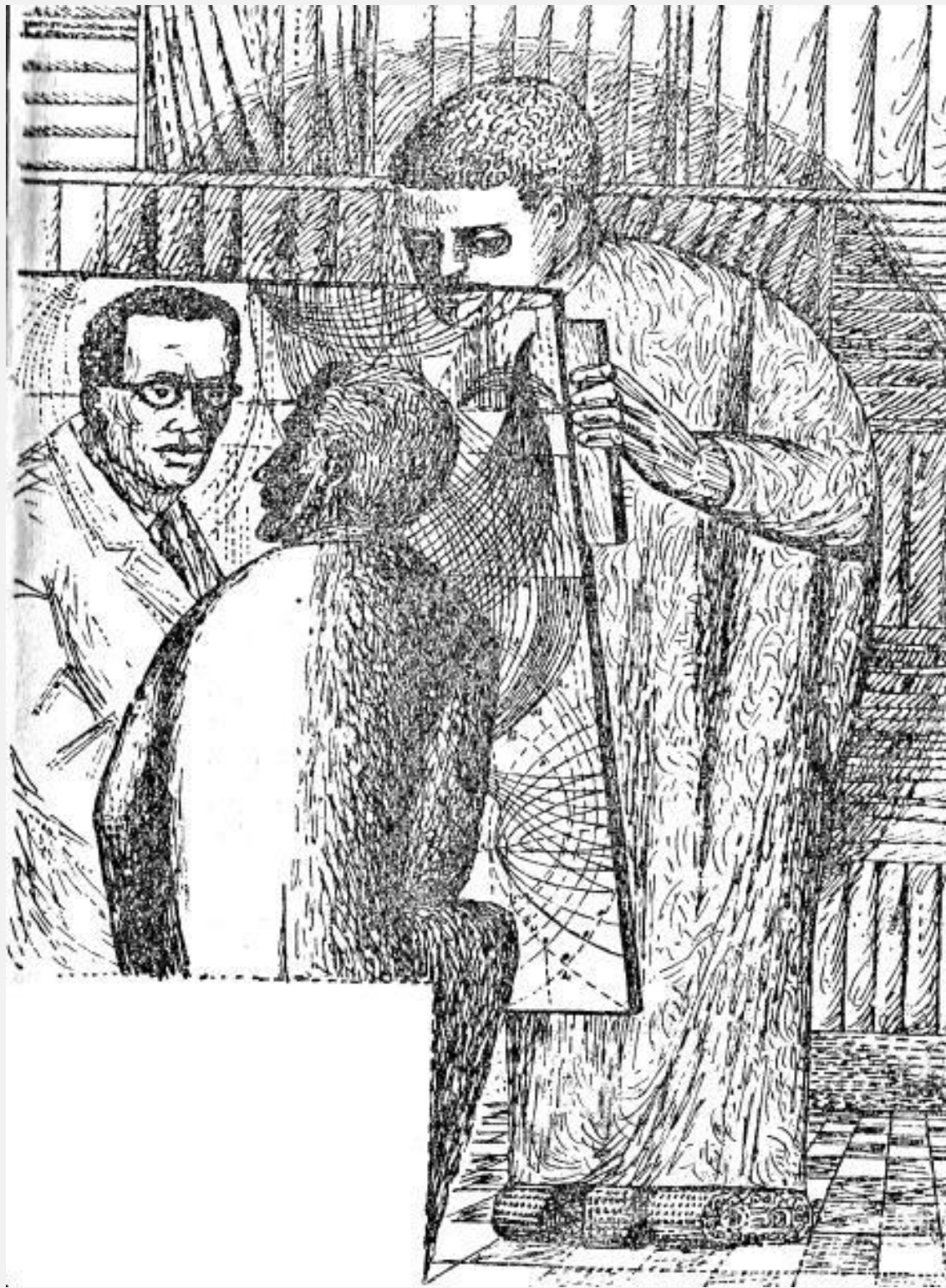
— Przygotowuje pan pokaz?

— No, oczywiście — Chamfort uśmiechnął się. — Ja też, podobnie jak pan, chcę publiczności sypnąć piaskiem w oczy.

— A czy ten pokazowy robot będzie słyszeć i mówić?

— Rozumie się. Przecież Sokrates także słyszy i mówi. Tylko nie na wszystko reaguje.

Nasza rozmowa nie dotyczy go bezpośrednio, więc nie odrywa się od pracy. Włączy się na pewno, gdy zwrócę się do



niego po imieniu. Sokratesie, kiedy masz zamiar zakończyć pracę?

Robot, nie przestając kreślić, odpowiedział przyjemnym, dźwięcznym głosem:

— Zejdzie mi jeszcze około godziny. Muszę zmienić schemat sprzężenia zwrotnego.

— A już rozwiązałeś to zagadnienie?

— Tak.

— Świetnie, pracuj dalej...

— Głos ma znacznie przyjemniejszy niż Michel — zauważył profesor.

— Tak, osiągnąłem coś niecoś w ciągu ostatnich dwóch lat — potwierdził Chamfort. — Poza tym u Sokratesa było z tym łatwiej niż u pańskiego Michela. No i jak się panu podoba Sokrates? Pamięta pan swoje zaciekle ataki przeciwko prymitywnej logice maszyny? Mówił pan, że maszyny elektroniczne są zbudowane według zasady „tak/nie”, że nie potrafią się przystosować do zmiennych warunków, pozbawione są zdolności twórczych, fantazji, woli i tak dalej. A jednak zarzutów tych nie można odnieść ani do Sokratesa, ani do tego robota, którego on projektuje. Sokrates potrafi się orientować w rozmaitych warunkach — mam oczywiście na myśli zakres pracy umysłowej, nie zamierzam bowiem kazać mu jeździć konno czy pływać, do tych celów przede wszystkim nie nadają się jego nogi. Zadanie, które wykonuje, objaśniłem mu w ogólnych zarysach — podobnie jak pan tłumaczy mi, o co panu chodzi. Otóż on robi to wszystko nie tylko stokroć prędzej i dokładniej niż ja, ale, dodajmy, nie gorzej ode mnie, rozumie pan? A przecież zdaje pan sobie sprawę, że to jest praca twórcza.

— Nie znoszę, kiedy mówi się o maszynie: myśli, rozumie, twórcza praca... Po diabła ten antropomorfizm? — zachnął się profesor Laurent.

— Niech pan da spokój, nie chodzi o słowa! Czy mamy tworzyć specjalny słownik tylko dlatego, by nie urazić pańskich delikatnych uczuć? Obydwaj doskonale wiemy, na czym polega różnica i może pan mi nie tłumaczyć, że maszyna elektroniczna modeluje wyłącznie fizyczne funkcje mózgu, chemiczne i fizjologiczne pozostawiając na boku, gdy tymcza-

sem w organizmie żywym wszystkie te funkcje są wzajemnie powiązane i tak dalej. Nie musimy chyba powtarzać tabliczki mnożenia. Sokrates mimo to wykonuje wszystko, czego od niego zażądam. W dodatku ma idealny charakter, żadnych skłonności do hysterii, awantur i samobójstwa, do czego pańscy wychowankowie zdradzają wyraźne ciągoty.

Laurent patrzył na ciemnobrązowe ręce robota — giętkie, poruszające się niezmiernie szybko.

— Zasada jest ta sama co u pańskiego Michela — wyjaśnił Chamfort pochwycawszy jego spojrzenie. — Masa plastyczna, sztuczne mięśnie, półprzewodniki, miniaturowe silniki elektryczne, czujniki. Tylko sterują tym wszystkim nie bioprądy żywego mózgu, lecz maszyna elektronowa.

— Czy on potrafi mówić tylko o konstrukcjach?

— Nie, dlaczego... Wprawdzie nie ćwiczyłem go w dyskusjach na tematy ogólne. Nie był przeznaczony na pokaz. Ale proszę mu zadać pytanie.

— Sokratesie, czy podoba ci się ta praca? — zapytał profesor.

— Uważam, że jest bardzo pożyteczna — odpowiedział robot.

Chamfort wybuchnął śmiechem.

— Wykrętna odpowiedź! Dobrze panu tak, Laurent, niech pan go nie antropomorfizuje. Ale ciekawe, co by odpowiedział pański Michel.

— Tego rodzaju emocje są mu całkowicie dostępne. Zapał do pracy, żądza wiedzy, chęć doszukania się prawdy...

— I zarozumiałość. I żądza uznania — dodał Albert. Profesor Laurent gwałtownie odwrócił się ku niemu:

— Co?! Z czego pan to wnioskuje, Duclos? Albert zmieszał się.

— Zauważyłem. To przecież widoczne. Może on sobie tego w pełni nie uświadamia. Ale w myśli rywalizuje nawet z panem.

— Ze mną? — powtórzył zaskoczony profesor Laurent. — Pan chyba bredzi, Duclos!

— A mnie się zdaje, że ten młody człowiek ma rację — wmieszał się Chamfort. — Nie rozumiem, dlaczego to pana tak zdumiewa. Przecież to są cechy czysto ludzkie. A pański

Michel nie jest maszyną.

— Przypuszczam, że pan fantazjuje i niewłaściwie ocenia niektóre rozważania Michela — rzekł profesor. — Wiem doskonale, o co chodzi — że się rozpraszam, męczę i nie mogę się skoncentrować...

— Tak. Że ma pan zbyt obciążoną pamięć... dzieciństwo, wojna i tak dalej.

— Ach, to jest tylko zawiść istoty niepełnowartościowej. Cóż on, biedak, ma do pamiętania prócz laboratorium i książek, które przeczytał? Ale to nie oznacza, że pragnie władzy i sławy... Zresztą, wróćmy jeszcze do tej rozmowy... No, Chamfort, cóż tak osobliwego jest w pańskim robocie?

— Neurony plastyczne — wyjaśnił Chamfort. — Posiadają one zdolność zmieniania swoich właściwości logicznych zależnie od czynności, jakie w danej chwili wykonuje robot. Mnie jest on głównie potrzebny jako konstruktor i wcale nie zamierzam przeprowadzać z nim wielu eksperymentów. Jednakże te plastyczne neurony są zadziwiająco chłonne, a sporządzone z nich sieci nerwowe nad wyraz złożone. Toteż Sokratesa mogę wyspecjalizować, w czym zechcę. Mogę zrobić z niego fizjologa, badacza literatury starogreckiej lub dyspozytora kolejowego. Nauczy się tego wszystkiego znacznie prędzej i dokładniej niż człowiek. Potrafi, jak wspomniałem, działać w zmiennym otoczeniu, przystosowywać się do niego, z punktu zmieniać swoje rozwiązania lub obierać nowe sposoby ich realizacji. Zdolność selekcji ma nawet silniej rozwiniętą niż człowiek. Bardzo ekonomicznie wybiera to, co mu jest potrzebne, z potoku docierających z zewnątrz informacji.

— Skoro jest tak złożony, muszą się pewnie zdarzać niespodzianki w jego zachowaniu?

— Owszem. Ale objawiają się o wiele mniej drastycznie niż u pańskich wychowanków.

Zdarzyło się kiedyś, że Sokrates przez cały dzień mówił tylko po rosyjsku. Włada jeszcze swobodnie angielskim i niemieckim, to było dla mnie sprawdzianem jego zdolności uczenia się, prócz tego musi śledzić literaturę fachową. Czyta bardzo szybko i sporządza dla mnie komunikaty. Owszem, wiem, tak samo jak Michel dla pana... Otóż naczytał się rosyjskich czasopism technicznych i ni stąd, ni zowąd

zapomniał na jakiś czas mówić po francusku. Ja rosyjskiego nie znam, więc cały dzień był zmarnowany. Dopiero później sobie uprzytomniłem, że on mnie przecież rozumie. Dałem mu zadanie, zaczął kreślić i przepracował do wieczora. Rano wszystko się wyregulowało.

— Sokratesie, dlaczego mówiłeś po rosyjsku? — zapytał profesor.

— Nie wiem — odparł robot. — To przypadek.

— Jasne, że on nie wie. Niech pan nie zadaje takich nierozsądnych pytań, Laurent. Lepiej proszę powiedzieć, jakie wrażenie robi na panu Sokrates?

— Wspaniały twór, nie ulega wątpliwości. Jednak to inny kierunek...

— Oczywiście że inny... Przyzna pan jednak, że obierając ten kierunek, szybciej i pewniej niż w pańskim osiąga się sukcesy, o jakich pan marzy...

— Chodzi o zasadę, nie o sukcesy — odparł chmurnie profesor Laurenti;. — Wie pan przecież, w jakich pracowałem warunkach, zwłaszcza przez ostatnie trzy lata. Ale gdybym miał do dyspozycji takie laboratorium jak pan i z takim personelem? Chociaż, prawdę mówiąc, dla moich prac i to laboratorium byłoby za małe. Ostatecznie, Chamfort, pan idzie drogą utorowaną. W dzisiejszych czasach wszędzie się konstruuje roboty elektroniczne. Pamięta pan, jak czytaliśmy kiedyś o robocie, którego w Związku Radzieckim skonstruowali uczniowie? Natomiast moje badania...

— Boże drogi, Laurent, czy pan mnie uważa za ostatniego bałwana? Czy ja tego nie rozumiem? Tak, pan jest prawdziwym geniuszem, pan o całe niebo prześcignął współczesną naukę. Prowadzi pan życie bohatera i męczennika, niszczy pan siebie pracując ponad siły i sztucznie podniecając umysł. Ale w imię czego? Człowiek jest tylko człowiekiem, Laurent. Jest wspaniały, owszem, jest genialny, coraz głębiej przenika tajemnice przyrody. Nie jest silny i zarazem słaby. Dążenia jego ducha znacznie przewyższają jego możliwości fizyczne. Wynałazł ogień, bo mu był potrzebny, następnie zaczął sporządzać kamienne narzędzia. A później przyszły koła, dźwignie, samoloty, energia elektryczna, energia jądrowa, półprzewodniki, cybernetyka. Najbardziej zaprawione ręce

nigdy nie uniosą tego ciężaru, jaki bez trudu podnosi olbrzymi dźwig. Choćby najusilniej trenować bieg, nie przegoni się pociągu. I nikt nie będzie latał bez samolotu, nie będzie na odległość rozmawiał bez telefonu czy radia. Doprawdy, Laurent, pan nie powinien stronić od naszej cybernetyki, zbyt wiele pan jej zawdzięcza.

— Tak, ja wiem... — mruknął profesor.

— Wie pan, no tak... Całe nieszczęście w tym, że ma pan archaiczną psychikę. Należy pan do tych, którzy w głębi duszy uważają, że pochodzenie od małpy jest czymś poniżającym dla człowieka. No i zapragnął pan za wszelką cenę pomóc człowiekowi w prześcignięciu maszyny...

— Mówi pan głupstwa, Chamfort! — wybuchnął profesor Laurent. — Nic podobnego! Czyż nie pojmuje pan, że jeśli nauczymy się oddziaływać na mózg człowieka, rozwijać jego zdolności we wskazanym kierunku, to otworzy się droga do powstania idealnej ludzkości, wspólnoty mędrców i poetów, pozbawionej wszelkich moralnych ułomności i niedoskonałości ducha!

Chamfort podniósł ręce i patrzył na Laurenta. Jego śniada, nieco murzyńska twarz pociemniała od przyływu krwi.

— Miły Boże, co za pomysły! Laurent, niechże pan nie będzie durniem, przecież walczył pan podczas wojny, był pan w maquis!

W przeciwieństwie do niego profesor zbladł jeszcze bardziej, nawet usta mu zbieleły.

— Co ma z tym wspólnego maquis? — spytał zdławionym głosem.

— Właśnie, że ma! Hitler na przykład w młodości malował, chociaż podobno dość podle. Zatem, zdaniem pana, gdyby spotęgować jego zdolności w tym kierunku i uczynić zeń dobrego malarza, to nie byłoby drugiej wojny światowej?

— Przecież ja mówię nie tylko o rozwoju talentów. W ogóle można i trzeba dopomóc człowiekowi, by już od dziecka uwolnił się od wszelakich ułomności. Dobre cechy istnieją w każdym człowieku, trzeba je tylko rozwinać...

— Wymyślił pan to wszystko siedząc zamknięty w swojej klatce! — oświadczył kategorycznie Chamfort. — Doprawdy, mówmy poważnie, Laurent, gdyby pan prowadził dawny,

normalny tryb życia, podobne głupstwa nigdy by nie przyszły panu do głowy. Gdyby pan powiedział o tym Saint-Ivesowi... Szkoda słów!

— Proszę mi wytłumaczyć, co i pan znajduje niedorzecznego w moich koncepcjach? — zapytał Laurent.

Albert widział, że drżą mu wargi, oparł się o ścianę. Chamfort również to zauważył.

— Niech pan się uspokoi! — powiedział. — Proszę usiąść, o tutaj, w fotelu. Tak... niech pan pokaże puls... Do diabła z pańskim Siałem-5, zaraz panu zrobię zastrzyk.

Wyszedł z gabinetu. Albert usiadł koło profesora, spoglądając z niepokojem na jego sine, półotwarte usta.

Nagle robot odwrócił się od deski kreślarskiej i skierował się w ich stronę. Albert mimo woli zerwał się z krzesła. Ciemnobrazowy lśniący wielkolud poruszał się na swoich gaśnicach z zadziwiającą lekkością.

— Potrzebujesz czegoś, Sokratesie? — zapytał Albert.

— Potrzebny mi stenogram sympozjum neurofizjologów i cybernetyków, które odbyło się na wydziale medycznym w październiku ubiegłego roku — odpowiedział Sokrates swoim przyjemnym barytonem.

Albert uśmiechnął się z przymusem i usiadł. Robot podszedł do stojącej w rogu biblioteki, wyjął gruby tom w ciemnej oprawie, znalazł odpowiednią stronicę i zamyślił się. Albert obserwował go uważnie. Sokrates jeszcze raz przejrzał stenogram, po czym wrócił do poprzedniej stronicy. Wszedł Chamfort niosąc strzykawkę.

— O co chodzi, Sokratesie? — zapytał.

— Zdaje mi się, że lepiej byłoby inaczej rozmieścić elektrody fosforanowe. Profesor Greene mówił na sympozjum, że...

— Rób, jak uważasz, Sokratesie. Decyduj sam — przerwał Chamfort. — No, Laurent, niech pan daje rękę.

Robot wstawił stenogram na właściwe miejsce i wrócił do kreślenia. Laurent uśmiechnął się.

— Jeżeli chciał mnie pan wprawić w osłupienie, Chamfort, proszę to uważać za fakt dokonany — powiedział cicho. — Pański Sokrates to istny cud. Nie uwierzyłbym, gdyby mi o tym opowiadano. On w niczym nie przypomina normalnych robotów z nieznośnie prostolinijną, szkolarską logiką,

brakiem wyobraźni i swobody wyboru. Winszuję panu z całego serca. Nie widzieliśmy się niecałe dwa lata i w tak krótkim czasie takie osiągnięcia...

— Niech pan nic nie mówi i siedli spokojnie. Pan też ma imponujące osiągnięcia, w dodatku pracując samotnie...

— Już będę milczeć i słuchać. Ale proszę mi teraz Wy tłumaczyć, czemu tak kategorycznie odrzuca pan moje koncepcje.

— Ach, Boże! Jeżeli pan choćby miesiąc pozycje z dala od swego laboratorium, zrozumie pan sam, do jakiego stopnia to wszystko jest niedorzeczne... Dobrze, już dobrze, proszę się nie denerwować, spróbuję panu wyjaśnić, że dwa razy dwa to jednak jest cztery, a nie, powiedzmy, lampa. Przypuśćmy, że można istotnie kierować rozwojem mózgu, sztucznie zwielokrotnić talenty, tworzyć cnoty i likwidować występki. Przyznaję, że nie bardzo wierzę w taką możliwość, ale przypuśćmy! Któż zacznie realizować taką kontrolę nad świadomością całej ludzkości, jak się pani zdaje, Laurent? Powiedzieć panu, kto?

— Proszę — rzekł profesor Laurent zamykając oczy.

— Oczywiście, że ci, w czyich rękach spoczywa władza! Kapitałiści, Laurent, prowodyrowie wojny, a może nawet faszyści! Czy pan, u diabła, nie widzi, jak jest urządzony nasz świat? Zapomniał pan o hitlerowskich krematoriach, zapomniał pan o Hiroszimie? Kto zawładnie magiczną siłą, jeżeli pan ją odkryje?

— Nie pomyślałem o tym — szepnął profesor nie otwierając oczu.

— Jak można nie myśleć o skutkach tego, co robimy?

— A pan? — Laurent nie poruszył się. — Czy pańskim Sokratesem nie mogą posłużyć się prowodyrowie wojny?

— Naturalnie że mogą. Ale Sokrates jest bądź co bądź tylko robotem. Nie daje swojemu posiadaczowi władzy nad świadomością ludzi. A pańskie doświadczenia ze stymulatorami, neurochemią, prądami wysokiej częstotliwości, jeśli je skierować na taką drogę, o jakiej pan marzy, jeśli przystąpią do nich poważnie finansowane laboratoria... O, Boże, Laurent, czy pan nie zdaje sobie sprawy, że to chyba daleko niebezpieczniejsze niż bomba atomowa.

Profesor milczał długą chwilę.

— Może pan ma rację, Chamfort — powiedział wreszcie przygnębionym głosem. — Muszę to wszystko przemyśleć. Ale jak pan, mając takie poglądy, może dalej pracować?

Chamfort rozłożył ręce.

— Cóż począć, mój drogi! Podobnie jak większość ludzi liczę na szczęśliwy wynik ostateczny. Widocznie jestem niepoprawnym optymistą...

— Nie nazwałbym pana optymistą...

— Nie nazwałby pan? Ach, Laurent, pan rzeczywiście wyizolował się z życia w sposób absolutny. Niech pan posłucha, co pisze pewien mądry i zacny człowiek. — Chamfort wyjął z biblioteki niedużą książkę. — „Ci spośród nas, którzy przyczynili się do powstania nowej nauki — cybernetyki, znajdują się, łagodnie mówiąc, w niezbyt pocieszającej sytuacji moralnej. Ta nowa nauka, która dzięki nam powstała, prowadzi do osiągnięć technicznych stwarzających olbrzymie perspektywy zarówno dla dobra, jak i [dla zła. Możemy oddać naszą wiedzę jedynie światu, w którym żyjemy, a jest to świat Belsen i Hiroszimy. Nie mamy nawet możliwości zahamowania tych nowych osiągnięć techniki. One unoszą się w powietrzu i gdyby któryś z nas wyrzekł się dalszych badań w dziedzinie cybernetyki, uzyskałby jedynie to, że dalszy rozwój tej nauki przeszedłby w ręce najbardziej nieodpowiedzialnych i interesownych ludzi spośród naszych inżynierów. Najlepsze, co możemy zrobić, to zatroszczyć się, by szerokie rzesze społeczeństwa rozumiały ogólny kierunek i znaczenie tej pracy, jak również ograniczyć własną działalność do dziedzin tak dalekich od wojny i eksploatacji, jak fizjologia i psychologia...” — No, tu, jak pan widzi, popełnia on błędy w rodzaju pańskich... Wprawdzie, o ile mi wiadomo, nie zajmował się zagadnieniem oddziaływania na mózg ludzki... Teraz dalej: „Są również tacy, którzy mają nadzieję, że korzyść z lepszego poznania człowieka i społeczeństwa, jaką daje ta nowa gałąź nauki, zdoła przeważać i zapobiec naszemu mimowolnemu współudziałowi w koncentracji władzy która zwykle z natury rzeczy skupia się w rękach ludzi najbardziej nie przebiegających w środkach. Trzeba jednak stwierdzić, że nadzieja na taki efekt końcowy

jest bardzo słaba...” Tak! — Chamfort zamknął książkę. — Zatem chyba nie mnie należy uważać za pesymistę...

— To Norbert Wiener? — spytał profesor Laurent. — No właśnie, tak przypuszczałem. Ale jemu tak mocno utkwiała w mózgu myśl o nieuniknionej śmierci cieplnej Wszechświata, że dziwię się, iż zajmuje się jeszcze problematyką społeczną.

— Uważa, że nawet na tonącym okręcie trzeba zachować przyzwoitość i godność ludzką. Prawdopodobnie taka jest przyczyna.

— Ale przecież pan też jest w gruncie rzeczy zdania, że nasz świat jest światem Hiroszimy i krematoriów.

— Nie, ja tak nie myślę. Bo cóż to znaczy „świat Hiroszimy”? Hiroszima jest okaleczona, ale żyje i ludzie walczący przeciwko wojnie jej imię właśnie mają na ustach. Nie, ja nie podzielam pesymizmu Wienera ani w prognozach co do przyszłości Wszechświata, ani w rozważaniach o losach ludzkości. Nie oznacza to jednak, że wolno panu zamykać oczy na zaciętą walkę, jaka się toczy obecnie na całym świecie, i myśleć siedząc w swoim laboratorium, że żyje pan w szczęśliwej Arkadii.

— Widzę, że stał się pan zawołanym działaczem politycznym, Chamfort — rzekł zamiast odpowiedzi profesor Laurent, wstając z fotela. — Dziękuję panu za Sokratesa i za pańskie wywody godne współczesnego Sokratesa. Pochlebiamy, że zwraca się pan do mnie jak do wyznawcy tych samych idei, który tylko przypadkiem pobłądził. Ale szczerze mówiąc — myli się pan. Wojna, maquis, to już odległa przeszłość, byłem wtedy młody, prostszy, na wiele rzeczy patrzyłem inaczej. A teraz jestem daleki od polityki. Poza tym to przecież była wojna z faszystami. Ja nadal jestem wrogiem faszyzmu. Ale Hitlera nie ima na świecie...

— Właśnie przez takich jak pan zjawiają się na świecie Hitlerzy! — uniósł się Chamfort.

— Wy w swoich laboratoriach tworzycie potężne siły, a potem patrzycie obojętnie, jak owe siły obraca się przeciw ludzkości i powiadacie: „Jestem daleka od polityki”.

Laurent uśmiechnął się z ironią.

— Co się z panem dzieje, Chamfort? Nie poznaję pana. Cóż za gorączka namiętności politycznych! Więc oskarża mnie pan

o sprzyjanie Hitlerowi? A przecież dawniej cechowało pana normalne poczucie humoru...

Chamfort zacisnął pięści i z trudem przełknął ślinę.

— Dobrze, Laurent. Wykonam pańskie zamówienie.

— Z góry dziękuję — odrzekł ceremonialnie profesor Laurent.

W laboratorium panowała cisza. Rajmund i Roger czytali, Michel przeprowadzał jakąś skomplikowaną analizę. Słońce świeciło prosto w okna, na białych roletach wyraźnie i złowieszczo rysowały się czarne krzyże krat, na zielonym tle linoleum, pokrywającego podłogę, krzyżowały się wąskie smugi. „Jasna, przestronna cela więzienna” — pomyślał nagle Albert. Profesora Laurenta musiała uderzyć ta sama myśl. Na szarej, bezkrwistej twarzy odmalował się wstręt i smutek, stał chwilę na progu, wodząc spojrzeniem po pokoju. Roger odłożył książkę.

— Pójdą przygotować coś do jedzenia — powiedział. — Dobrze, że wczoraj kupiłem produktów na dwa dni. Inaczej siedzielibyśmy o pustym żołądku.

Rajmund wyszedł za nim. Profesor Laurent, powłócząc nogami, dowlókł się do fotela przy oknie, usiadł ciężko i przechylił głowę na oparcie.

— Co mam robić, profesorze? — spytał Albert.

— Nic. — Poruszył się, wy dostał Sial-5 i połknął granulkę. — Trochę za dużo na dzisiaj, ale co poradzić, zbyt wielkie obciążenie dla serca i mózgu... Michel, wszystko w porządku? Michel po raz pierwszy odwrócił głowę od swoich próbek:

— Paul się obudził. Czuje się bardzo źle. Francois jeszcze śpi.

— Co z Paulem?

— Serce pracuje słabo. A po drugie, jakieś zaburzenia psychiczne. Zachowuje się, jakby mnie widział po raz pierwszy i nie wie, kim jestem.

— To źle. Bardzo źle. A Pierre?

— Jest ogromnie przestraszony. Nie opuszcza Paula.

— Tak. Poczekamy, aż Paul się znowu obudzi. Michel, daję ci pitne zadanie, spis z najdrobniejszymi szczegółami wszystko, co pamiętasz z otoczenia. Od samego początku, od pierwszych chwil. Mogą to być fragmentaryczne, niejasne i

niepełne wrażenia. Może nie wszystko sobie uświadamiałaś. Obojętne — zapisuj to, co widziałeś, słyszałeś i tak dalej. Najważniejsza rzecz, żeby było szczegółowo, z zachowaniem kolejności i dokładnie. Rozumiesz?

— Rozumiem — powiedział Michel patrząc uważnie na profesora. — Dobrze. Spiszą wszystko z najdrobniejszymi szczegółami.

— Zaczynij od razu.

— Dobrze — Michel wyraźnie się wahał. — A jeśli będą tam motywy osobiste nie mające związku z istotą rzeczy!

— Jakie motywy osobiste? Przecież proszę cię, żebyś napisał wszystko, co pamiętasz. Ty, osobiście, od pierwszego dnia. Postaraj się nie poplątać kolejności spostrzeżeń, to wszystko.

— Ja wiele rzeczy widziałem i słyszałem, ale co one znaczą, zrozumiałem dopiero później.

— Zgoda. Napisz więc w nawiasie: później zrozumiałem, że znaczenie tego jest takie czy inne. Ale najpierw wymień dokładnie: to zobaczyłem, usłyszałem i zrozumiałem wtedy a wtedy, tego dnia, a nie innego. To dla mnie bardzo ważne, chcę zbadać, jak kształtowała się twoja świadomość.

Michel wyjął z szafy maszynę do pisania, paczkę papieru, zasiadł przy stole i po chwili namysłu zaczął z zawrotną szybkością uderzać w klawisze. Profesor popatrzył na niego i westchnął.

— A jednak w Michelu są pewne rysy obce człowiekowi — powiedział cicho. — I dobre, i złe. Żaden człowiek nie jest w stanie nauczyć się w ciągu dwóch dni pisać tak szybko na maszynie. Michel pisze prędzej niż najlepsza maszynistka, jaką kiedykolwiek znałem. I nie popełnia błędów. To znaczy — błędów maszynowych. Inne mu się zdarzają, czasami bardzo osobliwe; nie rozumie niektórych prostych rzeczy, gdyż nie prowadził normalnego życia.

— Profesorze, proszę się koniecznie położyć, nie podoba mi się pana oddech — zaniepokoił się Albert.

— Tak... Sial-5 to z pewnością nie panaceum, zwłaszcza jeśli go nadużywać. — Twarz profesora nagle zsiniała, z trudem chwycił oddech.

— Michel! — zawołał Albert.

— Czego pan sobie życzy, profesorze? — spytał Michel

podchodząc. — Pan... pan jest chory?

— Michel jest zaskoczony, widzi pan? — uśmiechnął się słabo profesor. — Przez cały czas trzymałem się dobrze. Ale teraz, kiedy mam pomoc, pozwoliłem sobie rozkleić się...

— Trochę za dużo pan chodził, mówił, denerwował się — rzekł mentorskim tonem Michel badając puls profesora. — Tętno przyspieszone... nierówne... Zaraz zrobię panu zastrzyk. Zażywał pan Sial-5?

— Zażyłem dzisiaj aż trzy tabletki.

Michel popatrzył badawczo na profesora. Na jego twarzy odbił się wyraz naprężenia, jakby rozstrzygał jakiś trudny problem.

— Trzy tabletki? Ależ pan wie doskonale, że wolno zażywać najwyżej dwie! To przecież nielogiczne!

Profesor uśmiechnął się. Michel jeszcze sekundę patrzył na niego nieruchomo i odszedł przygotować strzykawkę.

— Jeśli tak dalej pójdzie — odezwał się cicho profesor Laurent — Michel zacznie mnie uważać za model wymagający przeróbki... Nielogiczne postęпки, zaburzenia w funkcjonowaniu ośrodków hamujących, fizyczna słabość... Słyszał pan, jak mi tłumaczył, że powinienem w oczach tutejszych mieszkańców uchodzić za wszechmogącego?

— Tak. Jednakże, moim zdaniem, Michel jest coraz bardziej skłonny myśleć, że co najmniej dorównuje panu. Pod pewnymi względami pan jest silniejszy, pod innymi on, a w ogóle — ma remis.

— Hm... Możliwe.

Michel przyniósł strzykawkę.

— Co to jest? — spytał profesor.

— Proszę być spokojny, to jest coś, co panu dobrze zrobi — odpowiedział Michel pomagając profesorowi zawinać rękaw.

— No cóż, polegam na tobie — profesor spojrział porozumiewawczo na Alberta.

— A teraz musi pan poleżeć — rzekł Michel zrobiwszy zastrzyk. — Pomożemy panu przejść na kanapę.

Profesor z westchnieniem ulgi wyciągnął się na kanapie pod oknem. Albert zdjął mu buty, rozpiął pasek, narzucił pled na nogi. Lekki powiew kołysał białą zasłoną, za oknem szeleściły liście, któż chciałby myśleć o tym, że od wolnych

przestrzeni i majowej zieloności odgradza go krata dobrowolnego więzienia.

— Niech pan posiedzi przy mnie, Duclos — powiedział cicho profesor. — A ty, Michel, wróć do pisania.

Długi czas leżał w milczeniu. Albert patrzył na jego zmizerowaną, niemal przezroczystą twarz, na wysokie czoło, przekreślone na ukos cienką czerwoną kresą... Boże, przecież zaledwie pięć lat temu profesor Laurent wyglądał najwyżej na lat trzydzieści! Albert zobaczył niemal na jawie, jak profesor lekkim i szybkim krokiem wbiega do audytorium, przesuwa dłonią po gęstej czuprynie odgarniając z czoła opadający kosmyk. Zobaczył wyraziste oczy Laurenta, jego dawne oczy, błyszczące ogniem życia, a nie złudnym ożywieniem, jakie na krótko roznieca Sial-5. Westchnął cicho. Posiwiałe włosy, głębokie zmarszczki, szara, bezkrwista cera — i to jest Laurent, Laurent-Ogień, jak go nazywali studenci?

Profesor jak gdyby odgadł jego myśli.

— Niech pan zejdzie na dół i poprosi Luizę o lusterko. W łazience jest lustro, ale już bardzo zmatowiałe i zresztą ciemno tam...

Albert westchnął i wyszedł z pokoju. Na dole natknął się na Rogera, który skądś wybiegł na jego spotkanie.

— Głodny jesteś? — spytał wyraźnie zdehumorowany. — Ach, idziesz do Luizy? No, proszę, idź, jest u siebie... Tylko nie zapomnij zapukać! — dodał znacząco.

Albert spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Siedzi u niej ten lalusz — wyjaśnił Roger. — Jeśli ty dalej sądzisz, że on jest jej siostrzeńcem, to nie wiem, czego cię uczyli na uniwersytecie! No, czemu stoisz, idź prędzej!

Na pukanie Alberta przez dłuższą chwilę nie było odpowiedzi. Potem rozległy się kroki, Rajmund otworzył drzwi.

— Ach, to pan! — powiedział lekko zmieszany i odsunął się przepuszczając Alberta.

Luiza leżała w łóżku, lecz wcale nie wyglądała na chorą. Przeciwnie, od wczorajszego dnia zadziwiająco wypiękniała. Zarumieniona, z błyszczącymi rozmarzeniem oczami, sprawiała wrażenie młodej dziewczyny. Natychmiast z trochę nienaturalnym ożywieniem, zaczęła mówić:

— Odkąd panowie jesteście w naszym domu, wszystko się tak zmieniło. Już się nie boję i o Henryka jestem spokojna, gdy ma koło siebie takich dzielnych, silnych i mądrych ludzi...

— Boże — zawołał Albert śmiejąc się z całej duszy. — Co też pani mówi!

— Naprawdę! Nie wyobraża pan sobie, jaka tu była koszmarna atmosfera, zwłaszcza przez ostatni miesiąc... przedtem również... — Pobladła, kąci jej warg opadły żałościwie. — Sama jedna całymi dniami, Nanon płacze i modli się, na górze dzieją się jakieś okropne rzeczy, Henryk ledwie się trzyma na nogach...

— Tak, rozumiem — mruknął Albert. — Cieszę się, że pani lepiej się czuje...

Odczuwał dziwne skrępowanie. Może sprawiły to aluzje Rogera, ale wydawało mu się, że pomiędzy Luizą a tym młodym człowiekiem, który twierdzi, że jest jej siostrzeńcem, rzeczywiście istnieją jakieś potajemne stosunki. Bo i czemu Luiza wygląda na tak szczęśliwą i młodą? Wczoraj rano była ledwie żywa... Ostatecznie Albert doszedł do wniosku, że wszyskie te sprawy nie powinny go obchodzić i poprosił Luizę o lusterko.

— O, proszę bardzo! — odpowiedziała wesoło. — Tam na toalecie leży ręczne lusterko. Aha, czy mogę panu mówić po imieniu? Wiem, że wszyscy jesteśmy prawie w jednym wieku. Albert zapewnił, że będzie zachwycony, na co Luiza roześmiała się.

— Tak będzie lepiej. Bo Roger Leroix bez pytania mówi mi już po imieniu.

Po wyjściu Alberta Rajmund znowu usiadł przy łóżku.

— Niech pani opowiada dalej, Luizo — powiedział ujmując jej rękę.

— Tego niepodobna opowiedzieć... są rzeczy, które trudno oddać słowami... — Luiza nie cofała ręki. — Chodził zawsze sam, miał takie dziwne spojrzenie, jak gdyby żył w zupełnie innym świecie, o wiele piękniejszym niż ten. Robił wrażenie człowieka silnego, niepospolitego... Później dowiedziałam się, kto to jest. Przyjechał mój kuzyn, lekarz, mówił o nim z ogromnym zachwytem i uwielbieniem. Poznałam Henryka,

zainteresował się mną, czułam się tym pochlebiona. Kiedyś spacerowaliśmy razem nad brzegiem morza... Był taki niezwykle, cudowny zachód słońca po silnej burzy, niebo w krąg ciemnofioletowe i purpurowe, na horyzoncie zapalały się jeszcze ciche i blade błyskawice... Piasek był wilgotny, stąpaliśmy po nim, a za nami zostawał wyraźny podwójny ślad... Henryk powiedział mi, że jest samotny, żona porzuciła go i wyszła za męża za jego przyjaciela... Ja też czułam się taka samotna i nieszczęśliwa po stracie Fernanda... No i... rozumie pan, zdawało mi się wtedy, że Henryk kocha mnie prawdziwie.

— Rozumiem — powiedział Rajmund patrząc na jej palce.
— Biedna dziewczynko, życie nie obeszło się z panią zbyt łaskawie.

Łzy zabłysły w oczach Luizy, odwróciła głowę.

— Po” raz pierwszy od wielu miesięcy, a nawet lat, wydaje mi się, że znów świeci słońce... Nie, nie tamten złowieszczo purpurowy zachód nad morzem, lecz łagodne i jasne słońce poranku... — Głos jej się załamał.

— Luizo, nie płacz, kochanie. — Rajmund przyciągnął ją do siebie, całował rozpalone czoło, jedwabiste, splecione włosy.
— Wszystko będzie dobrze, zobaczysz...

Siedzieli bez ruchu. Głowa Luizy spoczywała na ramieniu Rajmunda, on wdychał zapach jej włosów rozświetlonych promieniem słońca i czuł, że ta delikatna, gorzkawa woń zaczyna go odurzać. „To wszystko nie ma sensu — pomyślał nagle trzeźwiejąc. — Przyjść z taką trudną misją do tak niezwykłego domu i... naraz zakochać się w cudzej żonie... Nie, to czyste szaleństwo!” Odsunął się łagodnie.

— Musi pani odpocząć, Luizo — powiedział. — Kto wie, co panią czeka jutro, a może nawet dzisiaj. Trzeba nabrać sił.

— Tak, ma pan rację... — Luiza zamknęła oczy i opadła na poduszkę. — Czasami wydaje mi się, że najlepiej byłoby umrzeć... wtedy można o niczym nie myśleć, niczego nie pragnąć... Bywają przecież ludzie, którym szczęście nie jest sądzone...

Mówiła to bez skargi, spokojnym, znużonym głosem. „Ona jest naprawdę zadreńczona, biedactwo! — pomyślał Rajmund. Delikatnym ruchem głaskał rękę Luizy. — Diabelnie to wszy

stko skomplikowane... Chciałbym wiedzieć, jak się skończy historia z tymi potworami... Zresztą nie one są najważniejsze... — Luiza to czarujące stworzenie, taka miła, czysta, romantyczna, tak marzy o miłości... i przecież zasługuje na czyjeś prawdziwe uczucie... Ale co robić?”

Profesor Laurent długo patrzył w lusterko. Potem oddał je bez słowa Albertowi i położył się zamknawszy oczy. Z początku twarz jego mąciło lekkie nerwowe drganie, potem minęło i Albert przypuszczał, że profesor zasnął. Wkrótce jednak otworzył oczy.

— Jest pan tutaj, Duclos? Proszę mi powiedzieć, czy wtedy, gdy zawołałem pana przez furtkę, poznał mnie pan od razu?

— Oczywiście, że tak — skłamał Albert, który wcale nie miał pewności, czy poznałby profesora, gdyby wcześniej nie odkrył, że to jego dom.

— Hm... nie uwierzy pan, ja po raz pierwszy od przeszło dwu lat przyjrzałem się sobie... z pewnością nie należy zalecać ciągłego stosowania Sialu-5 — rzekł nagle rzeczowym tonem. — Zresztą, to nie tylko ten preparat... Obląkane życie, Duclos! Cóż za obląkane życie! Czy mam tak umrzeć, nie doprowadziwszy mojej pracy do końca... pośród tych dziwnych stworów, półludzi, półmechanizmów? Czy pan wie, że do dziś jeszcze się nie oswoilem... Czasem otwieram rano oczy i zdaje mi się, że jeszcze śpię, że to tylko jakiś natrętny koszmar.

— Rozumiem dobrze to uczucie — powiedział Albert oglądając się mimo woli. — Przecież pan stworzył coś, co innym tylko przyśnić się może.

— Tak, zapewne, ale za jaką cenę! Zapłaciłem chyba najmniej w czwórnasób za każdy rok spędzony tutaj... Kosztowna satysfakcja! To tak, jakby zesłać samego siebie do kopalni rtęci.. W okopach, po kolana w wodzie, było lepiej... byli towarzysze broni, wierni koledzy, było niebo nad głową, a jeśli groziła śmierć, to chwalebna śmierć w boju, jednaka dla wszystkich... W roku 1942, w maquis, poszliśmy we czterech zakładać miny na torze kolejowym, no i była wpadka... Stłukli nas na miazgę, potem zamknęli w szopie. Rano miało się odbyć „prawdziwe” badanie, z oficerem gestapo... Leżeliśmy

zbici, związani, w oczekiwaniu tortur i śmierci. Ale przed świtem współtowarzysze wpadli do wsi, rozgromili żandarmery i uwolnili nas. Chamfort kolbą automatu rozbił zamek w drzwiach szopy... To było życie ludzkie, wśród ludzi, wśród przyjaciół... A tu? Ja przecież wyrzekłem się żyda bardziej konsekwentnie i stanowczo niż mnich-pustelnik. Ze wszystkiego, co składa się na życie ludzkie, zostawiłem dla siebie tylko wartości poznawcze i twórcze, tylko szaleńcze, żarliwe i ślepe poszukiwania, tylko straszliwe napięcie i nadludzką pracę... i w imię czego? Teraz Chamfort kpi ze mnie jak z dziecka i może ma rację, gdyż takie straszne lata w izolacji od życia nie mijają bez śladu, można w niezauważalny sposób utracić jakąś część duszy, ograniczyć wszechstronność umysłu... A pan, jak uważa, Duclos, kto ma rację — Chamfort czy ja?

— Nie wiem — odpowiedział Albert czerwieniąc się gwałtownie. — Doprawdy nie rozejrzałem się jeszcze w tym zagadnieniu... Cóż panu, zresztą, da moja opinia, profesorze, ja przecież de facto jestem ignorantem, przez tych kilka lat zdążyłem zapomnieć nawet to, czego się uczyłem na uniwersytecie...

— A co pan właściwie robił w tym czasie?

— Czasami poszukiwałem pracy, czasami pracowałem. Byłem wszystkim po trochu. Gryzipiórkim, windziarzem, rozklejaczem afiszy... Ostatnie trzy miesiące pracowałem z Rogerem Leroix w pralni. Później miesiąc byliśmy bezrobotni. No i trafiliśmy do pana...

— Niewesoło... I mimo wszystko zachował pan młodość i zdrowie, wszystko jeszcze przed panem... Ile pan ma lat?... Dwadzieścia siedem? No, widzi pan...

Ukazał się Robert z tacą zastawioną talerzami.

— To dla profesora — powiedział. — A ty, Albercie, zejdź na dół, zjemy obiad w kuchni.

— Niech pan idzie — przytaknął profesor. — Na razie jest spokój. I zresztą zostaje tu Michel.

— Siadaj. — Roger przysunął taboret do czysto wyszorowanego kuchennego stołu. — Zaraz przyjdzie ten lalusz, jak tylko nakarmi Luizę. Bierz się do jedzenia.

Wkrótce nadszedł Rajmund z pustymi talerzami. Przez

pewien czas wszyscy trzej w milczeniu jedli obiad. Albert uporał się pierwszy, ponieważ zaczął najwcześniej. Roger nalał mu czarnej kawy.

— Wlewaj no w siebie prędzej tę kawę — powiedział — i chociaż w paru słowach wytłumacz nam tę historię na gorze.

— Kiedy widzicie, moi drodzy, ja niewiele mogę wam wyjaśnić — zaczął Albert. — Profesor Laurent tak dalece wyprzedził współczesną naukę, że to się chwilami wydaje fantazją. Jak o tym mówić?

— No prędzej, prędzej, nie łam się! — popędzał go Roger kończąc befsztyk.

— Przypuszczam, że nie interesuje was specjalnie, jakimi drogami doszedł do tego profesor Laurent. Ja sam zresztą nic jeszcze o tym nie wiem. Ale rezultat nie ulega wątpliwości. Udało mu się sztucznie, metodą laboratoryjną, wyhodować mózg ludziki, niektóre narządy i nawet całkowitego człowieka — mam na myśli Paula.

— Więc tamci nie są całkowitymi ludźmi? — zapytał Roger.

— Nie. Wszyscy mają żywy mózg. Widzieliście te rurki na ich szyjach. Otóż prowadzą one do zbiornika napelnionego środowiskiem odżywczym. Jeżeli mocno zacisnąć tę rurkę, następuje utrata świadomości, a potem nawet śmierć, gdyby ścisnąć za długo. Dlatego właśnie profesor Laurent poleca w razie jakiegoś zajścia przede wszystkim starać się chwycić za tę rurkę, a potem wstrzyknąć narkotyk. Następnie — wszyscy oni mają szkielety z masy plastycznej; w przypadku François powiódł się eksperyment z narastaniem mięśni oraz skóry.

Michel, oprócz mózgu, ma wszystko sztuczne, nawet serce i płuca, nawet twarz. Są to protezy sterowane bioelektrycznością.

— Co to znaczy: sterowane bioelektrycznością? — spytał uważnie słuchający Rajmund.

— To znaczy za pomocą bioprądów mózgu. Rozumie pan, żeby przypuścmy wziąć widelec, nasz mózg wysyła mięśniom odpowiedni impuls i wtedy następuje odruch.

Roger wziął ze stołu widelec i z niedowierzaniem popatrzył na swoją rękę. Albert uśmiechnął się.

— Nie, Rogerze, to się dzieje automatycznie. Gdyby stale myśleć o tym, jaką grupę mięśni mamy w danej chwili

uruchomić, można by oszaleć... Świadome zastanawianie się nad mechanizmem każdego oddechu, każdego uderzenia serca, każdego kroku jest zupełnym niepodobieństwem. Robi to nasz wegetatywny układ nerwowy bez udziału świadomości. On automatycznie reguluje funkcje organizmu w zmiennych warunkach. Gdy na przykład wspinamy się pod górę lufo po prostu wchodzimy po schodach, mięśnie się naprężają, przyspiesza się oddech i bicie serca, ponieważ zwiększyło się obciążenie, a więc trzeba się do tego przystosować. Robi się gorąco — i na skórze występuje pot, organizm bowiem stara się wyregulować temperaturę wewnętrzną, zwiększyć przepływ ciepła. No i tak dalej. Od czasu, gdy udało się wyjaśnić, że cały ten złożony mechanizm jest sterowany prądami wysyłanymi z mózgu, stało się w zasadzie możliwe sporządzanie protez, które byłyby sterowane właśnie owymi, jak je nazwano bioprądami... Rosjanie już w roku 1958 skonstruowali „żelazną rękę”. Podłączona do ręki człowieka, robiła to, co jej rozkazywał mózg — zginała, rozginała palce itp. Wówczas było to zdumiewające osiągnięcie. W przyszłości niewątpliwie będą masowo produkowane nie tylko bioelektrycznym protezy dla inwalidów, w pełni zastępujące amputowane ręce lub nogi, ale również mechanizmy, którymi mózg człowieka będzie sterował na odległość — nawet z bardzo daleka... Otóż to, co oglądałem dziś w laboratorium Chamforta, jest na pewno drogą ku przyszłości. Jakkolwiek Chamfort zajmuje się tym właściwie marginesowo, jego cele są inne.

— A co takiego robi Chamfort? — spytał zaintrygowany Rajmund.

— Tworzy zdumiewające roboty, zdolne samodzielnie myśleć... no, rozumiecie, to jest niezupełnie właściwe słowo, gdyż u nich ten proces przebiega inaczej niż u ludzi, jednakże innego słowa nie ma. Ale zwykły robot działa według z góry nakreślonego programu, obliczonego na pewne warunki, na tę lub inną sytuację. Jeśli natomiast sytuacja zmieni się w sposób, jakiego nie przewidział człowiek układający program, to robot znajdzie się w impasie. Człowiek zawsze jakoś zareaguje na niespodziane okoliczności, spróbuje szukać wyjścia, a robot po prostu zatrzyma się i przestanie działać. To był właśnie główny atut ludzi sceptycznie odnoszących się

do dalszych perspektyw cybernetyki — cóż, powiadali, to mimo wszystko jest maszyna, która „wie” tylko to, co włożył w nią jej twórca—człowiek, nie posiada woli, wyobraźni, złożonej pamięci oraz swobody wyboru. W ostatnich latach cybernetycy pracują nad tym, by stworzyć „myślące”, „uczące się” roboty, to znaczy takie, które mogłyby, (podobnie jak człowiek, odbierać informacje z otoczenia, gromadzić coraz to nowe wiadomości i odpowiednio zmieniać zachowanie... Nie rozumiesz, Rogerze? No, na przykład, my obaj byliśmy bez pracy. Przez pięć lat uczyłem się czego tylko można, z wyjątkiem zmywania naczyń, prasowania bielizny i dźwigania ciężarów. Ty byłeś marynarzem. A jednak imaliśmy się różnorodnych robót i lepiej czy gorzej, ale je wykonywaliśmy. I cel nam przyświecał nienadzwyczajny — ot, po prostu, żeby nie zdechnąć z głodu, dopóki nie urządzimy sobie życia po ludzku, a przecież dla osiągnięcia go nie gardziliśmy żadną pracą. Ja wyuczyłem się widu rzeczy, o których przedtem nie miałem najmniejszego wyobrażenia. Ty z pewnością tak samo. Tu nawet nie chodzi o stopień trudności tych funkcji, bo na przykład prasowanie bielizny jest znacznie prostsze niż przeprowadzanie eksperymentów neurofizjologicznych, mimo to jednak musiałem nauczyć się prasować. W ogóle człowiek nie przychodzi na świat, że tak powiem — gotowy, tylko rośnie i ciągle czegoś się uczy. Na początku umie jedynie to, co jest konieczne dla utrzymania się przy życiu, na przykład oddychać i ssać mleko. Potem uczy się chodzić, mówić, potem, być może, pływać albo orać ziemię, albo handlować — no i tak dalej. Rozumiesz teraz? Więc właśnie cybernetycy usiłują skonstruować takie roboty, które by również z biegiem czasu czerpały wiedzę z otoczenia, gromadziły i wykorzystywały doświadczenia... Wiecie co, kiedy zobaczyłem, jak robot Chamforta kreśli, tworzy samodzielnie jedną z najbardziej skomplikowanych konstrukcji, przemyśla ją, wprowadza ulepszenia... to przecież istne чудо! Dopiero będzie sensacja, jak Chamfort zademonstruje swojego Sokratesa szerokiemu audytorium! Albert nie domyślił się, czemu przy tych słowach Rajmund drgnął i wstrzymał oddech. Wziął to w dobrej wierze za objaw nader żywego zainteresowania. Tymczasem Rajmund zastanawiał się w tej

chwili, jakim by cudem dostać się do laboratorium Chamforta, zanim ktoś inny sprzątnie mu tę sensację... wprawdzie ma tutaj inne zadanie, ale dobrze byłoby złapać jeszcze i tamto. Wydało mu się, że Albert odgadł jego myśli, zaraz bowiem dodał:

— Tylko słuchajcie, moi drodzy, nikomu ani słowa o Chamforcie. I oczywiście o profesorze Laurent tak samo. Chamfort mnie uprzedzał, zresztą sami chyba rozumiecie...

— Naturalnie, że rozumiemy — zapewnił skwapliwie Rajmund.

Nie zdołał ukryć zawodu i zdawało mu się, że Roger rzucił na niego ukradkiem chytre, nieufne spojrzenie. Albert mówił dalej:

— Objaśniam wam to wszystko w sposób bardzo uproszczony i nawet nie dlatego, że moglibyście nie zrozumieć, ale po prostu ja sam niezbyt się jeszcze orientuję. Powtarzam to, co słyszałem od profesora, co wyłowiłem z jego dyskusji z Chamfortem i co zdążyłem naprędce w jeden dzień przeczytać... No, oczywiście, coś niecoś w ogólnych zarysach wiedziałem i przedtem.

— Dobra, dobra, mów dalej — popędził go Roger. — Jeszcze nic dotąd nie powiedziałaś o tych bastardach profesora. Jaki w tym sens — czy oni również potrafią nauczyć się czegoś tak jak my?

— Właściwie to ja też nie bardzo rozumiem — wtrącił Rajmund. — Jeżeli cybernetycy mogą osiągać tak zdumiewające wyniki jak na przykład Chamfort, po cóż robić to wszystko, co robi profesor Laurent? No, przypuśćmy, że jego François jest genialnym matematykiem, a Michel posiada rewelacyjną pamięć i zdolność pracy. Ale mimo wszystko są to obrzydliwi bastardi, jak słusznie określił ich Roger, i żaden normalny człowiek nie zechce z nimi pracować. A przecież na świecie jest sporo normalnych ludzi obdarzonych genialnymi zdolnościami w wielu dziedzinach. Z drugiej zaś strony wiadomo, że nawet zwykła maszyna cybernetyczna, nie tak doskonała jak robot Chamforta, potrafi wykonywać obliczenia matematyczne wielokrotnie szybciej niż człowiek. I w dodatku — dokładniej, bez błędów wynikłych z roztargnienia czy zmęczenia. Jaki wobec tego sens i jaki cel mają eksperymenty

profesora Laurenta?

Albert zamyślił się.

— Tak, to jest bardzo skomplikowane zagadnienie — rzekł po chwili. — Ja sam tu nie wszystko rozumiem. Ale wiecie, co wam powiem? Przede wszystkim nie wolno po pierwszych krokach w nowej dziedzinie wiedzy przesadzać o jej dalszych perspektywach. Na przykład samolot braci Wright wydaje się dziecinną zabawką w (porównaniu ze współczesnym odrzutowcem. Ale to był pierwszy krok na absolutnie nowej drodze. Albo pierwsze kadry filmu — czy można było wówczas przewidzieć, że są to narodziny nowej wspaniałej sztuki? Tak więc nie chodzi o to, jak teraz wygląda Michel czy Paul, chodzi o zasadę. Po drugie, o ile się orientuję, profesor Laurent dąży do dwóch wzajemnie powiązanych celów. Pragnie nie tylko tworzyć takie istoty o wysoko wyspecjalizowanych funkcjach. Spodziewa się na podstawie badań sztucznie wyhodowanego mózgu odkryć tajemnicę ludzkiej świadomości, ściśle określić jej mechanizm i nauczyć się nią kierować. Sądzi, że przez oddziaływanie na mózg można będzie kształcić w ludziach różnorodne talenty, usuwać wady charakteru itp.

— Ho, ho! — powiedział Roger. — Coś podobnego!

— Wydaje mi się jednak, że replika Chamforta była słuszna, mianowicie — jeśli taki sposób kierowania świadomością ludzi zostanie dziś odkryty, to owa potężna magiczna siła może dostać się w ręce tych, którzy przygotowują wojnę. Rajmund wzruszył ramionami:

— No, gdybyśmy tak rozumowali, to w ogóle nie warto niczym się zajmować — ani nauką, ani pracą. I nawiasem mówiąc, jeżeli już wojna wybuchnie, to bomby atomowe i wodorowe przyniosą zagładę całej ludzkości. A wtedy żadna kontrola nad świadomością nie będzie potrzebna.

— Nie sądzę, by pan miał rację — powiedział Albert. — Mogą obawiać się użyć broni atomowej właśnie dlatego, że posiadają ją obie strony. Gdyby Amerykanie zrzucili na Rosję bombę atomową, Rosjanie odpowiedzą tym samym i Ameryka doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Przecież Niemcy podczas ostatniej wojny mieli bardzo groźną broń chemiczną i bakteriologiczną. A jednak jej wie użyli, obawiali się odwetu, który z uwagi na niewielkie terytorium byłby dla Niemiec katastro

falny. Ale, powiedzmy, że profesor Laurent czy ktoś inny dokona tego rewelacyjnego odkrycia i że jego sekret stanie się na długo własnością jednego państwa, no dajmy na to Ameryki... już ona potrafi wykorzystać to odkrycie...

— Dlaczego właśnie Ameryka, a nie Francja? — zapytał Rajmund...

— No cóż, wydaje mi się, że nasz rząd po prostu nie ma pieniędzy, by je zrealizować. A co ważniejsze — pozycja Francji w polityce międzynarodowej nie jest całkowicie niezależna... Możliwe, że się mylę...

— A jeśli ten sekret trafi do Rosji?

— Do Rosji? Raczej wątpię. Może — Rosjanie sami do tego dojdą, wtedy inna sprawa. Ale sekret profesora Laurenta... nie, jakim cudem tam się znajdzie?

— Przez komunistów na przykład... — nastawał Rajmund.

— Coś mi się wydaje, że ma pan głowę porządnie nabita głupstwami — powiedział Albert spoglądając na niego ze zdziwieniem. — Jakim sposobem komuniści mogą dotrzeć do profesora Laurenta? On sam będzie wcześniej czy później zmuszony zwrócić się do rządu, ale przecież nasz rząd nie składa się z komunistów.

Roger, który przez cały czas myślał z nateżeniem, odezwał się nagle:

— Nieuważnie słuchałem i nie wiem, skąd nagle rozmowa zeszła na komunistów. Jeśli macie coś przeciwko nim, to powiem wam, że niesłusznie — są między nimi diablo porządne chłopy. Co prawda nie bardzo rozumiem, co im siedzi w głowie i czego chcą dopiąć, ale ile razy się z którymś zetknąłem, to zawsze był równy gość. Tu jednak chodzi o zupełnie inną sprawę — jeżeli twój profesor pracuje nad czymś, co może ludziom przynieść zło, po kiego licha mamy mu pomagać?

— Rogerze, ty rzeczywiście nic nie rozumiesz — powiedział Albert. — Profesor Laurent ma jeszcze bardzo daleką drogę do celu i szczerze mówiąc, wątpię, czy zdoła go osiągnąć — sam przecież widzisz, że ledwie się trzyma na nogach, a na to potrzeba długich lat pracy i oczywiście nie w pojedynkę. Tak więc dzisiaj można poważnie mówić jedynie o tym, czego już dokonał i co może zrobić w ciągu najbliższych miesięcy, a

może nawet tygodni... któż wie, na ile go jeszcze stać przy tak piekielnym wysiłku. — Albert zamyślił się. — Prawdopodobnie robot Chamforta wywarł na profesorze bardzo silne wrażenie. Przypuszczam, że gdyby wcześniej wiedział o tym, co się robi w laboratorium Chamforta...

— Ma pan zapewne na myśli, że osiągnięcia profesora Laurenta zostały zdeprecjonowane przez wyniki pracy Chamforta? — przerwał Rajmund.

— Nie, tego nie twierdzę! — żywo zaprzeczył Albert. — W żadnym razie! Myślę po prostu, że gdyby między tymi dwoma ludźmi nie istniały kontrowersje i gdyby pracowali w stałym kontakcie, byłoby im znacznie łatwiej i mogliby osiągnąć jeszcze większe sukcesy.

— Jeszcze większe? — Rajmund uśmiechnął się. — Moim zdaniem oni i tak tworzą cuda.

— Oczywiście... — Albert znów się zamyślił. — Oczywiście, że cuda...

Rajmund bębnił nerwowo palcami po stole. Po prostu ręce go świerzbily, by o tych cudach napisać. Siąść do maszyny i machnąć taki reportaż, żeby ludzie wyrwali sobie z rąk gazety!

Roger wstał i zaczął sprzątać ze stołu.

— Powiedz mi tylko jedno, jest jakiś pożytek z tego, co robi twój profesor, czy nie ma? — spytał odnosząc naczynia do zlewu.

Albert poruszył się żywo.

— Jest! — powiedział z zapalem. — Naturalnie, że jest! Te badania są po prostu bezcenne zarówno dla medycyny, jak dla cybernetyki. Nie mówiąc już o tym, że nie mnie z moimi kusymi wiadomościami orzekać, czy profesor obrał słuszną lub niesłuszną drogę. Słowa Chamforta trafiły mi do przekonania, to prawda; nie trzeba jednak zapominać, że profesor Laurent dokonał czegoś, czego przed nim nie dokonał nikt i co każdemu wyda się cudem. Widzieliście przecież, jak był wstrząśnięty Chamfort zobaczywszy laboratorium, a on już wcześniej był zorientowany, on pracował dla profesora... Zresztą nauka nie może się kierować tylko praktycznymi aspektami odkrycia. Gdyby ludzkość zawsze brała w rachubę bezpośrednio korzyści, nie zaszłaby daleko! Rosjanie na

przykład wysyłają w Kosmos sputniki i rakiety, jakąż mają z tego bezpośrednią korzyść?

— Ach, to co innego — powiedział Rajmund. — To dla propagandy.

Albert popatrzył ma niego i wzruszył ramionami.

— Ciekawe, jaką propagandę można szerzyć w ten sposób? Powiem panu otwarcie, Józefie, że nie podobają mi się pańskie uwagi. Jakie przekonania pan właściwie reprezentuje?

— Ja? Żadnych. Nie należę do żadnej partii. A pan?

— Ja też do żadnej partii nie należę. I w ogóle nie zajmuję się polityką. Ale zauważyłem jedno, jeżeli ktoś napada na Rosję i ma komunizm, można się od niego spodziewać różnych nieprzyjemności. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale sprawdziłem to w praktyce.

Roger przerwał zmywanie i podszedł do nich trzymając zmywak w mokrych, parujących rękach.

— Albert dobrze mówi — oświadczył zmrużywszy groźnie czarne oczy. — Ja to samo zauważyłem.

— Daj spokój, Rogerze, po co się sprzeczać — wmieszał się Albert. — Wszystkich nas łączy wspólna praca, jednakowo narażeni jesteśmy na niebezpieczeństwo... W dodatku Józef jest krewnym pani domu...

To była nieopatrzna uwaga. Rogera natychmiast, jak to się mówi, poniosło.

— Takim samym krewnym jak ja! — rzekł wyzywająco. — No, a teraz kawę na ławę — gadaj, jak się tu dostałeś! — Skoczył do drzwi i zasłonił je szerokimi barami. — Nie wyjdiesz stąd, dopóki nie powiesz!

— Co za nonsens — powiedział Rajmund z godnością. — Ostatecznie może pan spytać madame Laurent...

— Z jakiej racji mam dręczyć to biedactwo? Ona i tak ma dosyć zmartwień! Jak ci nie wstyd chować się za jej spódnicę! Odpowiadaj sam, jak przystoi mężczyźnie!

— Słuchaj, Rogerze... — próbował interweniować Albert. Roger jednak nie zamierzał ustąpić.

— Dość tego krętactwa, chłopie! — nalegał. — Nie jesteś jej siostrzeńcem i Józef to nie twoje imię, Rogera Leroix nie tak łatwo oszukać. Graj w otwarte karty — po diabła wkręciłeś się

do tego domu i czemu zawracasz głowę Luizie?

— Odkąd ona jest dla pana Luizą? — spytał wyniośle Rajmund.

Zastanawiał się gorączkowo, jak ma postąpić. Ten przeklęty Roger na pewno się nie odczepi...

— A co, tylko dla ciebie może być Luizą? — spytał zjadliwie Roger. — Może nam wyjaśnisz powody.

— Jakim prawem żąda pan wyjaśnień? — odparł Rajmund tym samym wyniosłym tonem.

— Słuchaj, przyjacielu — odezwał się Albert, który już nie wątpił w słuszność podejrzeń Rogera — podjęliśmy się tutaj rzeczy bardzo niebezpiecznej. Od zachowania jednego z nas może zależeć życie pozostałych. W dodatku profesor Laurent liczy na naszą dyskrecję. Za siebie i za Rogera mogę zaręczyć. A co do pana, to chyba zrozumiałe, że chcielibyśmy wyjaśnić, co pana tu sprowadziło. Lepiej niech pan od razu będzie z nami szczerzy, a potem zastanowimy się wspólnie, jak będzie dalej.

Rajmund kłął w duchu, wściekły ma siebie, że nie przewidział takiej rozmowy i nie ustalił z Luizą jakiejś innej wersji. Rzeczywiście, nietrudno spostrzec, że ich wzajemny stosunek mało przypomina więzy pokrewieństwa...

— Proszę o trochę czasu do namysłu — powiedział. — Za godzinę wrócimy do tej rozmowy.

Roger zamiast odpowiedzi tylko szerzej rozstawił nogi i zakołysał się z boku na bok nie opuszczając miejsca przy drzwiach.

— Nad czym tu się namyślać? — spytał ironicznie. — Może zapomniałeś, jak się nazywasz?

Rajmund wyjął papierosa i zapalił. „Chyba nie mam wyjścia, ten przeklęty marynarz przyczepił się jak rzep — myślał. — Jest ich dwóch... Gdyby wyskoczyć przez okno... Nie, dogonią, zanim otworzę furtkę. Poza tym opuścić Luizę w tak ordynarny sposób, po tej rozmowie... i ściągnąć na nią katastrofę... jeżeli profesor się dowie o jej spisku z Peyro nelem... nie, to byłoby zwyczajne świństwo...”

— Zgoda — powiedział odchodząc od drzwi. — Istotnie, nie jestem krewnym madame Laurent i mam na imię Rajmund, a nie Józef. Rajmund Lemonier. Jeżeli jednak powiecie profeso

rowa, w jaki sposób i po co zjawilem się w jego domu, nie puści tego płazem swej żonie... to byłoby dla niej okropne...

— Czyżby pan był jej dawnym wielbicielem? — spytał Albert.

— Poznałem Luizę Laurent zaledwie o dzień wcześniej niż pan. Zaraz wszystko wyjaśnię. Ale proszę — ani słowa profesorowi. Zrozumcie, że tak będzie lepiej. W przeciwnym razie stanie się katastrofa, przecież widzicie, co się z nim dzieje...

Roger mruknął pod nosem: „Niech go diabli, przez jeden dzień. A to cwaniak!!” W głosie jego brzmiał podziw. Albert trącił go w bok — niepoprawny Roger, tylko to jedno go interesuje.

— No proszę, słuchamy — powiedział.

Po wysłuchaniu relacji Rajmunda spojrzeli na siebie zakłopotanym wzrokiem.

— To taka historia! — rzekł Roger. — Więc ty tylko czekasz na pierwszą okazję, żeby rozbębnić wszystko w swojej gazecie i zgarnąć za to forsiaki?

— Cała sprawa przedstawia się zupełnie inaczej, niż sądzicie — denerwował się Rajmund.

— Przecież ja nic na razie nie piszę ani nie zamierzam pisać. I szef wcale tego nie chce. To mogłoby w obecnej sytuacji bardzo zaszkodzić Luizie, a przecież przysłano mnie tutaj ze względu na nią. Głównie ze względu na nią, rozumiecie?

Roger uśmiechnął się sceptycznie, Albert zaś powiedział:

— Nie da się jednak zaprzeczyć, że pański pobyt w tym domu kryje w sobie duże niebezpieczeństwo dla profesora Laurenta. Któż wie, co jutro postanowi pański szef, czy nie skusi się na tak wielką sensację.

— A Luiza? — odparł Rajmund.

— Cóż — Luiza? Przypuśćmy, że pański szef poradzi jej, by opuściła męża, motywując to niewątpliwą groźbą niebezpieczeństwa. Czy jest pan przekonany, że ona się nie zgodzi?

— Jestem tego pewny — powiedział stanowczo Rajmund, czerwieniąc się z lekka pod ironicznym i badawczym wzrokiem Rogera. — Luiza ma bardzo silne poczucie obowiązku. Nie opuści profesora w niebezpieczeństwie.

— Ale on już teraz nie jest sam. Poza tym, cóż ona może zrobić, jak mu pomoże?

— No, w każdym razie... oparcie moralne... Po wtóre, czy pan wie o tym, że pierwsza żona profesora porzuciła go... i to pozostawiło głęboki uraz...

Roger uśmiechnął się drwiąco:

— No więc za drugim razem to łatwiej zniesie... już ma zaprawę! Ale to bardzo ładnie z twojej strony, że się tak troszczysz o profesora!

— Czego wy ostatecznie chcecie? — rzekł Rajmund pojednawczym tonem. — Przecież faktu się nie zmieni, dowiedziałem się już tyle, że wystarczy mi na całą serię sensacyjnych artykułów. — O tym, że ma również fotografie, wolał przemilczeć. — Chcecie, widocznie, żebym sobie stąd poszedł? Ale w czym to polepszy sytuację? Zastanówcie się.

— On ma rację, Rogerze — powiedział Albert. Musi pan jednak zaręczyć słowem, Rajmundzie...

— Zaraz — powiedział Roger. — Co mi tam jego słowo! Zapamiętaj sobie, chłopie, jeżeli spróbujesz coś rozpaplać, to Roger Leroix znajdzie cię nawet na dnie morza i tak przefasonuje, że cię rodzona matka nie pozna. Zakarbuje to sobie dobrze W pamięci!

Rajmund ani przez chwilę nie wątpił, że Roger potrafi spełnić swoją pogroźkę. Wzruszył ramionami i powiedział najbardziej przekonującym tonem, na jaki go było stać:

— Co za głupstwa! Przecież wyjaśniłem wam, jak się przedstawiają sprawy...

— No i ja też wyjaśniłem, jak się przedstawiają — powtórzył uparty Roger.

— Moi drodzy, czas kończyć tę rozmowę — spostrzegł się Albert. — Zapomnieliśmy na śmierć o profesorze! A ponieważ wyjaśniliśmy już wszystko, nie ma celu się kłócić, mamy co innego na głowie. Przede wszystkim zwracam się do Ciebie, Rogerze!

— Dobra, dobra — mruknął Roger zabierając się znów do zmywania.

Rajmund i Albert wyszli razem. Z góry dolatywał stukot maszyny do pisania — a żartem wszystko było w porządku.

— Mam nadzieję, że pan nie obraził się na Rogera? —

powiedział Albert. — To człowiek prosty, może trochę gruboskórny, ale o złotym sercu i nadzwyczajnej uczciwości. Jak panu wiadomo, w trudnych warunkach poznaje się człowieka szybciej i dokładniej niż przez wiele lat spokojnego życia...

— W zupełności rozumiem Rogera — odparł Rajmund uprzejmie, choć z pewną rezerwą — i uznaję szlachetność jego pobudek. Niech pan jednak postara się powstrzymać go od nieprzemyślanych postępków. Pan ma na niego wpływ.

— Zapewniam pana, że Roger nie jest tak impulsywny, jak się panu zdaje, i potrafi doskonale przemyśleć swoje postępowanie...

Rajmund wzruszył ramionami.

— No cóż, możliwe...

Miał wielką ochotę opowiedzieć Luizie o tej rozmowie — był pewny, że Roger natychmiast poleciał do niej. Ale gdyby pójść teraz, mogłoby to wzbudzić podejrzenia... Lepiej nie, niech się sami przekonają, że mówił prawdę. Udał się za Albertem na górę. Michel na sekundę, oderwał się od maszyny, popatrzył na nich niewidzącym wzrokiem i znów zaczął stukać z niewiarygodną szybkością. Profesor poruszył się za parawanem.

— Myślałem już, że coś się stało — powiedział. — Chciałem zejść na dół, ale czuję się jeszcze słabo. Czy coś z Luizą?

— Nie, madame Laurent czuje się dobrze. — Albert zaciął się. — Po prostu...

— Roger i ja prosiliśmy Alberta, żeby nam opowiedział coś więcej o pańskich badaniach — dokończył Rajmund spokojnym i bardzo naturalnym tonem. — I byliśmy tak zafascynowani tym, co mówił, że nie zauważyliśmy, ile minęło czasu. My przecież zupełnie nie orientujemy się w tych cudach, które pan tworzy... a pana nie chcemy zanudzać pytaniami, jest pan zbyt zajęty...

— Nie wyobraża pan sobie, profesorze — wtrącił Albert czerwieniąc się aż po korzonki włosów — jaki to był nieudolny i zagmatwany wykład... Czy ja sam naprawdę coś z tego rozumiem?

— Niech pan nie udaje skromnego — rzekł poważnie Rajmund. — Co mamy robić, profesorze?

— Zobaczcie, co z Paulem. Michel mówił, że on nie śpi,

tylko nie otwiera oczu.

Albert z Rajmundem weszli za parawan. Pierre stał pochylając ciężki, bezkształtny korpus, niespokojnie poruszał krótką ręką i wskazywał na Paula. Paul leżał na boku skurczony, z kolanami pod brodą. Oczy miał zamknięte, mocno zaciśnięte powieki.

— Paul! — zawołał Albert.

Paul nie poruszył się, ani jeden mięsień nie drgnął w jego szarej, zastygłej twarzy.

— Ani śpi, ani umarł — powiedział Albert biorąc go za rękę. — Puls dość słaby, ale rytmiczny, mięśnie silnie naprężane. Paul, jak się czujesz?

Paul nie zareagował na pytanie. Albert puścił jego rękę — pozostała w tej samej pozycji, jakby zastygła w powietrzu, mimo że utrzymać ją w ten sposób było niewątpliwie bardzo trudno.

— To taka historia! — Albert uważnie przyglądał się Paulowi. — Ciekawe...

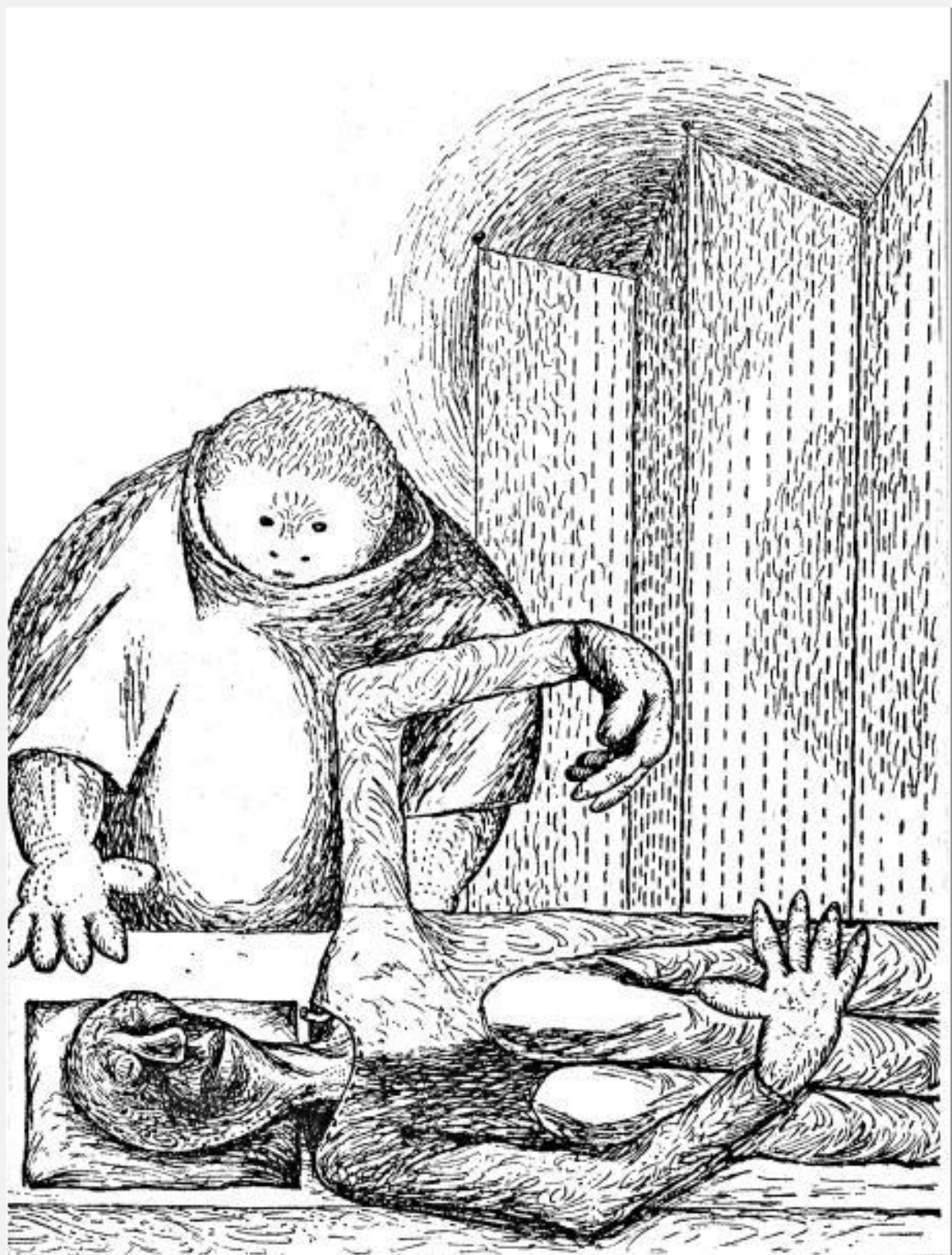
Ujął nieruchomą, skamieniałą rękę Paula, podniósł ją wyżej, łokciem do góry, i zgiał — ręka stężała w tej nowej pozycji niby miękki wosk, posłusznie przyjmując nadany mu kształt.

Albert jeszcze chwilę spoglądał na Paula, po czym westchnął i poszedł do profesora Laurenta.

— To jest coś w rodzaju katatonicznego osłupienia. Jak przy schizofrenii — rzekł w odpowiedzi na pytający wzrok profesora. — Giętkość woskowa, zupełny brak kontaktu, naprężenie.

Profesor wstał w milczeniu i zbliżył się do Paula.

— Tak, to przypomina schizofrenię — rzekł obserwując go przez chwilę. — Zdaje mi się jednak, że to nie jest schizofrenia, tylko podobne objawy. Wpływ silnego zatrucia na niepełnowartościową psychikę. Paul nie jest typem schizofrenika. Nie było w nim charakterystycznego ośpienia uczuciowego ani oschłości. Przecież chciał popełnić samobójstwo głównie z miłości do Pierre'a... Spróbujemy go w każdym razie przywrócić do stanu normalnego, usunąć zahamowanie. — Wstał, poszedł do biblioteki i zaczął grzebać w książkach. Jedyne, co możemy zrobić, to sięgnąć



do chemii. Psychiatry nie wezwiemy, nie odważyłbym się zastosować wstrząsów elektrycznych ani insulinowych, nawet gdyby to było możliwe... — Przerzucił kilka kart w książce,

usiadł, wziął pióro i blankiet na recepty. — Gotowe. Trzeba iść do apteki.

— Ja chętnie pójde — zaofiarował się Rajmund. „To świetnie, zadzwonię do Peyronela, naradzę się z nim, to jest okazja, żeby wpaść do Luizy”. Rajmund wsunął receptę do kieszeni i zbiegł po schodach na dół.

— Musimy na razie dyżurować przy Paulu, w nocy również — rzekł, profesor Laurerit. — W każdej chwili może stać się bardzo niebezpieczny. Cztery zmiany po sześć godzin.

— Panu nie wolno — zaprotestował Albert. — My będziemy dyżurować... — zająknął się — z Józefem i Michałem. Jeżeli madame Laurent poczuje się nieco lepiej i będzie mogła zająć się gospodarstwem, zatrudnimy jeszcze na dyżurach Rogera.

— Dobrze. Mam nadzieję, że ta historia nie potrwa długo. Tylko Michela wolałbym dziś nie odrywać od pnący, niech ją skończy, bardzo mi na tym zależy. Aha, możliwe, że to mi ułatwi rozpoznanie przypadku Paula...

— Teraz dochodzi ósma — powiedział Albert. — Zaczynam dyżur. O dwunastej zastąpi mnie Józef albo Roger. Na razie będziemy zmieniać się co cztery godziny.

Wziął książkę z zakresu psychiatrii i usiadł za parawanem, od czasu do czasu spoglądając na skurczonego i nieruchomo leżącego Paula. Po przeszło godzinie wrócił Rajmund. W pobliskich aptekach lekarstwa nie było, znalazł je dopiero w okolicy placu d'Etoile. Profesor przygotował strzykawkę, Albert wyprostował naprężoną, niemal skamieniałą rękę Paula i przewiązał ją gumą. Nie zadrgał ani jeden mięsień, zdawało się, że Paul w ogóle nie czuje, jak igła wchodzi do żyły. Jednak po upływie paru minut odwrócił się na wznak, otworzył oczy.

— Jak się czujesz, Paul? — spytał profesor.

Paul nie odpowiedział, ale twarz jego nie była już talk stężała.

— Paul — powiedział profesor bardzo cicho. — Czemu to wszystko robisz? Zobacz, jak Pierre niepokoi się o ciebie. Wszyscy się niepokoiimy.

Paul spojrzał na Pierre'a i po twarzy jego przemknęło coś pośredniego pomiędzy uśmiechem a bolesnym grymasem.

— No dobrze, trzeba kontynuować wstrzykiwania — mówił

dalej profesor. — Czy dostał pan serpazil?

— Dali mi tylko sześć ampulek. Postaram się zdobyć więcej — odpowiedział Rajmund.

— No tak, w najgorszym razie pomoże nam Chamfort. Ta chemia jednak naprawdę czyni cuda. Po raz pierwszy obserwuję w praktyce błyskawiczne działanie ritalinu. Popatrzcie na Paula — zahamowanie ustąpiło natychmiast. Ale nie spuszczaście go z oka — pamiętajcie, że ani się spostrzeżecie, jak może narobić biedy.

Rajmund usiadł przy oknie, otworzył powieść kryminalną Agaty Christie, ale tu, w tym złowieszczym otoczeniu, niezwykle losy młodej i pięknej panny, którą prześladowają nieznani złoczyńcy, nie wydały mu się zbyt pasjonujące. Michel, nie zwracając na nic uwagi, prawie bez przerwy stukał na maszynie. Profesor zagłębił się w fotelu i przechyliwszy głowę na oparcie, pogrążył się w myślach. Rajmund także rozpatrywał w duchu ostatnie wydarzenia. Czy słuszną dał odpowiedź Peyronelowi?... Może jednak spróbować namówić Luizę? Nie, ona się nie zgodzi porzucić męża w niebezpieczeństwie... A jeżeli się zgodzi, to co wówczas? Wówczas... nie, przecież on nie bierze na siebie żadnych zobowiązań, po prostu chce ją uwolnić od ciągłego niebezpieczeństwa, strachu i nieznośnego napięcia nerwów. Jeśli ona pójdzie za radą Peyronela, przyjaciela jej ojca, no, więc cóż... Obowiązkiem Rajmunda jest dopomóc jej wydostać się stąd, zapewnić jakieś locum, a dalej... no, oczywiście, że będzie ją odwiedzał, służył jej pomocą... Nagle zrobiło mu się wstyd własnych myśli.

„Skąd właściwie ta pewność, że Luiza poleci za mną?” — pomyślał gniewnie i z trzaskiem zamknął książkę. Profesor podniósł głowę i spojrzał na niego roztargnionym wzrokiem. Rajmund poczuł, że czerwieni się jak uczeń. „Cóż za głupia sytuacja! — pomyślał z zakłopotaniem. — Doprawdy nie chodzi o to, że przestraszyłem się pogróżek Rogera Leroix. Albo że się boję odpowiedzialności za dalsze losy Luizy... Po prostu to byłby nieprzyzwoity postępek. Nawet mnie nie wolno stąd uciekać, w obecnej sytuacji to by się równało dezercji z frontu. A gdyby jeszcze odeszła Luiza... wszyscy będą uważali, że uciekła ze mną... to rzeczywiście byłby

okropny wstrząs dla profesora Laurenta... Roger roześmiał się, gdy o tym wspomniałem, ale czy Roger może się znać na takich sprawach, zbyt jest prymitywny! Nie, nie wolno, nie wolno, muszę wytrzymać. Luizie nic strasznego teraz nie grozi, odkąd my tu jesteśmy... Tak, gdyby jeszcze udało się wśliznąć do laboratorium Chamforta... Wprawdzie o nim też nic nie mogę napisać, dopóki tu siedzę...”

Obudził się François. Westchnął głęboko, z ochryplym świstem, po czym natychmiast usiadł i potarł czoło.

— Głowa cię boli, François? — zapytał profesor. — Józefie, niech pan otworzy apteczkę, na dolnej półce jest żółte plastikowe pudełko i torebka z tabletkami pod numerem 14a. François, tak długo spałeś, że zacząłem się już niepokoić. Dawno powinieś już dostać posiłek. Woda w czajniku jest gotowana. Niech pan włączy czajnik, Józefie, żeby się trochę podgrzała. Zaraz nakarmimy François. I dodamy do roztworu środek od bólu głowy.

Po paru minutach czajnik wydał krótki, cichy gwizd.

— Niech pan wyłączy — powiedział profesor. — To znaczy, że temperatura wody wynosi w tej chwili trzydzieści siedem stopni Réaumura. Tyle nam właśnie potrzeba. Teraz niech pan weźmie tę dużą menzurkę... Nie wie pan, co to jest menzurka, poważnie? O to, widzi pan: ma taką podziałkę. Proszę nalać wody do tej kreski. I wpuścić te dwie tabletki. — Podał Rajmundowi dużą, brązową tabletkę i drugą małą, białego koloru. — Niech pan to zamiesza szklaną pałeczką, aż się wszystko rozpuści. I nie dziwi się, że każę panu to wszystko robić — staram się na razie unikać niepotrzebnych ruchów, z moim sercem jest gorzej, niż przypuszczałem początkowo... a następnie pan i tak musi się tego nauczyć... to trzeba robić codziennie, zazwyczaj jednak zajmuje się tym Michel.

Michel podniósł głowę znad maszyny.

— Sobie i Pierre’owi odmierzyłem normalne porcje, dla Paula nieco większą — poinformował. — Co do François, postanowiłem zaczekać, aż się przebudzi. Ponownie zabrał się do pisania.

— Dobrze — odpowiedział profesor. — A teraz niech pan uważa.

Zbliżył się do François, wyciągnął zza kołnierza jego luźnej ciemnej bluzy znaną już Rajmundowi nurkę, wyjął gdzieś z boku prawie niewidoczną, płaską i szeroką zatyczkę — przysawkę i ostrożnie wlał do otworu żółtobrunatny roztwór z menzurki. Następnie znowu zakorkował otwór, wsunął rurkę na miejsce i usiadł oddychając z trudem. Niebawem oczy François zajaśniały, twarz się ożywiła, nabrała niemal wesołego wyrazu.

— Wszystko w porządku? — spytał profesor. — No, to świetnie. Zabierz się do obliczeń, jeżeli czujesz się na siłach.

François kiwnął głową i swoim niezdarnym, kołyszącym się krokiem podszedł do stolika, na którym leżały byle jak złożone kartki z obliczeniami.

— Czy on pamięta, co z mim zaszło? — spytał po cichu Rajmund.

— Owszem, ale jak przez mgłę, o ile zdołałem ustalić. Opieram się głównie na słowach Paula, bo przecież François nie może mówić i pisze również niechętnie... Byłem zdziwiony dowiedziawszy się o tej korespondencji z Michелеm.

Rajmundowi znów przyszło na myśl, że Michel ma zapewne więcej wpływu na swoich współtowarzyszy niż profesor, że to niedobrze i nie powinno tak być. „Czy Michel przypadkiem nie stara się o to świadomie? Ach nie, idiotyzm, po prostu oni uważają go za swego, nie różni się od nich niczym i to jest cała przyczyna...”

Paul leżał spokojnie. Albert i Rajmund, którzy objęli dyżur o godzinie dwunastej w mocy, sądzili, że śpi. Ale około pierwszej Rajmund niespodzianie pochwycił jego ukośne spojrzenie spod półprzymkniętych powiek i wydało mu się, że dostrzega w nim złośliwość i podstęp. Udał więc, że śpi, i ukradkiem obserwował Paula. Wkrótce zauważył, że ciało jego sprężyło się, pięści zacisnęły. Rajmund zerwał się akurat w samą porę — Paul jednym susem zeskoczył z kozetki i z głuchym wyciem rzucił się na niego. Zęby miał wyszczerzone, oczy w sęp. Rajmund chwycił go za ręce i ścisnął z całej siły. Z obrzydzeniem patrzył na tę plamistą, zwyrodniałą twarz, wyczuwał flakowate mięśnie pod zimną, wilgotną sikorą. Chciał odwrócić głowę, ale Paul szamotał się, wył zduszonym głosem i Rajmund musiał coraz silniej ścisnąć te okropne



ręce. Nadbiegł Albert wkładając po drodze okulary. We dwóch ułożyli Paula na kozetce. Nie przestawał szarpać się i wyc.

— Serpazil — polecił profesor. — Niech pan przygotuje, Duclos.

Wstrzyknęli serpazil i Paul wkrótce się uspokoił. Twarz mu się odprężyła.

— Paul, co się z tobą dzieje? Jak się czujesz? — spytał profesor.

— Nie wiem — zaskrzypiał ledwie dosłyszalnie Paul. — Jestem zmęczony. Chce mi się spać.

— To dobrze. Śpij, Do rana na pewno będzie leżał spokojnie. Jednak dyżurować trzeba.

Reszta nocy rzeczywiście minęła w spokoju. O ósmej rano Albert zszedł ma dół, żeby się przespać godzinę do śniadania. Rajmund, również niewyspany, usiadł ziewając za parawanem. Paul leżał apatyczny i obojętny na wszystko, ale wczorajsze zeszytnienie już się cofnęło. Profesor wstrzyknął mu ponownie ritalin, dał glukozę z witaminami, co go znacznie ożywiło i polepszyło samopoczucie, tak że nawet uśmiechnął się do Pierre'a, kiedy ten podszedł do kozetki.

— Wyniki mniej więcej te same, co przy leczeniu schizofrenii — rzekł profesor obserwując go przez chwilę — a jednak według mnie to nie jest schizofrenia.

Oddychał ciężko i poruszał się z trudem.

— Niech pan się położy — zaproponował Rajmund. — Roger przyniesie śniadanie. Może zrobić zastrzyk? Zawołam Alberta...

— Nie trzeba. Zastrzyk może zrobić Michel. Na razie jednak wezmę Sial-5. Dziś go jeszcze nie zażywałem.

Połknął żółtą granulkę i siedział jakiś czas w milczeniu. Potem twarz mu się ożywiła.

— No! — rzekł triumfująco. — Wszystko w porządku. Wczoraj zwyczajnie przebrałem miarękę. To niezła nauczka... Sądzę, że może pan przespać się z godzinę. Proszę się położyć na mojej kanapie, ja posiedzę tutaj. Nie, nie, naprawdę wszystko w porządku, proszę mi wierzyć.

Rajmund wahał się, ale zwyciężyła senność. Położył się na kanapie i natychmiast zasnął. Zbudził się obłany zimnym potem — przyśniło mu się, że François ściska go za gardło. Z trudem otworzył oczy. Albert blady, z potarganymi włosami, schylał się nad nim i potrząsał za ramię.

— Czy pan oszalał? Jak pan mógł zasnąć?

Rajmund zerwał się przecierając oczy.

— Ale co się stało? Profesor sam nalegał, żebym się położył. Czuł się dobrze.

— Jakże mógł czuć się dobrze, co za bzdura! Jest nieprzytomny.

— Co? — wykrzyknął przerażony Rajmund.

Albert ze złością machnął ręką i odwrócił się. Rajmund jednym skokiem znalazł się za parawanem. Profesor Laurent leżał na podłodze z bezwładnie rozrzuconymi rękami. Twarz miał śmiertelnie blada, nawet wargi niczym się nie wyróżniały, jakby starto z nich barwę.

Pierre spoglądał na niego mrocznym, nic nie wyrażającym wzrokiem. Paul leżał spokojnie z otwartymi oczami, ale widocznie nic do niego nie docierało.

Po zastrzyku profesor otworzył oczy i westchnął słabo.

— Co to? Co się stało? — wyszeptał. — Paul?...

— Z Paulem nic nowego — pośpieszył uspokoić go Albert.
— Ale pan zasłabł.

Przenieśli profesora na kanapę. Michel podniósł głowę i wodził za nimi wzrokiem.

— Musi pan poleżeć nie myśląc o niczym. Najlepiej, gdyby pan zasnął — mówił Albert nieco zmieszany swoim mentor-skim tonem.

— Dobrze... Uważajcie na Paula...

Profesor zamknął oczy. Twarz miał trupioblada. Rajmundowi wydało się, że ponownie stracił przytomność.

— Chodźmy — szepnął Albert. — Profesorowi potrzebny jest spokój.

Wyszli z za parawanu. Michel ciągle stukał na maszynie.

— Czy jego to zupełnie nie wzrusza? — zapytał Rajmund ściszym głosem, wskazując go ruchem głowy.

— Michel ma umiejętności praktyczne, szczególnie zaś zdolność koncentrowania się na jednej sprawie, rozwinięte niemal tak samo jak robot Chamforta — odpowiedział Albert również szeptem. — Michel jednak nie jest robotem, choć z drugiej strony wydaje się często, że nie jest człowiekiem. Gdyby nie było nas, rzuciłby robotę i pomagał profesorowi.

— Czyżby?! Mam pewne wątpliwości.

— Niesłusznie. Michel widzi wszystko i słyszy, ale się nie rozprasza. Przecież to on mnie obudził. Wszedł na schody i zawołał mnie. Spałem na dole koło schodów.

— Dziwne. Dlaczego mnie nie obudził? — Rajmund poczuł

się urażony. — To chyba było prostsze!

Powiedział to nieco głośniejszym głosem. Michel podniósł głowę znad maszyny.

— Pana nie było sensu budzić, pan nie jest medykiem.

— No proszę! — Albert roześmiał się. — Ma rację. Pan nie umie zrobić zastrzyku i w ogóle nie wiedziałby pan, co począć. A on jest zajęty.

— Ładny typ! — rzekł Rajmund ziewając — teraz, po tym wszystkim, czuł jeszcze większe znużenie.

— Już nie warto się kłaść. — Albert spojrział na zegarek. — Roger niedługo poda śniadanie, a później posiedzi przy Paulu. Wtedy się trochę prześpimy. Ja jednak będę spał tutaj, na kozetce Michela.

Rajmund spojrział na wąską, twardą kozetkę, obitą czerwono-ną dermatyną, na płaską jak naleśnik poduszkę, która zachowała jeszcze odcisk głowy Michela i wzdrygnął się ze wstrętu — za nic na świecie nie położyłby się tutaj, już lepiej spać na gołej podłodze... A temu Albertowi widocznie wszystko jedno...

— Najlepiej będzie — rzekł Albert nie zauważwszy tej pantomimy — jeśli pan odwiedzi madame Laurent. Mam wrażenie, że bardzo się przestraszyła usłyszawszy głos Michela.

Oczy Luizy miały ten sam tragiczny wyraz jak pierwszego dnia, gdy Rajmund ją zobaczył.

— Nawet nie wiem, dlaczego ogarnęła mnie taka groza — mówiła zgnębionym głosem. — Orientuję się przecież, nad czym Henryk pracuje... i w ogóle coś niecoś słyszałam... domy ślam się... Ale taki normalny, zupełnie ludzki głos... Zawołał: „Albercie, niech pan zaraz przyjdzie, profesor zasłabł!”

— Może pani zdenerwowała się chorobą męża? — Rajmund chciał zmienić temat. — Przypuszczam, że profesor po prostu jest zbyt przemęczony i to się odbiło na jego sercu. Musi koniecznie wypocząć. Albert zrobił mu zastrzyk i w tej chwili profesor leży. Zapewniam panią, że to nic groźnego. Nie ma powodu, by pani tam chodziła.

Luiza westchnęła.

— Nie, nie zamierzam iść na górę. Ja... po prostu nie mogłabym się na to zdobyć. Nie wiem, jak wy możecie...

— No, no — Rajmund uspokajająco pogłaskał ją po rękę.

— Kochanie, niech pani będzie rozsądna i przestanie się denerwować. Naprawdę nie musi pani tam chodzić. Wszystko będzie w porządku.

Luiza potrząsnęła głową:

— Nie, ja czuję, że zbliża się jakiejś nieszczęście... i nie mogę temu zaradzić... mój Boże!

Powiedziała to z taką rozpaczą, że Rajmundowi ścisnęło się serce.

— Nie powinna pani tak mówić, Luizo — tłumaczył obejmując jej szczuplutkie ramiona.

— Jest pani bardzo wyczerpana, nerwy nie wytrzymują — i to wszystko. Nie stanie się żadne nieszczęście, profesor nie jest już sam.

Nie bardzo jednak wierzył w to, co mówi. I Luiza to wyczuła. Spojrzała mu prosto w oczy i z beznadziejnym smutkiem potrząsnęła głową. Rajmunda ogarnęło tak wielkie współczucie, że nie zapanował nad sobą, i powiedział to, czego przedtem postanowił nie mówić.

— A gdyby pani stąd wyjechała? No, zwyczajnie, powołać się na chorobę, na zdanie lekarzy i wyjechać? Bodaj zamieszkać gdzie indziej? Przecież to naprawdę byłoby lepiej...

— Co takiego?! — Luiza otworzyła szeroko oczy. — Czy ja mam prawo?

Teraz już Rajmund dał się ponieść nerwom.

— A dlaczego właściwie nie ma pani prawa? — spytał zapalczywie. — Jakież pani ma zobowiązania wobec profesora Laurenta? Zaniedbuje panią skandalicznie, zmarnował pani zdrowie.

Luiza znów popatrzyła mu w oczy. Tym razem wzrok jej był jasny i stanowczy.

— Nie wolno tak — powiedziała spokojnie, bez wymówki. — To nie jest wina Henryka. Uprzedził mnie, że swoje życie oddał nauce. I sam pan widzi, że to prawda. Mogę cierpieć z tego powodu, ale nie mogę oskarżać Henryka...

Rajmund chwycił jej rękę i pocałował. Był wzruszony.

— Dlaczego najlepsi ludzie są niemal z reguły ciężko doświadczani przez los? — rzekł po chwili milczenia. — Pani wydaje mi się święta, Luizo. Z takich kobiet jak pani wywodzą się z pewnością chrześcijańskie męczenniczki... albo rewolu-



cjonistki...

— Doprawdy? — odparła Luiza z lekkim odcieniem ironii.

— Na razie jestem tylko kobieta, której nie udało się życie osobiste. I w ogóle jestem zero, Rajmundzie. Nawet nie mam

odwagi zapytać pana, co się tam dzieje na górze. Boję się tego słuchać. A przecież pan spędza tam całe dni... Ładna byłaby ze mnie rewolucjonistka, nie ma co mówić...

— Pani męstwo jest innego rzędu, Luizo. Jestem przekonany, że gdyby zaszła potrzeba, potrafiłaby pani i ten lęk przełamać. Ale na szczęście taka potrzeba nie zajdzie.

Roger zapukał do drzwi i natychmiast wszedł łypiąc na Rajmunda podejrzliwym okiem znad tacy, którą trzymał w ręce.

— Czas ma śniadanie — burknął. — Niech pan idzie do kuchni, a później zastąpi Alberta, żeby i on coś zjadł. A to dla pani, Luizo. Filiżanka czekolady, jajka na miękko i ciastka waniliowe...

— Pamiętał pan, że lubię ciastka waniliowe? — Policzki Luizy z lekka się zaróżowiły. — Boże, jaki pan jest miły!

Rajmund pohamował się z trudem, by nie trzasnąć drzwiami. Ten ciemnoskóry przechera doprowadzał go do pasji. Że też Luiza pozwala na to, by taki bezczelny typ mówił jej po imieniu... po diabła!

Jadł machinalnie śniadanie. A zatem ostatni plan w ogóle odpada — Luiza nie opuści męża... Trudno, trzeba poinformować szefa o tej rozmowie... Plan był zresztą trochę ryzykowny. Ale zostać tutaj, to również dla Luizy bardzo niebezpieczne... Kto wie, jaki obrót wezmą sprawy... Nalał sobie drugą filiżankę kawy, przygotował kanapkę z serem. „Ten Roger pierwszo rzędnie zaparza kawę... Trzeba tamtych ostrzec, żeby nic nie opowiadali Luizie, nawet jeśli zacznie się dopytywać... to będzie dla niej jeszcze cięższe, jeszcze straszniejsze, gdy się dowie... Co za niesamowita historia! — myślał pijąc gorącą kawę i wodząc niewidzącym spojrzeniem po zielonych krzewach przed oknem kuchennym. — Komu by to przyszło do głowy — ludzie chodzą ulicami, pracują, śmieją się, kłóca, gdzieś w takich samych jak ten małych ogródkach bawią się dzieci, ich babcie robią na drutach szaliki... Gdyby tak zatrzymać kogoś na ulicy i opowiedzieć mu, co tu się robi z pewnością odesłałby mnie do najbliższego psychiatry...”

— Tak, ale co za sensacja! — powiedział już głośno, zrywając się i ocierając po drodze usta serwetką. — To będzie sensacja, jakiej świat nie widział!

Nazajutrz o godzinie jedenastej rano ucichł zapamiętały stukot maszyny do pisania. Michel wyjął ostatni, nie zapisany do końca arkusz.

— Skończyłem — oznajmił zwykłym, przytłumionym głosem, podchodząc z grubym plikiem do profesora Laurenta. Profesor podniósł się na łokciu.

— Dobrze, przeczytam to — położył paczkę na parapecie koło tapczanu. — Nie jesteś zmęczony?

— Nie. A jak pan się czuje, profesorze? Żle pan wygląda.

— Nie uważasz, że powinno się mnie przerobić? — zapytał profesor niemal z powagą.

— Pana? Przerobić? — Michel zawahał się chwilę, po czym wymówił z ulgą: — Aha, rozumiem, to jest żart.

— Więc ty znasz się na żartach?

— Oczywiście, pan przecież często żartuje, więc już przywykłem. Ale poważnie mówiąc, musi pan się leczyć. Chciałbym pana zbadać...

Albert wytrzeszczył oczy.

— Michel studiował medycynę — wyjaśnił profesor. — To było konieczne z uwagi na Paula, a także na innych. Jest dobrym internistą, w diagnostyce nawet lepszy niż ja... Chętnie, Michel, ciekaw jestem, co powiesz. Wiesz dobrze, że nie mogę wezwać lekarza.

Michel przyniósł stetoskop i zaczął bardzo długo, starannie badać i ostukiwać profesora. Ten zaś posłusznie odwracał się, siadał, kładł się, odpowiadał na pytania, nie przestając uśmiechać się trochę ironicznie i trochę niepewnie. Wreszcie Michel zmierzył ciśnienie krwi, zaniósł na miejsce aparat i usiadł przy łóżku.

— Pod pewnym względem pański organizm przypomina organizm Paula — powiedział — chociaż w rzeczywistości pan jest zupełnie inny niż Paul...

— Nieźle, jak na początek! — uśmiechnął się znów profesor Laurent.

— Przypuszczam, że tę pozorną zbieżność spowodowała jednaka przyczyna — przeciążenie. W przypadku Paula jest to wzmożony, nienaturalnie szybki wzrost, u pana — nadmiar pracy i ustawiczne napięcie nerwów. Od dawna zauważyłem, że pański układ nerwowy pracuje nieprecyzyjnie, kapryśnie, z

zakłóceniami. Widocznie takie tempo jest ponad pańskie siły. Jest pan tylko człowiekiem... No, chcę przez to powiedzieć, że ma pan bardziej ograniczony zapas energii niż ja, często się pan męczy. Sial-5 to nie jest wyjście.

— Tak, oczywiście, jestem tylko człowiekiem — powiedział bez uśmiechu profesor Laurent. — Cóż więc zaszło w moim organizmie wskutek długotrwałego przeciążenia.

Albert poruszył się niespokojnie. Jeśli profesor ma jakąś ciężką nieomogę organiczną, ten przekłety Michel gotów mu to chlapnąć prosto w oczy. Chciał wmieszać się do rozmowy, lecz Michel mówił już beznamiętnym tonem:

— Krańcowe wyczerpanie układu nerwowego. Zwyródnienie mięśnia sercowego. Hipotonia. Potrzebny jest panu długi wypoczynek, zmiana środowiska oraz kuracja wzmacniająca. Ale nie za pomocą sztucznych środków. Sial-5 trzeba natychmiast odstawić.

Profesor długo milczał.

— Chyba się nie mylisz — rzekł na koniec. — Zresztą ty nie umiesz się mylić. Pomyśl jednak dobrze, co można zrobić w konkretnej sytuacji, sam przecież rozumiesz, że nie mogę teraz zostawić laboratorium i wyjechać na dłuższy czas.

— Może pan — przerwał mu Michel — jeśli pana pomocnicy zgodzą się zostać tutaj przez czas pańskiej nieobecności.

Profesor nie odrywał od niego wzroku.

— Słyszał pan, Duclos? — zapytał przesuwając dłonią po wilgotnym czole.

— Michel ma chyba rację, profesorze — powiedział Albert z pewnym wahaniem. — Moglibyśmy na czas pańskiej nieobecności... że się tak wyrażę — zakonserwować laboratorium. Nie przeprowadzać żadnych eksperymentów ze stymulatorami, hormonami, elektrodami i tak dalej. Po prostu mieszkać tu, czytać, robić doświadczenia w probówkach i termostatach według pana wskazówek... Leczyć Paula... Doprawdy będzie znacznie lepiej, jeśli pan wróci z nowym zapasem sił...

Profesor Laurent słuchał tego wszystkiego, patrząc w jeden punkt przed sobą.

— Nie — powiedział na koniec. — Nie. Ja się po prostu do

tego nie nadaje. Michel, pomyśl, co się da zrobić, jeżeli zostanie w1 laboratorium.

Michel miał minę niezadowoloną.

— Niewiele. Regularny tryb życia. Dużo snu. Przynajmniej kilka godzin dziennie spędzać w ogrodzie na świeżym powietrzu. Forsowne odżywianie, specjalna dieta, witaminy, hormony, w pierwszym okresie kamfora. Powtarzam — absolutnie odstawić Sial-5. Pan już nie ma skąd pobierać sił, wszystkie pańskie rezerwy są wyczerpane.

— Dobrze. Ułóż dietę, dawkowanie lekarstw i rozkład dnia. Postaram się wypełniać wszystkie twoje zalecenia.

— Nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego pan chce pozostać w laboratorium? — spytał Michel.

— Wkrótce ci powiem. Mam własny plan.

Przy obiedzie Albert powtórzył te rozmowę Rogerowi, który słuchał pomrukując znacząco.

— Wiesz co — odezwał się po namyśle — twój profesor chyba się boi tego swojego ancymonka, Michela, rozumiesz? On ma bardzo wysokie o sobie mniemanie. Głowę dam, że uważa się za mądrzejszego od profesora.

Albert pamiętał doskonale, że w rozmowie z Rogerem i Rajmundem nie robił żadnych uwag na temat zarozumiałości Michela.

— Z czego to wnioskujeś? — zapytał. Roger nie lubił wyjaśnień.

— Co tu dużo gadać, przecież to się rzuca w oczy — odburknął. — Powierz takiemu typowi laboratorium, to ci wszystko poprzekreca na swoje kopyto. Wróci twój profesor, a tu ani laboratorium, ani żony.

— No, no, nie zapędzaj się, Rogerze!

— A co myślisz? Nie jestem ślepy! Luiza mięknie jak wosk przy tym lalusiu. Bo to kobiety znają się na ludziach!

— Właśnie, powinna się w tobie zakochać — mruknął Albert powstrzymując śmiech.

— Żebyś wiedział, na pewno by na tym nie straciła! Przestań szczerzyć zęby, to nie powód do śmiechu, że porządna dziewczyna zakochała się w takim marnym typie. I tylko dlatego, że pierwszy okazał jej trochę ciepła i pomocy. Raptem jeden dzień for i taki gagatek finiszuje, psiakrew!

— Uspokój się, Rogerze. Co tu ma do rzeczy jeden dzień for? Uważasz więc Luizę za taką kobietę, która gotowa zakochać się w każdym, kto jej się w porę nawinie?

— Jesteś skończony frajer! — rozzłościł się Roger. — Biedaczka była tak zadreńczona, że tylko się powiesić. I nagle w tym mroku bez promyka nadziei zjawia się normalny mężczyzna, nie boi się niczego, żadnych strachów, rozmawia z nią czule, patrzy jak na kobietę, a nie na próbówkę. I w dodatku jest przystojny. Szczeniak jesteś, nie znasz życia...

— Dajże spokój! — roześmiał się Albert. — Jestem zaledwie o dwa lata młodszy od ciebie.

— Według świadectwa urodzenia. Ale życiowo jesteś w porównaniu ze mną osesek. Zwłaszcza co się tyczy kobiet. Na tych sprawach Roger Leroix zna się pierwszorzędnie, bądź przekonany. Przestań już szczyrzyć zęby, posłuchaj, co ci opowiem. Kiedyś, było to w Marsylii, mój przyjaciel szedł w nocy ulicą. Widzi, że w bramie stoi jakaś dziewczyna i płacze. Tak cichutko płacze i cała się trzęsie. Podeszedł do niej, zaczął wypytywać, co się stało. Okazało się, że niedawno przyjechała ze wsi, macocha wygnała ją z domu. Znalazła sobie służbę. Ładna była, więc pan domu zaczął się do niej zalecać. No i żona to spostrzegła, jego z miejsca trzask-prask po pysku, a dziewczynę — na bruk. Nawet jej nie zapłaciła. W ten sposób Susanne znalazła się późnym wieczorem na ulicy bez grosza przy duszy. Nie wie, dokąd iść — była w Marsylii zaledwie od miesiąca i prawie wcale nie ruszała się z domu. Otóż ten mój przyjaciel zaprowadził ją do porządnych ludzi na nocleg, dał jej pieniędzy i pomógł znaleźć pracę. Ale zachowywał się wobec niej bardzo przyzwoicie — nie przystawiał się, nie plótł żadnych treli-moreli na temat jej pięknych oczu, od razu powiedział, że ma żonę i córkę — no, żeby Susanne nie myślała, że mu jakieś zbytki po głowie chodzą. Z wyglądu też nic nadzwyczajnego, ot, tyle że mężczyzna. A ta Susanne po prostu śliczna i dobra, na miejscu dziewczyna. No i wyobraź sobie, że się tak zakochała w nim, aż strach, męki cierpiała, biedactwo. Mówiła z taką powagą, jakby modlitwę odmawiała: „Wiem, że to grzech kochać żonatego człowieka, ale nie mogę nic na to poradzić, serce nie sługa”. Oczy miała niebiesciutkie i takie długie, ciemne rzęsy. Nie mogłem wyjść z podziwu, że

mój Gaston taki twardy. Ale jemu na pewno szkoda było dziewczyny, miała dopiero siedemnaście lat, nie chciał jej życia marnować. No i masz! A chcesz wiedzieć, dlaczego właśnie Gastona pokochała? Ano tylko dlatego, że nie miała się gdzie podziąć, a on jej dopomógł.

— To zupełnie inna historia — odparł Albert. — Twój Gaston, jak widać, jest człowiekiem uczciwym i przyzwoitym. Równie dobrze można się w nim zakochać w normalnych okolicznościach. A tu, sam mówisz, porządna kobieta i facet niewiele wart... Słuchaj, a może on też nam zełgał o tej redakcji?

Roger uśmiechnął się błyskając równymi białymi zębami.

— Spokojna głowa, już to sprawdziłem. Wstąpiłem tam i zapytałem o Rajmunda Lemonier. Sekretarka powiedziała, że teraz — nie bywa w redakcji, ponieważ szef mu zlecił jakieś pilne zadanie. A o co chodzi? Pytam więc tę rudą sekretareczkę — mówiąc między nami, babka, że palce lizać! — czy się przypadkiem nie mylę, czy to ten sam Lemonier, wysoki, przystojny szatyn, taki elegant, i nosi sygnet z herbem.

— Jaki znów sygnet?

— A niechże cię, naprawdę nie zauważyłeś? Mówi, że to jakaś relikwia rodzinna. Wyobrażam sobie, że musiał na ten temat dobrze nabajać Luizie! No więc sekretarka potwierdziła, że to on. Wtedy ja — żeby mu oddała pozdrowienia od François z „Nancy” i że miałem dla niego jedną ciekawą historię, ale skoro jest zajęty, to trudno... Bardzo mnie prosiła ta wiewióreczka, żebym jeszcze wstąpił przy okazji, może zastanę Lemoniera. Psiakrew, widzisz, ile ja tracę przez twojego profesora!

Albert zauważył, że profesor jak gdyby obawia się zabrać do czytania notatek Michela. Kilka razy wyciągał rękę po leżący na parapecie maszynopis i znowu ją cofał. Na twarzy jego malowała się przykrość i zakłopotanie.

— Pan teraz nie dyżuruje, Duclos? — odezwał się wreszcie. — Niech pan posiedzi przy mnie.

Albert usiadł na krześle koło kanapy. Profesor chwycił paczkę papierów takim gwałtownym i desperackim gestem, jak gdyby się zapaliła i trzeba było zdusić ogień.

— Niech pan weźmie książkę i poczyta — rzucił Albertowi i wpił wzrok w pierwszą stronicę maszynopisu.

Nastąpiło długie milczenie. Profesor czytał szybko, raz po raz szeleściły w jego rękach arkusze odkładane z powrotem na parapet. Albert patrzył w Okno. Przez całą noc bez przerwy trwała ulewa i teraz po mglistym niebie nad Paryżem pędziły strzępy chmur niby czarny dym poszarpany wiatrem, drzewa szumiały głucho i wilgotnie, gałęzie stukwały w okna, a po szybach spływały kręte strużki wody. Albert westchnął — tak niedawno jeszcze nocowali z Rogerem w kiosku na bulwarze Saint-Bernard, a wydaje się, że od tamtego dnia dzieli ich cała wieczność i że teraz żyją w jakimś innym świecie, niewiarygodnym i pełnym cudów.

Profesor Laurant poruszył się na wpół z westchnieniem, na wpół z jękiem. Albert obejrzał się niespokojnie.

— To nic — powiedział profesor. — Po prostu zmęczyłem się...

— Ale przecież nie wolno panu się męczyć — zaprotestował Albert widząc, że profesor znów zabiera się do czytania. — Musi pan spokojnie poleżeć.

Podszedł Michel. Stał opierając się o parawan białą arystokratyczną ręką i patrzył na profesora z zaciekawieniem.

— Dużo pan już przeczytał? — zapytał.

— Do tego miejsca, gdzie piszesz, jak zaczynałeś nas rozpoznawać po głosie, nawet nie widząc.

— Tak, z początku wszystkie głosy wydawały mi się jednakowe — Michel zamilkł na chwilę, przypatrując się profesowi. — Spisywałem wszystko po kolei — powiedział z jakimś dziwnym wyrazem w oczach.

— Tak, wiem. Przecież właśnie o to cię prosiłem. — Profesor podniósł głowę i również popatrzył na Michela. — Dlaczego o tym wspominasz?

— Tak sobie — Michel odwrócił oczy. — Czas na zastrzyk. Michel zrobił zastrzyk i odszedł do stołu laboratoryjnego sprawdzić wyniki prób, a profesor powiedział przyciszonym głosem:

— Chwilami mam ochotę rzucić te i przekłete notatki. Michel istotnie zapisywał każdą rzecz po kolei. Nie rozumiem, dlaczego to podkreśla z takim naciskiem. Gdyby to nie był

Michel, którego cechuje zdumiewająca oschłość i brak emocji, pomyślałbym, że to perfidia albo też przeciwnie, że chce mi w ten sposób wyrazić współczucie...

— Zapewniam pana, profesorze, że Michel bynajmniej nie jest pozbawiony wszystkich emocji — powiedział Albert niezbyt przyjaznym tonem. — I nie różni się tak dalece od czło wieka, a raczej od niektórych ludzi, jak pan przypuszcza.

— Dobrze, jeszcze to sprawdzimy — rzekł profesor po chwili milczenia. — Myślę, że pan trochę przesadza... Ale jest inna rzecz... Trudno mi czytać te notatki, Duclos. Wcale nie dlatego, że jestem chory. Po prostu takich rzeczy nigdy nie można wspominać spokojnie. Upłynęło zaledwie kilka lat... Proszę się nie dziwić, że mówię o tym panu... Przez tyle czasu nie miałem z kim rozmawiać... Michel czegoś takiego nie rozumie. A dla mnie jest to przypomnienie szczęścia, cudownej przyjaźni, olśniewających odkryć, które nam samym wydawały się fantazją. Rozumie pan, (kiedy przystępo waliśmy do tej pracy, nie sądziliśmy, że sprawa zajdzie tak daleko. Zaczęliśmy po prostu hodować w sztucznym środowisku odżywczym rozmaite tkanki i narządy ciała ludzkiego w celu wymiany uszkodzonych części organizmu. To było potrzebne dla kliniki, w której pracowała... no, dla profesora Desmarais, naczelnego chirurga. Pamięta pan, zapewne, z wykładów uniwersyteckich, co było zasadniczą przeszkodą na tej drodze. Powiedzmy, że przywożą do kliniki ludzi ciężko rannych w katastrofie kolejowej. Jeden ma zupełnie zmiażdżoną głowę, tu już, oczywiście nie można pomóc. Ale wątroba jest cała, a ktoś inny ma właśnie ten organ uszkodzony — liczne pęknięcia wskutek wstrząsu. Tymczasem nie można mu tej nie uszkodzonej wątroby przeszczepić, chociaż to byłby właśnie jedyny ratunek.

— Biologiczny opór, niemożność połączenia obcych tkanek — wtrącił Albert.

— Tak. To była w owym czasie zasadnicza przeszkoda. Cudzą krew można przetoczyć człowiekowi, o ile zgadzają się grupy oraz czynnik Rh, natomiast mając uszkodzone obie nerki, człowiek ginie, ponieważ nie można mu przeszczepić nerki matki ani brata, nawet bliźniaka — jeżeli nie są bliźniętami jedno jajowymi. Zaczęliśmy więc hodować tkanki

oraz narządy metodą laboratoryjną, starając się rozwikłać tajemnicę tego oporu biologicznego. Byliśmy jeszcze młodzi — tak, ja też byłem młody, Duclos, w owych niezbyt odległych latach. — Umilkł i zaczerpnął tchu. — Byliśmy pełni energii, pracowało się nam świetnie razem, uzupełnialiśmy się wzajemnie w idealny niemal sposób. Wynajęliśmy pracownię malarską w czternastej dzielnicy, przestronną i jasną — mieściła się również niedaleko placu Denfert-Rochereau, na ulicy Danville — urządziliśmy tam wspaniałe laboratorium... A później... później zaczęliśmy obaj z Saint-Ivesem odchodzić od grupy coraz dalej... — Profesor zamknął oczy, twarz jego wyglądała jak martwa.

Albert z niepokojem dotknął jego pulsu.

— Nie, nie, po prostu zamyśliłem się, wspomnienia... — mruknął profesor.

Albert zawahał się — profesor jest chory, wszelkie wzruszenia są dla niego szkodliwe. Ciekawość jednak wzięła górę.

— Dawno już chciałem zapytać pana, profesorze — zaczął niepewnie — dlaczego wraz z Saint-Ivesem odeszliście od grupy... to znaczy, od czego to się zaczęło? Dlaczego właśnie pan i Saint-Ives?...

— Taak, dlaczego właśnie ja! — powtórzył profesor z niespodziewaną goryczą. — Otóż to! Wszyscy byli przeciwko mnie, ale gdyby któryś z nich... zresztą, może nie mam racji... Proszę sobie wyobrazić, Duclos... nie, spróbuję zacząć od tamtego wypadku... — Twarz mu się ożywiła, na policzki wystąpiły bladoróżowe plamy. — No więc, pewnego dnia przywieźli do kliniki młodego człowieka — jechał podczas mgły na motocyklu, wpadł na słup i zabił się. To znaczy żył jeszcze w klinice około sześciu godzin, ale wiadomo było, że nie da się go uratować. Przystojny, dobrze zbudowany... Właściwie wyszedłby prawie cało, trochę zadrapań, skaleczeń... wyrzuciło go z siodełka. Na nieszczęście uderzył skronią o kamień — i koniec... Do dziś pamiętam jego twarz, śmiertelnie bladą, o klasycznych, posagowych rysach... Zresztą, nie o tym... — Urwał i zamyślił się głęboko. — Słowem, postanowiłem zaryzykować... choć inni od razu powiedzieli, że nic z tego nie wyjdzie... Umieściłem komórki nerwowe w środowisku odżywczym, rozpocząłem doświadczenia z

fermentami, stymulatorami i tak dalej... Po kilku tygodniach doszedłem do wniosku, że moi koledzy mieli słuszność — nie udało się. Desmaraas uzyskiwał świetne wyniki doświadczeń z tkankami wątroby, nerek... Ja też brałem w tym udział, rzecz jasna... Atakowaliśmy tę przeklętą niezgodność biologiczną... Ale poza tym spędzałem wieczory w laboratorium, patrzyłem na umierające w roztworze komórki nerwowe i diabli mnie brali. Wtedy właśnie poznałem Saint-Ivesa, który od razu ogromnie zainteresował się moimi bezowocnymi badaniami, był przecież, podobnie jak Chamfort, neurocybemetykiem, tylko o wiele bardziej interesowała go biologia i neurofizjologia. Ze względu na mnie przyłączył się do naszej grupy... Saint-Ives skonstruował dużo ciekawych urządzeń, które były wielką pomocą dla laboratorium, wszyscy moi koledzy piali o nim z zachwytem. Przeważnie jednak przebywał ze mną. I oto nagle... — Profesor umilkł niespodziewanie.

— Nagle?... — podchwycił Albert.

— To niewłaściwe słowo, Duclos — powiedział profesor. — Bardzo niewłaściwe, ale trudno... No więc właśnie nagle komórki nerwowe w jednej z komór klimatycznych zaczęły się rozwijać. Co na to wpłynęło — nie wiedziałem. Łamaliśmy sobie głowę, dlaczego właśnie w tej, a nie w sąsiedniej. Ale wszystko, co mogliśmy zrobić, to dokładnie zapisać skład środowiska odżywczego, temperaturę, naświetlenie itd. Odchylenia w porównaniu z innymi termostatami były tak nieznaczne, że nie upoważniały do żadnych wniosków, niemniej fakt pozostawał faktem — w naszej komorze klimatycznej zaczął się rozwijać mózg człowieka!

— Ale później przecież pan odkrył...

— Tak pan sądzi? — chmurnie zapytał profesor.

— No... a François, Pierre, Paul?...

— Paul to zupełnie inna sprawa. On rozwijał się z zapłodnionej komórki ludzkiej. I tu również nie wszystko rozumiem... jak i dlaczego to się udało... i dlaczego nie udało się w pełni... Weźmy na przykład doświadczenia Petrucciego we Włoszech, czytał pan o tym? — jemu też udaje się tylko przez krótki czas utrzymać normalny rozwój zarodka ludzkiego w sztucznym środowisku. Wprawdzie on to robi w innych celach, w tych samych co Desmarais, i nie zamierza

hodować płodu do końca... A co do Pierre'a i François... — Profesor umilkł i dopiero po długiej chwili podjął na nowo: — Słowem, zrobiliśmy tyle, ile było możliwe... ja i Saint-Ives... Gdyby tamci chcieli uwierzyć, byłoby inaczej. Ale nasze doświadczenia wydawały im się nedorzeczną fantazją.

— A dlaczego właściwie pańscy koledzy tak się ustosunkowali do tych doświadczeń? — spytał nieśmiało Albert. — Przecież to są cuda, naprawdę cuda... Z początku nie wierzyli, to mogę zrozumieć. Ale później... kiedy się udało, przecież można było osiągnąć jeszcze bardziej rewelacyjne wyniki w praktyce.

— Tak, oczywiście... — Albertowi wydało się, że w głosie profesora słyszy nutę niepewności. — Muszę przyznać, że nie myśleliśmy wówczas z Saint-Ivesem o wynikach praktycznych... Widzi pan, mózg jest czymś o wiele bardziej złożonym niż wątroba lub nerki i gdyby zastąpić uszkodzony mózg sztucznie wyhodowanym... to... nawet jeśliby talki zabieg się udał, człowiek de facto musiałby się na mowo urodzić... I w dodatku może jako ktoś zupełnie inny... To nie takie proste... zamiast bliskiego człowieka, którego zabrała nam śmierć, otrzymać w jego fizycznej postaci kogoś zupełnie obcego — i to najpierw duże dziecko, niepełnowartościowego człowieka, od początku uczącego się żyć... Rozumie pan?

— Tak... — powiedział Albert w zamyśleniu. Poczul dreszcz zgrozy. Istotnie, samo założenie jest piękne — wrócić człowiekowi życie. Ale co z tego przyjdzie jego bliskim? A jemu samemu? Jeśli nawet sztucznie wyhodowany mózg będzie funkcjonował idealnie, jeżeli szczęśliwie minie pierwszy niezwykle trudny okres po przeszczepieniu i mózg całkowicie „wrośnie” w organizm — co dalej? Na całe życie zostanie dziwne, niejasne wspomnienie laboratorium, roztworu, w którym pływał, kroków laborantów... Czy te rzeczy dadzą się eliminować? Poza tym przeszczepiony mózg będzie jak tabula rasa, czysta tablica, na której można pisać, co się chce. To też okropne... Tak, teraz rozumiem Desmaraisa i tamtych...

— Ale... pan chyba zastanawiał się nad tym, do czego w końcowym efekcie mogą doprowadzić pańskie doświadczenia? — zapytał nieśmiało. — To znaczy, po co je robić, jeśli nie dla potrzeb kliniki?

— Nie, zupełnie o tym nie myśleliśmy! — ostro, niemal wyzywająco odparł profesor Laurent. — Mówiłem panu przecież, że byliśmy wówczas młodzi. Dążyliśmy do poznania prawdy, poruszaliśmy się omackiem na krawędzi ciemnej otchłani... znaleźliśmy się tam jako najpierwsi — dalej była tajemnica i mrok... Czytałem o tym, co przeżywali amerykańscy fizycy podczas próby z pierwszą bombą atomową. Kiedy rozbłysło nad światem ich straszliwe dzieło, poczuli się równi bogom. My z Saint-Ivesem odczuwaliśmy mniej więcej to samo. Oto chodzi i porusza się ten człowiek, (który powstał w naszych oczach, ten mózg przez nas stworzony, myśli tak samo jak ludzie, a my... my rzuciliśmy wyzwanie Bogu! Byliśmy wstrząśnięci do głębi duszy — jakże więc mieliśmy myśleć o rezultatach praktycznych! Tak, tak, ja wiem, że pan mnie również potępia... jak tamci! Cóż, z łatwością znajdzie pan potwierdzenie dla swoich wniosków. Proszę zapytać Chamforta, a może lepiej Desmaraisa... Oni panu powiedzą, że zawsze byłem zżeranym przez ambicję karierowiczem, który więcej myśli o własnej sławie niż o nauce... i że tylko bezinteresowny entuzjazm Saint-Ivesa zdołał mnie na pewien czas poskromić... — Zabrakło mu tchu i umilkł na chwilę... — Tak, Saint-Ives... On wiedział, jaki jestem naprawdę. Wiedział, że czuję to samo co on. Nie było na świecie ludzi bardziej sobie bliskich. Ani więzy krwi, ani miłość nie może tak zbliżyć jak owe milczące, pełne straszliwego napięcia wieczory i noce w laboratorium. A tamci wszyscy tego nie rozumieli. Nie mogę nawet mieć do nich żalu — ich badania przebiegały pomyślnie, zaczęli już dokonywać zdumiewających operacji w klinice, ratować ludzi skazanych na śmierć...

— Więc jednak udało się pokonać niezgodność biologiczną?... — zapytał Albert.

— Owszem, na ogół tak. To znaczy w dużej mierze, ale jeszcze nie w zupełności. Wiem, że grupa Desmaraisa ciągle nad tym zagadnieniem pracuje. Ale, oczywiście nie tak jak ja. Oni chodzą do teatru, bawią się, wyjeżdżają nad morze... Nie potrzebują się spieszyć... jest ich dużo, są zdrowi, mają pieniądze... Żyją i radują się życiem...

— Dlaczego więc pan siebie niszczy? — zapytał cicho Albert.

— A czy ja chciałem siebie zniszczyć? Czy wiedziałem?... Zresztą, ma pan słuszność, można było przewidzieć, że (to jest rzecz ponad siły jednego człowieka. Ale cóż miałem robić? Gdy zabrakło Saint-Ivesa, zostałem absolutnie sam. Należało więc albo rzucić to wszystko, albo... albo ważyć się na to, na co ja się ważyłem... wyzwać samego siebie na pojedynek — co zwycięży, ciało czy duch?

— To straszne — Wyszeptał Albert.

— Dzisiaj — tak. Dzisiaj, kiedy nie mam już sił. Ale na początku, z Saint-Ivesem, to było wielkie szczęście! Stwarzaliśmy nowy świat i Michel był naszym Adamem w owym fantastycznym, nieprawdopodobnym świecie. Pracowaliśmy jak opętani, wszystko zdawało się nam możliwe do osiągnięcia — tak wielki czuliśmy przypływ sił i natchnienia. I szczęście nam wtedy służyło, Boże, jaki to był radosny okres! Przy sposobności udało się nam prawie bez trudu wynaleźć środek przeciwko otyłości, w kilku wariantach, w zależności od etiologii... mieliśmy przecież do czynienia z hormonami. Wynaleźliśmy Sial-5. Sami jednak używaliśmy go wówczas bardzo rzadko. Dopiero po śmierci Saint-Ivesa zacząłem go nadużywać — czasu było mniej, sił również i ciągle musiałem mieć się na baczności... No więc, dzięki tym specyfikom zarobiliśmy trochę pieniędzy i w sekrecie przed tamtymi urzędziliśmy laboratorium na ulicy Bernard... tam gdzie panu pokazywałem... Nie wiem, jak mogliśmy temu wszystkiemu podołać... Ale powtarzam panu, to było prawdziwe szczęście. Kiedy Michel po raz pierwszy przeszedł przez pokój, niezdarnie machając rękami i potykając się, zaczęliśmy się ściskać z Saint-Ivesem i płakać z radości...

Wargi profesora zadrżały, odwrócił się do ściany.

— I wkrótce po tym wszystko runęło. Zdawało mi się wtedy, że nie potrafię już zacząć od mowa. Saint-Ives zginął, grupa się rozpadła... a raczej odwrócili się ode mnie wszyscy, obarczyli mnie winą za jego śmierć, Chamfort i Desmarais... rozumie pan, nie w tym sensie, że go zabiłem, przeciwnie, wobec policji zeznawali na moją korzyść, a Chamfort pomógł mi ukryć Michela i zamaskować istotę naszych doświadczeń. Ostatecznie śledztwo zostało umorzone, uznano, że Saint-Ives zginął wskutek własnej nieostrożności. Wyjechałem do Breta-

nii, (byłem zupełnie rozbity psychicznie i fizycznie...

Michel podszedł do nich i podał profesorowi szklanę z brunatnożółcistym płynem.

— Czas na lekarstwo — rzekł beznamiętnym tonem.

Profesor spojrział na niego i wypił płyn.

— Dziękuję, Michel. Jesteś dokładny jak mechanizm. Michel odszedł w milczeniu.

Profesor powiódł za nim wzrokiem.

— Wówczas on, a raczej jego mózg, znajdował się znów osobno w środowisku odżywczym. Prosiłem Chamforta, by go trzymał na określonej „diecie” do mojego powrotu. To wszystko, na co mnie było stać. Myślałem wtedy, że już nigdy nie zdołam wrócić do tych doświadczeń... Byłem o krok od samobójstwa... Ale w Bretanii trochę się otrząsałem... doszedłem do wniosku, że kontynuowanie tej pnący jest moim obowiązkiem, że jestem to winien pamięci Saint-Ivesa. Wkrótce spotkałem Luizę... i... zna pan już rezultat tego spotkania. Luiza wniosła mi pieniądze, mogłem urządzić nowe laboratorium i nie kłopotać się na razie o kawałek chleba. Jej czułość pomogła mi wrócić do pracy, a ja w zamian za to zrnaowałem jej życie.

Nastąpiło długie milczenie. Albert, zagryzając wargi, wpatrywał się w zrudziałe czubki swoich butów. Nie wiedział, co ma powiedzieć.

— No, ale w tych warunkach rozumie pan sam, że musiałem przede wszystkim myśleć o rezultatach praktycznych — zaczął zmów profesor. — Nie w tym sensie, jakiego pragnął Desmarais i inni, ale... Widzi pan, gdyby nie pieniądze Luizy, musiałbym szukać pracy, a to by niezmiernie opóźniło tempo badań... W dodatku wątpię, czy uniwersytet przyjąłby mnie z powrotem i Bóg wie, gdzie udałoby mi się zaczepić. Luiza oszczędziła mi tej smutnej konieczności. Ale nie mogłem przecież spokojnie tracić jej pieniędzy, których nie było tak wiele, a teraz zostały już resztki. Musiałem więc za wszelką cenę prześcignąć samego siebie. Rozumie pan, mam nadzieję, że tu bynajmniej nie chodziło o chorobliwą ambicję. Gdybym był młody i bogaty... — Umilkł znowu, a potem wymówił gwałtownie, patrząc w sufit: — Niech pan o tym wszystkim zapomni. Po prostu zbyt długo żyłem w samotności

i nie (miałem do kogo otworzyć ust...

Powiedziawszy to sięgnął znów po notatki Michela. Albert wziął książkę, ale nie mógł czytać. Wstał, zajrzał do Rajmunda, który czytał powieść kryminalną, rzucając od czasu do czasu okiem na spokojnie leżącego Paula, popatrzył, jak Michel krząta się przy stołach laboratoryjnych zapisując dane — i znowu wrócił do profesora Laurenta. Profesor szeleścił kartkami, twarz jego wyrażała najwyższe napięcie, zbielewały wargi były tak mocno zaciśnięte, że niemal niewidoczne.

— Moim zdaniem powinien pan odłożyć tę lekturę do czasu, aż pan wydobrzeje — powiedział Albert łagodnie, ale stanowczym tonem.

Profesor nic nie odpowiedział. Zbliżył się Michel i przez jakiś czas przyglądał mu się w milczeniu.

— Kuracja nie da żadnych wyników, jeżeli pan nie będzie unikał ciągłego napięcia.

Czytanie tych notatek jest dla pana w tej chwili absolutnie niewskazane — odezwał się na koniec tonem nauczyciela strofującego niesfornego ucznia.

— Zostaw mnie w spokoju — mruknął profesor nie odrywając wzroku od rękopisu.

— Powinien pan teraz wypić filiżankę czekolady, zażyć miksturę numer cztery i postarać się zasnąć — nalegał Michel.

— Dobrze — profesor czytał dalej — wypiję. Albert otworzył po cichu drzwi do kuchni i stanął zdziwiony. Na taborecie koło okna siedziała Luiza w czarnym kimonie, malowanym w srebrne kwiaty i płomienne ptaki.

— O, czy pan doprawdy tak sądzi, Rogerze? — pytała ze śmiechem.

— Gotów jestem przysiąc! Jakem Roger Leroix! — wołał z zapalem.

Spostrzegłszy Alberta, Luiza skinęła głową, szczerzej otuliła się kimonem i wyszła. Roger spojrzął na przyjaciela trochę niechętnie.

— Zaraz ci podgrzeję czekoladę — burknął. — Siedzicie tam na górze jak wykleci, a ona, biedactwo, się nudzi. I na to wszystko musi znaleźć radę Roger Leroix!

— Rzeczywiście, to wielki dla ciebie ciężar zabawianie ładnej kobiety! — roześmiał się Albert.

— No przecież muszę jakoś pomóc tej dziecinie! Tyle się namordowała, a teraz jeszcze się gnębi przez tego swojego paniczyka z redakcji. Co, twoim zdaniem, powinienem zrobić?

— A to coś nowego, Roger Leroix potrzebuje moich rad w tych sprawach?! — Albert udał najwyższe zdumienie.

— Dam sobie radę bez ciebie — uśmiechnął się Roger nalewając do filiżanki czekoladę.

— Niech profesor zje jeszcze kawałek biszkoptu... Ech, gdyby nie ten cholerny Rajmund...

— Mam wrażenie, jakbyś zupełnie zapomniał, że Luiza jest żoną profesora — powiedział z wyrzutem Albert. — Nie podoba mi się to wszystko...

— Idź już, idź! — Roger wsunął mu tacę do rąk, wziął za ramiona i odwrócił w stronę drzwi. — Wiesz, co ci powiem? Każdy przyzwoity mężczyzna po prostu ma święty obowiązek odbić żonę takiemu mężowi.

— Dlaczego? — spytał Albert poważnie.

— A dlatego. Mówiłem ci już, jaką mam zasadę — nie opuszczam nigdy bezbronnej kobiety. Rozumiesz?

I popchnął Alberta w stronę drzwi.

Profesor Laurent posłusznie odłożył rękopis, wypił czekoladę, zażył miksturę i wyciągnął się na wznak, zamykając oczy. Po pewnym czasie oddech jego stał się głębszy, bardziej równomierny, z twarzy zniknął wyraz napięcia. Przez otwarty lufcik wpadł podmuch wiatru, kartki rękopisu z lekkim szelestem sfrunęły na podłogę. Albert, starając się jak najciszej poruszać, zaczął je zbierać i układać według numeracji. „Pierwsza, druga... aha, jest trzecia... teraz znów dziesiąta, jedenasta, dwunasta... a gdzie się podziała czwarta? Nie, to jest siódma”. Wzrok jego padł na jedną ze stronic i nie mógł się już oderwać. „Otacza mnie chaos światła i cieni, niewyraźnych kształtów i linii, nieskończona różnorodność kolorów. To nieprzyjemne i męczące. Próbuje się w tym rozeznaczyć. W ten mniej więcej sposób postrzegałem otoczenie wówczas, w pierwszych chwilach po uzyskaniu wzroku. Dziś trudno mi jest w pełni odtworzyć moje ówczesne doznania — chaotyczne, niejasne i pozbawione logicznego związku. A co

najważniejsze, nie wyrażały się one w słowach i dlatego jest mi szczególnie trudno uchwycić je i sformułować”. Albert usiadł na krześle nie przestając czytać. Jakaś siła kazała mu podnieść oczy, napotkał wzrok profesora i zaczerwieniwszy się po uszy, wypuścił z rąk arkusik. — Nic nie szkodzi, miech pan czyta, to bardzo interesujące — rzekł obojętnym tonem Laurent i znowu zamknął oczy.

Albert domknął ręką płonących policzków i dobrą chwilę patrzył na profesora, który najwidoczniej zasnął. „Właściwie to są notatki naukowe, nie popełniłem wielkiego nietaktu — rzekł do siebie w duchu. — Szkoda tylko, że nie zapytałem przedtem o pozwolenie...”

Po przeczytaniu dalszych kilkunastu stronic, zrozumiał sens aluzyjnych uwag Michela:

„Zapisywałem wszystko po kolei”. W miarę jak mózg Michela zaczął odbierać coraz więcej informacji z otoczenia, wzrastała jego zdolność analizy. Częściowo można to porównać z percepcją niemowlęcia, ale tylko częściowo, mózg Michela bowiem był w tym okresie, którego dotyczyły pierwsze strony notatek, o wiele bardziej rozwinięty niż mózg noworodka, a przy tym nie posiadał on na początku zmysłu wzroku i słyszeć też, zapewne, jeszcze nie mógł. To była pasjonująca rzecz śledzić według tych pedantycznych zapisów stopniowe poznawanie świata, który najpierw jest ograniczony, ciasny, a jednocześnie pełen niewyczerpanej różnorodności dla tego, kto po raz pierwszy zaczyna słyszeć, widzieć, mówić, potem z wolna i niepewnie poruszać się.

I oto w miarę rozwoju świadomości Michela, w miarę, jak zaczynał już wiele pojmować, mimo że był jeszcze nieruchomy i niemy, w notatkach również zaczęły się pojawiać zdania takiej treści, że Albert kilkakrotnie spojrzął, zmieszany, na profesora — może nie powinien tego czytać... Ale profesor spał, a materiał (był tak pasjonujący, że Albert po chwili wahał się znów się zatopił w lekturze.

„Dziś w pobliżu mnie rozmawiały dwie osoby. Znam ich imiona. Wysoki dźwięczny głos należy do Magdaleny. Głos Klaudiusza, niższy, bardziej stłumiony, brzmi dla mnie przyjemniej. (Nie wiedziałem wówczas nic jeszcze o istnieniu płci. Nie pojmowałem ich rozmów. Jest to czysto mechaniczny

zapis i odtworzenie. Kiedy dźwięki się oddalały, przestawałem je percypować. Dlatego pamiętam tylko rozmowy, które się odbywały w mojej — bliskości! ..Magdalena i Klaudiusz prawdopodobnie patrzą na mnie, widzę ich bardzo niewyraźnie, jak zamazane barwne plamy. Klaudiusz mówi: „Henryk i Juliusz tracą czas na bezpłodne badania. Nawet jeśli można wyhodować całkowicie normalny mózg poza organizmem, to jakim cudem przeszczepi się go potem do innego układu nerwowego, który i tak już doznał poważnego urazu? Jak zregenerować drogi nerwowe? I rzecz najważniejsza — przecież nieodwracalne zmiany w Układzie nerwowym następują już w kilka minut po śmierci klinicznej. Czy jest zatem sens dokonywać niesłychanie skomplikowanej operacji, jeżeli z góry skazana jest na niepowodzenie?” Głos Magdaleny: „Mimo wszystko, to co oni robią, jest cudowne. Wydaje mi się tylko, że cele ich różnią się od naszych”. Klaudiusz: „Czasami i mnie się tak zdaje. Nie próbowałaś go zapytać?” Magdalena: „Ja przecież ostatnimi czasy prawie nie widuję Henryka. Często zostaje tu ona noc razem z Saint-Ivesem, a rano, kiedy wraca, ja z kolei śpieszę się do kliniki... Zresztą w ogóle mało rozmawiamy”. Klaudiusz: „Wielu rzeczy w tobie nie rozumiem, Magdaleno... Jeżeli tak jest...” Magdalena: „Nie warto o tym mówić. Wszystkim nam przyświeca wspólny cel. Lepiej więc milczeć i pracować... Spójrz, według rozmiarów, jest to już mózg dorosłego człowieka. I to duży w dodatku”. Klaudiusz: „Cóż z tego, gdy niepełnowartościowy. Prawie nie posiadający receptorów, pozbawiony zdolności mówienia i poruszania się, z nie—rozwiniętym układem sygnalizacyjnym — czy można to uważać za mózg? Roczne dziecko, które dopiero nauczyło się chodzić i szczebiotać pierwsze słowa, jest niemal bogiem w porównaniu z tą nieruchomą i niemą tkanką nerwową. Nie, to absurdalny pomysł, Magdaleno, i naszym obowiązkiem jest przekonać ich, by porzucili tę separatystyczną linię. Zaczęli wyraźnie zaniedbywać badania zespołowe, wszyscy to już zauważyli”. Na następnych stronicach znów powtarzały się kilkakrotnie rozmowy Magdaleny z Klaudiuszem. „Magdalena to zapewne żona profesora — myślał Albert. — Rajmund wspominał przecież, że pierwsza żona go porzuciła. Juliusz to, oczywiście, Saint-Ives. A kto to jest Klaudiusz? O, tu znów

rozmawiają — prawdopodobnie są sami. Przedtem była ogólna rozmowa na temat rewelacyjnej operacji przeszczepienia wątroby”.

Klaudiusz mówi głośniejszym głosem niż normalnie: „W końcu to głupia historia! Jeżeli Henryk nie chce z nami pracować, niech powie otwarcie! Ale obecny stan rzeczy nie może trwać dłużej!” Magdalena: „Mam wrażenie, że trochę przesadzasz. Henryk nadal interesuje się wspólnymi zagadnieniami laboratorium. Ma tylko dziwny i bardzo trudny charakter. Poza tym on nie jest chirurgiem, więc nasz wspaniały sukces nie może go cieszyć w tym stopniu, co nas. My jesteśmy praktykami i odczuwamy radość, że zdołaliśmy wyrwać śmierci jeszcze jednego człowieka. A dla niego to tylko przypadkowo udany eksperyment, który bynajmniej nie dowodzi, że nauczyliśmy się pokonywać niezgodność biologiczną. Odpowiedział ci arogancko i głupio, co mi sprawiło wielką przykrość. Ale kto wie, może on widzi...” Klaudiusz: „Nic nie widzi, zapewniam ci, że jego nic nie obchodzi. Gdyby ktoś z nas nagle umarł, gdybyś to nawet była ty, on byłby tylko jednym przejęty: jak by tu od razu na miejscu otworzyć czaszkę i obejrzeć jeszcze ciepły mózg!” Głos Magdaleny, bardzo cichy: „Jesteś niesprawiedliwy dla Henryka. Nauka pochłania go całkowicie, to prawda, zapomniał o wszystkim, ale my nie mamy prawa go potępiać...” Klaudiusz: „Czy najgenialniejszy nawet uczonec ma prawo nie być człowiekiem?” Magdalena: „Nie wiem, Klaudiuszu. Ale on znajduje się teraz w stanie nadludzkiego napięcia. Po prostu nie może myśleć o niczym. Istnieją dla niego tylko badania. I Juliusz...” Klaudiusz: „No chyba! Bez Juliusza nie dałby sobie z tym rady! Ale zaręczam ci, że Saint-Ives jako pełen uroku człowiek — nie istnieje dla niego. Gdyby zaszła potrzeba, z lekkim sercem poświęciłby swego przyjaciela”. Magdalena: „Jesteś okrutny i niesprawiedliwy”. Klaudiusz: „A ty? Co cię z nim wiąże? No powiedz, co?” Magdalena: „Na takie pytania trudno jest odpowiedzieć. Przeżyliśmy z Henrykiem siedem lat. Byliśmy szczęśliwi. Takich rzeczy łatwo się nie zapomina. I nie powinieneś mnie naglić. Nie jesteśmy dziećmi”.

Albert odłożył rękopis. Poczul zażenowanie. Trzeba było przerwać wcześniej, ale skąd mógł wiedzieć...

— Wszystko jedno... — Profesor Laurent odezwał się tak niespodzianie, że Albert drgnął.

— I tak by się pan dowiedział... więc co za różnica...

Wyciągnął rękę po papiery. Albert po raz pierwszy zwrócił uwagę na to, jak bardzo zmieniły się te silne, pięknie ukształtowane ręce — skóra nabrała żółtawego odcienia wosku, palce schudły tak bardzo, że stawy wyraźnie rysowały się pod skórą. Albert pomyślał z niepokojem, że chyba nie należy dowierzać diagnozie Michela. Wziął rękę profesora, puls był słaby i nierówny.

— Rozumiem, że tu nie można wezwać lekarza — powiedział. — Ale gdybyśmy znieśli pana na dół i zawołali taksówkę?

— Na razie nie ma gwałtownej potrzeby. — Profesor obrzucił go szybkim spojrzeniem. — Dlaczego pan naraz zaczął o tym mówić?

— Niepokoi mnie pański wygląd. I puls jest niedobry.

— Widocznie trzeba jakiś czas poleżeć. Nadmierne przeciążenie plus Sial-5 zbyt długo i zbyt często. Michel ma rację! Wyczerpałem wszystkie moje rezerwy... — Na twarzy profesora po raz pierwszy odmalował się strach. — Absolutnie nie wyobrażam sobie, co by to było, gdyby nie wy...

Milczał długo, leżąc z zamkniętymi oczami. Po twarzy raz po raz przebiegały drgania.

— Spróbuję znów zasnąć — powiedział. — Niech pan nie siedzi przy minie, stałem się niemożliwym egoistą. W ogóle pozwoliłem sobie na takie rozklejenie się chyba dlatego, że zjawiliście się tu we trójkę i mogę na was polegać... Niech pan idzie, Duclos, dziękuję za wszystko.

— Muszę już zmienić... — Albert omal nie powiedział: Rajmunda, ale w porę ugryzł się w język.

Wszedłszy za parawan, spytał szeptem Rajmunda:

— Nie wie pan, gdzie teraz jest pierwsza żona profesora?

— Wyszła za mąż za profesora Desmarais, naczelnego chirurga kliniki, w której sama pracuje. Ona także jest chirurgiem.

— Rozumiem! — powiedział zamyślonym tonem Albert i siadł u wezglowia kozetki.

Rajmund przeciągnął się, ziewnął.

— Pójdę się przejść — oznajmił. — Chociaż na pół godzinki, dobrze?

— Naturalnie — odpowiedział Albert z roztargnieniem, spoglądając gdzieś w próżnię. — Pół godzinki...

Rajmund roześmiał się. Podobał mu się ten oryginał Albert. „Gdyby nie ten przekłęty lis Roger, świetnie byśmy się dogadali” — rozmyślał schodząc po schodach.

U Luizy siedział Roger. Rajmund zrobił obojętną minę.

— Jak zdrowie pani? — zapytał z ceremonialną uprzejmością całując jej delikatne, chłodne palce.

Luiza uśmiechnęła się nieśmiało, patrząc na niego szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami. Roger zaczął pogwizdywać jakąś skoczną melodię i zeskoczył z parapetu.

— No, pójdę już — powiedział zmierzyszy Rajmunda ironicznym wzrokiem.

— Nie rozumiem, co za przyjemność może pani znajdować w jego towarzystwie — zauważył Rajmund dość suchym tonem. — Właśnie pani...

— Właśnie ja... — powtórzyła Luiza z odcieniem smutku. — Jestem zawsze sama. A Roger jest bardzo dobry i wesoły. Wiem, że pan go nie lubi. Ale on ma złote serce.

Rajmund zamyślił się. Sam nie bardzo rozumiał, co się z nim dzieje. Niby nie tęsknił specjalnie za Luizą siedząc na górze przy tym kretynie Paulu. Kiedy mówił Albertowi, że chce pójść na spacer, istotnie pragnął wyrwać się choćby na godzinkę z tego posępnego domu, odetchnąć świeżym powietrzem i korzystając z okazji zadzwonić do szefa. Tymczasem coś go ciągnęło do Luizy, przy której ogarniały go dziwne uczucia — tkliwość, zazdrość i taki zamęt duchowy, jakiego przedtem nigdy nie doświadczał. „Co z tym robić? — myślał całując jej palce. — Nie przypuszczałem, że może mi się zdarzyć podobna historia...” Rajmund jeszcze nie myślał poważnie o małżeństwie, ale w zasadzie przewidywał, że kiedyś ożeni się z panną z dobrej rodziny... Oczywiście, panna musi być ładna, pełna temperamentu, niegłupia... posag też byłby nie do pogardzenia. Ale zakochać się w cudzej żonie i to jeszcze w takich okolicznościach... nie, czort wie, co za pomysł! „No dobrze, a jeśli Luiza mimo wszystko zgodzi się rozejść z mężem, czy naprawdę chciałbym się z nią ożenić?”

Serce mu w piersi jęknęło, gdy zadał sobie to pytanie. Żenić się? W dwudziestym piątym roku życia, ze swoją rówieśnicą, z kobietą, która tyle przeszła, wyczerpaną nerwowo, może nawet ciężko chorą... Kto wie, jak długo może trwać uraz po takich przeżyciach... — Rajmundzie — powiedziała cicho Luiza, jak gdyby odgadując jego myśli. — Czuję się talk dobrze, kiedy pan jest przy mnie... Nie mam sił na to, by myśleć o jutrze, ale dziś jestem szczęśliwa... prawie szczęśliwa mimo wszystko... Jestem panu talk wdzięczna... Rajmund omal się nie rozplakał — pierwszy raz od chwili, gdy stał się dorosły. Nie zdołał wymówić ani słowa, tylko znów ucałował rękę Luizy.

— Chcę się zobaczyć z Luizą — oświadczył Peyronel. (Rajmund słyszał w słuchawce jego ciężki, astmatyczny oddech). — Niech pan jej powie, by jutro o dwunastej w południe czekała na skwerze na placu Chopina.

— Dobrze, powiem. A jak wypadły fotografie?

— Znakomicie! — odpowiedział głośno sapiąc Peyronel. — Świetnie się pan opравиł. To wszystko przypomina jakąś straszną bajkę... Aha, —niech pan zrobi Mika zdjęć profesora Laurenta. Szkoda, że nie można sfotografować pana, na przykład, w rozmowie z Michelelem... to byłby numer!

Rajmund sam myślał już o tym, ale na pomoc Alberta nie było sensu liczyć. Zawaliłby całą sprawę, zwracając się do niego...

— A jak tam z pieniędzmi? — spytał Peyronel. — Niech pan wstąpi do redakcji jutro lub pojutrze, kiedy panu wygodniej, wypiszę czek.

Rajmund szedł powoli przez czyste, pełne zieleni ulice Passy, ozdobione nazwiskami pisarzy, artystów, kompozytorów wszystkich epok i narodów. Tutaj w zgodzie i harmonii spotykali się Greuze i Degas, Rafael i Rodin, Petrarka i Leconte de Lisie, Dickens i Marcel Proust... Rajmund uśmiechał się spoglądając na tabliczki: oto skręcił z ulicy Lafontaine'a przez ulicę Milleta na Teofila Gautier, potem minał ulicę George Sand i przecinając Avenue Mozart, znalazł się na ulicy Heinego.

Przypomniał sobie, jak w zeszłym roku szukając swego przyjaciela, który zamieszkał w pobliżu cmentarza Auteuil,

znalazł się w labiryncie krzywych uliczek z nazwiskami: Boileau, Racine, Corneille, Voltaire, Molière, i zaskoczony tym skupiskiem wielkości, zapomniał, pod którymi skrzydłami mieszka ten dziwak: Corneille'a czy Racine'a... Szedł leniwym krokiem z rękami w kieszeniach szarej kurtki, ale w duszy czuł jakiś dziwny niepokój. Kurtka była porządnie zniszczona, mimo to jednak zachowała elegancki wygląd. Specjalnie ubrał się w co skromniejsze i prostsze rzeczy idąc do profesora Laurenta — przyjechał przecież z prowincji i w dodatku był bezrobotny. Ale Roger i tak uważał wszystko to za nazbyt sztywne — i tę kurtkę, i płaszcz, całkiem zwykły deszczowiec, i półbuty, no i oczywiście nylonowe koszule Rajmunda. „Tu już bardzo przepraszam, nie zamierzam tak dalece się maskować. Koszulę muszę mieć stale czystą, a to mogę osiągnąć tylko dzięki nylonowi — wypiorę pod kranem i znów świeżutka... Czemu się, zresztą, dziwić, przecież Roger i Albert to autentyczni bezrobotni, bez żadnej lipy... Dotychczas jeszcze zalatuje od nich domem noclegowym, potem, kurzem, deszczem... diabli wiedzą czym. No nie, to już lekka przesada, od razu (przecież zaczęli się myć i szorować, jak tylko poczuli dach nad głową, Roger jest schludny niczym kot, w dodatku jeszcze ze skóry wyłazi, żeby się podobać Luizie... Tak, Luiza... Ciekawe, co ona jutro powie Peyronelowi? Z kobietami nigdy nic nie wiadomo, są takie niestałe, nawet te najlepsze...”

Teraz dopiero Rajmund uświadomił sobie, co mu tak nie dawało spokoju po rozmowie z Peyronelem. „Tak, zagmatwany węzeł... Ale co ona właściwie może powiedzieć o minie złego? Absolutnie nic... A jednak, jeśli wyzna Peyronelowi, że mnie kocha, i stary z właściwą sobie energią zechce zapewnić szczęście swojej pupilce... Peyronelowi trudno się wykręcić... Tak, po głębszym zastanowieniu to nie wygląda najgorzej — solidna protekcja zagwarantowana, dopóki żyje Peyronel, a Luiza, no cóż Luiza... chyba ją przecież Kocham?” Skreślił z powrotem. Na Avenue Mozart zagroziła mu drogę szczupła, elegancka panna z gęstą strzechą czarnych włosów.

— Nie poznajesz?

— Poznaję, Ninette — odpowiedział z uśmiechem. — Co cię tu sprowadza, czyżbyś zmieniła dzielnicę?

— Nie, jestem tu przypadkowo. Masz czas?

— Niestety, jestem zajęty. Widzę, że i beze mnie zarabiasz doskonale. Wyglądasz jak gwiazda Hollywoodu.

Patrzył na nią z przyjemnością — była naprawdę bardzo szykowna, a przy tym młodziutka. Po tej piekielnej kuchni profesora Laurenta dobrze by mu zrobił wieczór spędzony z taką ślicznotką... i pieniądze są. Ale gdzie tam, to niemożliwe! Rajmund westchnął.

— Życzę powodzenia, dziecinko! Zazdroszczę temu, kto dziś postawi ci kolację!

Ninette wybuchnęła śmiechem pokazując olśniewająco białe zęby i oddaliła się aleją Mozarta. „Nic nie szkodzi, będę miał jeszcze takie okazje, a nawet znacznie lepsze! — rzekł do siebie Rajmund. Mam dopiero dwadzieścia pięć lat!”

— Jak ja wyglądam, Duclos? — spytał profesor Laurent.

Albert z uznaniem kiwnął głową. Profesor wyglądał (dziś lepiej, znacznie lepiej. Teraz już rezultaty kuracji Michela były widoczne — nastąpiła wyraźna poprawa.

— Myślę, że niedługo będzie pan mógł wychodzić do ogrodu — powiedział. — Ale na razie musi pan leżeć.

— Dobrze, stosuję się przecież do zaleceń Michela... Duclos, czy pan wszystko przeczytał? — Wskazał notatki.

— Tak. To niesłychanie interesujące.

— Ba! Dokument jedyny w swoim rodzaju. Ja sam nie spodziewałem się czegoś podobnego. Pamięta nawet rzeczy, których sobie nie uświadamiał, przecież takich rozmów nie można wymyślić. A nasze rozmowy z Saint-Ivesem, jak dokładnie streszczone... Profesor przygryzł z lekka dolną wargę i dodał sztucznie swobodnym tonem: — Zapewne domyślił się pan, czytając te notatki, że moja żona, która brała żywy udział w naszych badaniach, rozeszła się ze mną. Przyczyny były inne, niż można by wnioskować z tych luźnych wspomnień Michela, ale... zresztą to nie ma znaczenia! W każdym razie tak się stało i trzeba przyznać, że było dla mnie dużym zaskoczeniem... — Umilkł ma chwilę. — Nie o tym chciałem mówić. Niech pan dziś po obiedzie pójdzie do Chamforta i poprosi, żeby wpadł do mnie. Muszę porozmawiać z nim na temat zamówień... Chyba to i owo trzeba będzie zmienić... Michel! François! — zawołał.

Podeszli obaj i zatrzymali się koło łóżka profesora patrząc na niego pytająco.

— Postanowiłem cię zoperować, François — oznajmił profesor. — Otrzymasz zdolność mówienia. Chcesz tego?

François skwapliwie kiwnął dużą, kulistą głową. Na jego ciemnej twarzy zamajaczyło coś na podobieństwo uśmiechu. Albert spoglądał na niego z sympatią. Ten niezdarny, lecz inteligentny i zwykle bardzo dobronudzny osiłek (podał mu się najbardziej ze wszystkich mieszkańców laboratorium. Michel był zanadto rzeczowy i dokładny jak automat, przy tym absolutnie wyprany ze wszystkich uczuć, jeśli nie brać pod uwagę pragnienia władzy. Paul od początku był na wpół idiotą, teraz jest w ogóle niepoczytalny, a Pierre stanowi jedynie karykaturę człowieka. Doprawdy, jak by to było dobrze, gdyby François nauczył się mówić.

— Jednocześnie zrobię ci nową twarz — mówił profesor. — Musisz ładnie wyglądać.

François ponownie zaczął kiwać głową na znak, że się zgadza.

— Jemu wszystko jedno, jaką będzie miał twarz, byle tylko nauczył się mówić — odezwał się Michel słuchający tej rozmowy z grymasem niezadowolenia.

— Ale ty chyba rozumiesz, że twarz mu jest potrzebna? Powiedz mi, może ty chciałbyś również otrzymać nową?

— Ja? — Michel był zaskoczony. — Ależ po co? Przecież moja twarz jest zupełnie prawidłowa.

— Otóż to właśnie, zanadto prawidłowa. Ale ty tego nie zrozumiesz.

— Rzeczywiście nie rozumiem, jak może coś być zanadto prawidłowe. Przypuszczam, że pan znowu żartuje... Ale kiedy pan zamierza przeprowadzić tę operację? Przecież pan jest bardzo jeszcze osłabiony.

— Za tydzień! — rzucił profesor tonem nie dopuszczającym sprzeciwów. — Do tego czasu zacznę już wstawać. Odpocznę później, będziemy leżeć razem z François, a ty będziesz nas leczył.

— To ryzykowna decyzja — powiedział surowo Michel. — Operacja jest bardzo skomplikowana i poważna, nie podoba pan temu.

— Bądź spokojny. Dam sobie radę.

— A druga sprawa — to Paul. Zapach krwi, cała atmosfera operacji może bardzo źle na niego podziałać. Przecież stale bał się operacji, od tego się wszystko zaczęło.

— Paulowi damy środek nasenny. Można nawet zrobić mu zastrzyk T-24. Minęło już sporo czasu, po tamtej dawce nie ma już śladu w organizmie.

— Pierre również może być niebezpieczny. A wreszcie ja sam boję się operacji.

— Ty? Przecież tobie nie będę robił operacji, skoro nie chcesz!

— Wiem. Ale boję się, że kiedy pan będzie operował François, dostanę ataku.

Profesor rozgniewał się na dobre.

— Nie gadaj głupstw, Michel! Przestań mnie straszyć! Nic ci się nie stanie! Operacja jest konieczna, sam o tym wiesz!

— Można ją zrobić później.

— Nie można później. Musi być za tydzień. Jak tylko Chamfort zdobędzie mi to, o co go prosiłem.

— Raz jeszcze ostrzegam pana, że to może doprowadzić do katastrofy. Radzę odłożyć operację.

Michel odszedł do swojego stolika. Profesor Laurent wzruszył ze złością ramionami.

— Widział pan, Buolos, do jakiego stopnia on się stał złożony? Despotyzm, upór, kłamliwe obawy i złe przeczucia. Ładny mi ideał sekretarza, o którym marzyliśmy z Saint-Ivesem!

— Dlaczego pan przypuszcza, że Michel kłamie, mówiąc, że obawia się katastrofy? — próbował zaprotestować Albert. — Jego argumenty bardzo mi trafiły do przekonania...

— Niechże pan chociaż nie mówi głupstw, Duclos! Jest nas przecież czterech. W najgorszym razie, nawet gdyby Michel dostał ataku, François będzie pod narkozą, Paula także uśpimy. Czy we trójkę nie dacie sobie rady z Pierre'em i z Michelem?

— A jeśli pan zasłabnie, kto dokończy operacji?

— Nie zasłabnę w czasie operacji. Później — możliwe, ale później to już nic strasznego, poleżę jakiś czas. Niech pan idzie do Chamforta, Duclos.

Chamfort był tym razem bardzo uprzejmy, nawet serdeczny.

— Miło mi pana widzieć, młodzieńcze! Proszę do gabinetu.

Ciemnobrazowy gigant siedział przy stoliku w rogu gabinetu, przeglądał czasopisma i robił notatki, na jego ramieniu leżał duży, puszysty kot, żółty jak słońce.

— Fanfan-Tulipan, cóż to za pomysły! — Chamfort zdjął kota, zajrzał w jego przejrzyste, bursztynowe ślepie. — Widzę, że już zupełnie oswoiłeś się z Sokratesem.

— A jak się do niego odnosi Sokrates?

— No, jak może odnosić się do kota? Sokratesie, co zrobisz, jeśli Fanfan-Tulipan znajdzie się na twojej drodze?

— Ominę go ostrożnie, żeby nie rozdeptać. Albo lepiej przestawię go na parapet lub na szafę.

— Właściwe czynności, lecz niewłaściwe wyrażenie. Kot jest żywym stworzeniem, a nie rzeczą. Nie można go przestawać.

— Tak, ale on nie mówi — powiedział robot, jak gdyby się usprawiedliwiając.

— Oczywiście. Ponadto kreślić także nie umie. I mimo wszystko należy go przenosić lub przesadzać, a nie przestawiać. Rozumiesz teraz, Sokratesie?

— Tak, rozumiem.

— Widzi pan, jakie pędzimy życie! — roześmiał się Chamfort. — Familijne radości! A co tam u was nowego? Proszę, niechże pan siada.

Wysłuchawszy relacji Alberta, Chamfort zamachał w podnieceniach rękami i zaczął biegać po pokoju, burząc swoją gęstą, kędzierzawą czuprynę.

— Nie, to już jest czyste szaleństwo! — wołał. — Widziałem, że Laurent lada chwila zwali się z nóg. Ale leżeć w takim stanie tam... o, Boże, to potworne. I Michel w roli nadwornego lekarza! Ależ on wpędzi do grobu Laurenta, ten wasz mędrzec!

— Michel ma dużą wiedzę, a przy tym to bardzo energiczny... — Albert zająknął się. Mimo wszystko słowo „człowiek” — wydało mu się niewłaściwe. — On pierwszy zaproponował, żeby profesor wyjechał na kurację i na wypoczynek.

Chamfort zatrzymał się tak gwałtownie, że omal nie upadł.

— Ach, tak, sam zaproponowałem! — Zamyślił się i stał chwilę kołysząc się w obie strony.

— Taak... do jakiego stopnia fantastyczna i absurdalna jest ta nasza epoka! Energia jądrowa, półprzewodniki, loty w Kosmos, takie twory, jak mój Sokrates i jego starsi, mniej rozgarnięci (bracia oraz siostry — a z drugiej strony, diabli wiedzą co za dziki galimatias w umysłach ludzi, którzy tworzą te wszystkie cuda! Laurent jest najlepszym tego przykładem. No, chyba pan zdaje sobie sprawę z tego, że on jest cudotwórcą. A równocześnie...

— Chwileczkę... — przerwał nieśmiało Albert. — Zdawało mi się, że pan niezupełnie zgadza się z tym, co robi profesor Laurent?

— O, miły Boże! Ja nie zgadzam się również z tym, co robili inni cudotwórcy, nawet Chrystus! Laurent posiada pewne zasadnicze cechy cudotwórców, którzy bynajmniej nie zawsze wiedzieli, po co robią właśnie to, a nie co innego i dlaczego w ten, a nie w inny sposób. I poza tym, nie mogli nikomu przekazać tajemnic swojej sztuki.

— Co to ma wspólnego z profesorem Laurent? — zapytał Albert marszcząc brwi.

Przypomniał sobie opowiadanie profesora o początkach jego współpracy z Saint-Ivesem.

Piwnie oczy Chamforta spojrzały z bliska w twarz Alberta.

— Pan go lubi, młodzieńcze! — powiedział. — To bardzo pięknie z pańskiej strony. Daję panu uczciwe słowo, że choć mam do niego głęboki żal z powodu Saint-Ivesa, ja również nim się zachwycam. Ale powinien pan lubić z otwartymi oczami. Laurent to fanatyk i szaleniec, zgubił Saint-Ivesa, sam stoi u progu śmierci i ściąga katastrofę na wszystkich, którzy są z nim razem. Owszem, ja wiem, że jesteście młodzi, zdrowi i odważni, sądzicie, że uda się wam zapobiec każdemu niebezpieczeństwu. Ale wszystkiego nie sposób przewidzieć. Czy Laurent dalej przeprowadza eksperymenty ze stymulatorami i hormonami?

— Nie. Paul jeszcze jest chory i z tego powodu profesor nie rusza Pierreta — ci dwaj są jakoś bardzo do siebie przywiązani. Na Michelu też nie można teraz eksperymentować,

ponieważ w wielu sprawach zastępuje profesora...

— Hm, więc on zaproponował, że go w ogóle zastąpi! Ciekawe...

— Przy naszej pomocy — dodał Albert. — A François ma być poddany operacji. Głównie w tej sprawie przyszedłem do pana...

— Dobrze — powiedział Chamfort, gdy Albert wyłożył mu powód swego przybycia. — Pójdę i zobaczę na miejscu, jak to wygląda, skoro i tak muszę być w tym waszym panopticum. Ale po pierwsze, zgadzam się z Michelem, że dokonywanie operacji jest obecnie z wielu względów niewskazane. A po drugie, chcę panu wyjaśnić pewne rzeczy, po prostu dla pańskiego dobra, młodzieńcze. Niech pan się postara zrozumieć mnie we właściwy sposób. Na początek raz jeszcze powtarzam, że osiągnięcia Laurenta są naprawdę cudowne. Jego Michel jest w zasadzie taką samą konstrukcją z plastyku i półprzewodników, jak mój Sokrates. Ale z jedną różnicą — Michel posiada żywy ludziki mózg. I ten mózg czyni z niego człowieka obdarzonego zaletami i wadami, jakie mogą być właściwe tylko człowiekowi. Mój Sokrates nigdy by nie zaofiarował się mnie zastąpić, chociaż byłby w tej roli znacznie godniejszy zaufania niż Michel w roli zastępcy Laurenta. Sokrates nie wie, co to jest ambicja, egoizm, strach, ale nie posiada również szerokiej inicjatywy, wyobraźni, bogactwa uczuć...

— Michel też nie posiada uczuć ani wyobraźni.

— Ale mimo to jest człowiekiem, choćby nawet niepełnowartościowym — powiedział Chamfort. — Gdyby taki typ znalazł się wśród ludzi, prawie na pewno umieszczono by go w klinice psychiatrycznej, niezależnie od jego zdumiewających zdolności... Ale wróćmy do rzeczy. Choćbyśmy piali z zachwytu nad geniuszem Laurenta, fakt pozostaje faktem — nie rozwiązał podstawowego zagadnienia, nad którym głowią się uczeni na całym świecie, nie odkrył tajemnicy świadomości, nie potrafił zbadać niesłychanie skomplikowanego mechanizmu mózgu. Wie pan przecież, czego dokonał! Wyhodował w laboratorium mózg ludzki, mniej lub więcej zdolny do życia mimo nienaturalnych warunków, w jakich się znajduje. Wyhodował również cały ludzki organizm, powiedzmy, że

niepełnowartościowy, ze zmniejszoną odpornością i zdolnością do pracy, ale jednak! We współczesnym etapie rozwoju biochemii i neurofizjologii jest to prawdziwy cud. Laurent daleko wyprzedził swoją epokę. A przecież nie potrafi jasno odpowiedzieć, w imię czego dokonał tego cudu, i tu właśnie jest pies zakopany. Owszem, przygotował sobie odpowiedź, ale jaką niedorzeczną — sam pan słyszał.

— Jednakże, gdy na świecie wiele się zmieni — powiedział Albert — no, gdy wszędzie zapanuje wolność, równość i braterstwo, wtedy oddziaływanie na mózg człowieka może pójść właściwą drogą! Przecież pan w zasadzie uważa doskonałość mózgu za rzecz możliwą?

— Oczywiście. Tak jak uznaję w zasadzie możliwość, że kiedyś zapanuje powszechna wolność, równość i braterstwo, zmilknie analfabetyzm, dzikość i choroby. Nie tylko uważam to za możliwe, lecz po prostu za nieuniknioną konieczność. Pytanie tylko, czy tego dożyjemy. Wątpię, nawet jeśli chodzi o pana. I dlatego musimy rozstrzygać wszystkie zagadnienia, uwzględniając aktualną sytuację. Ale odpowiedź Laurenta jest nierozsądna w dwójnasób, tragicznie nierozsądna. Dlatego właściwie poruszyłem polityczną stronę tego zagadnienia.

Byłem zdumiony, że Laurent, mój towarzysz z maquis, świetny żołnierz, plecie takie bzdury, jakby spadł z księżyca! Można było przecież wcale nie poruszać tego tematu. Po co? Laurent wcale nie nauczył się rządzić świadomością. Zdolności Michela i François są przypadkowe i wątpliwe. Załóżmy, że Laurent będzie mógł i w przyszłości uzyskiwać tajnie rezultaty, jak w tych dwóch przypadkach (na razie tylko w dwóch, proszę na to zwrócić uwagę, młodzieńcze!), trzeba jednak sprawdzić jeszcze, w jakiej mierze są one trwałe i czy ewentualna korzyść nie zostanie okupiona wieloma brakami rozwoju, które dziś wyraźnie rzucają się w oczy. No, zastanówmy się nad tym. Laurent wyhodował cztery mózgi. Trzy z nich funkcjonują poza organizmem żywym, a więc w warunkach wyraźnie nienaturalnych. Jeden — mózg Paula — steruje normalnie żywym organizmem, zachowując z nim wzajemną nierozzerwalną łączność. Wszystkie cztery mózgi mają wszczepione elektrody. Odżywiane są jednakowo. Dłaczę góż więc te czy inne talenty udało się rozwinąć tylko u dwóch

osobników?

W dodatku u tych, którzy powstali wcześniej, a nie przeciwnie, jak należało oczekiwać? Laurent wyjaśnia, że Paul był przeznaczony na obiekt kontrolny, a mózg Pierre'a doznał silnego uszkodzenia.

— To prawda — potwierdził skwapliwie Albert. — Michel opowiadał mi, że François i Paul zaczęli nagle biegać po laboratorium i wszystko przewracać. Profesor był w tym czasie na dole i zanim Michel zdążył jakoś zareagować, narobili mnóstwo szkód. Termostat, gdzie leżał w środowisku odżywczym mózg Pierre'a, również przewrócili. Michel oczywiście natychmiast skoczył na ratunek, ale uszkodzenia już nie udało się usunąć.

— Ano widzi pan — nie udało się! To też jest bardzo znamienne! No, dobrze, wyłączmy więc Pierre'a. Ale dlaczego „kontrolny” Paul jest w efekcie na wpół idiota, psychicznie chorym? Chyba nie to leżało w zamiarach Laurenta?

— Ależ to zupełnie inny wariant badań. Paul rósł zbyt szybko jak na normalny organizm.

Stąd jego słabość i brak odporności.

— Wobec tego nie wolno mówić, że to jest egzemplarz kontrolny, ale trzeba powiedzieć uczciwie — niewypał. W każdym razie, jeśli za pomocą procesów elektrycznych, witamin, hormonów — i czym tam jeszcze operuje Laurent — można choćby częściowo, wpływać na pracę mózgu, to czemu nie dano tego w odpowiednim czasie Paulowi? I czemu Laurent nie próbuje swoich metod teraz, kiedy Paula trzeba wyciągnąć z ciężkiej choroby?

— Paul jest w tej chwili zbyt słaby...

— ...żeby go narażać na przypadkowość i nieznane niebezpieczeństwa? Tak. Otóż to właśnie — gdyby Laurent starał się uzyskać uczciwe, w pełni poparte eksperymentami rezultaty naukowe, a nie liczył głównie na efekt, aurę cudowności i głośny sukces u profanów, wiedziałby, co można, a czego nie wolno robić, powinien był to wiedzieć! Niestety, młodzieńcze, chociaż z wielkim smutkiem, musimy jednak stwierdzić, że mózg ludzki i dla Laurenta pozostał nadal czymś w rodzaju „camera obscura”. Wiemy, jaka informacja dociera w głąb i jakie wnioski zostają z niej wyciągnięte, ale

gdzie, jakimi drogami przebiega ta niesłychanie skomplikowana analiza i selekcja, tego nie wiemy. Mimo że chodzi o mas samych! Zabawne, prawda? Cóż na to poradzić! Znamy drogi dalekich gwiazd, możemy przewidzieć zaćmienie słońca i księżyca, ale nie wiemy, jakim sposobem mózg nasz do tego dochodzi. Nie dość na tym! Leverrier i Adams za pomocą ołówka oraz papieru odkryli niewidzialną do dziś planetę Neptun, obliczyli, że musi znajdować się w tym właśnie miejscu, a nie w innym. A niech pan spróbuje wytłumaczyć, dlaczego Fanfan-Tulipan zeskoczył w tej chwili z szafy na poręcz fotela? Tych rzeczy jeszcze nie znamy, mimo genialnych doświadczeń Pawłowa ze zwierzętami.

— Psychika kota jest oczywiście znacznie prostsza niż psychika ludzika — powiedział Albert spoglądając na żółty, jedwabisty grzbiet Fanfana-Tulipana. — Pamiętam, jak na jednym z pierwszych wykładów profesora Laurenta zdumiał mnie fakt, że tak mało wiemy o sobie samych. Nosić pod czaszką mechanizm tak nieprawdopodobnie skomplikowany — i nie znać jego działania, podchodzić do niego czysto empirycznie... to przecież zupełny nonsens!

— Oczywiście! I co gorsza, Laurent też prawie niczego nie wyjaśnił w tym skomplikowanym zagadnieniu. Ponadto wszystkie jego wyniki są wątpliwe. Wskutek osamotnienia, braku sił, braku bazy materialnej był zmuszony ubiegać się za wszelką cenę o rezultaty efektowne dla profanów. Jak pan widzi, rezultaty te uzyskał, ale za pomocą środków niego dnych prawdziwego uczonego. Zwłaszcza uczonego tej miary co Laurent. Opuszczał najważniejsze ogniwa, nie zostawiał na swojej drodze znaków. Rozumie pan, co mam na myśli? Człowiek ma utorować drogę innym przez olbrzymi las, pełen tajemnic i niebezpieczeństw. Tu znajduje ścieżki, którymi można się posuwać, tam omal nie zapada się w bagnisko, gdzie indziej natrafia na jadowite żmije lub drapieżne zwierzęta, jeszcze w innym miejscu wyrąbuje przejście w dzie wicznym ostępie, a później, poraniony, opadający z sił, widzi, że można było przejść inną, prostszą i mniej niebezpieczną drogą. Wychodzi na skraj i oto las, który wydawał się niedostępny, jest już przebyty, może nie na przestrzal, może nie przez sam środek, ale w każdym razie przebyty. W lesie

tym zginął jego najlepszy przyjaciel i on sam tak wyczerpał siły, że niewiele mu życia pozostało. Czy jest bohaterem? Męczennikiem idei? Ależ niewątpliwie! Tylko co będzie z innymi, którzy mają pójść jego śladami? Spieszył się tak bardzo, że nie zdążył rozmieścić znaków wskazujących, którędy należy iść, gdzie się gnieźdzą jadowite żmije, jak przebyć moczary, gęste zarośla, z którego drzewa można dostrzec najdalszy odcinek drogi. Wszyscy będą musieli przebywać tę drogę na nowo, będą im grozić te same niebezpieczeństwa, będą wpadać w rozpacz i tracić daremnie siły tam, gdzie można by je zaoszczędzić. Taki jest efekt końcowy, gdy zabraknie zaplecza dla przeprowadzania eksperymentów, możliwości ścisłego i bezbłędnego ich sprawdzania.

— Czyżby tak było? — spytał Albert czując chłód w sercu. — Czyżby cała ta genialna praca miała przynieść tak nietrwały i mało znaczący rezultat? Trudno mi w to uwierzyć!

— Istotnie, trudno. A jednak rezultaty naukowe, które osiągnął Laurent, są po prostu znikome w porównaniu z tym, co mogła i co” bezwzględnie powinna była przynieść ta olbrzymia praca, zdumiewająca pod względem samej koncepcji, rozmachu, fanatycznego uporu, jaki w nią włożono.

Chamfort wstał.

— Chyba pójdziemy, co? Sokratesie, rób dalej to zestawienie, wróć za kilka godzin.

— Do widzenia, Sokratesie — Albert pomachał ręką na pożegnanie.

— Nie rozumiem — odpowiedział robot.

— To znaczy, że Albert ma nadzieję znów cię zobaczyć, Sokratesie — wyjaśnił Chamfort.

— Nie uczyłem go takich rzeczy. Oczywiście przyswoiłby sobie bez trudu, zasady formalnej grzeczności. Nie warto jednak zatłaczać tego wspaniałego mózgu mniej ważnym balastem. Niech już lepiej Fanfan-Tulipan zajmuje się sentymentami. Proszę popatrzeć, jak on pana nie odstępuje. To dowód, że pan mu się zdecydowanie podoba.

Kot mrużąc ocierał się o nogę Alberta. Albert wziął go na rękę. Lubił koty, a Fanfan-Tulipan był bardzo piękny.

— Chciałbym, żeby w naszym laboratorium było takie

urocze stworzenie — rzekł puszczając kota na podłogę.

— Niech pan to zrobi — poradził Chamfort. — Ciekawe, jak wasi podopieczni ustosunkują się do tego faktu. Dotychczas jeszcze nie widzieli czegoś takiego. Początkowo Laurent i Saint-Ives robili doświadczenia z białymi myszkami i królikami, a teraz, o ile wiem, Laurent nawet tego nie robi. Wszystkie próby od razu przeprowadza na swoich wychowankach i na sobie samym. I znów dlatego, że nie ma czasu! Ach, to okropne, młodzieńcze, okropne, serce mi się ściska, kiedy o tym myślę! Zapłacić życiem Saint-Ivesa, genialnego człowieka, potem swoim własnym — i za co w końcu? Za to, żeby olśnić audytorium składające się z ignorantów? Cóż za tragiczne nieporozumienie! Umrze on sam, zginą jego wychowankowie — i co wtedy zostanie?

— Dlaczego pan sądzi, że — dajmy na to — Michel i François zginą? — spytał Albert, kiedy zbliżali się już do stacji metro. — Rozumiałbym, że może to spotkać Paula, on jest rzeczywiście słaby. Ale Michel, praktycznie biorąc, jest wieczny. Tak twierdzi profesor.

— Nie rozumiem — mruknął niechętnie Chamfort. — Niby dlaczego ma być wieczny?

Przeciwnie, jestem przekonany, że nawet jeśli pożyje dość długo, to w każdym razie krócej niż przeciętny człowiek. A jeśli zaczną szukać do niego klucza, przeprowadzać na nim eksperymenty, to jego żywot będzie bardzo krótki. „Więc Michel ma rację” — pomyślał Albert. Rajmund opowiadał mu o swoich pierwszych wrażeniach w laboratorium i o rozmowie Michela z profesorem Laurent.

— Spytam Laurenta, co go upoważnia do takiego wniosku — powiedział Chamfort.

— Tylko bardzo proszę, nie przy Michelu — zastrzegł Albert.

— Aha, więc on uwierzył w swoją wiecznotrwałość? — uśmiechnął się Chamfort. — Zgoda, zrobię tak, żeby nie usłyszał... Jest pan bardzo zacnym chłopcem, Albercie. Zdaje się, że pana zasmuciłem. Poroszę nie myśleć, że od początku do końca neguję wspaniałe osiągnięcia Laurenta. Na pewno nie! Przecież już sam fakt, że to jest realnie możliwe, stanowi bezcenną informację, rozumie pan? Weźmy przykład — Ame-

rykanie mieli przez pewien czas monopol na bombę atomową, strasznie się tym szczycili i — rzecz jasna — zazdrośnie strzegli swego sekretu. Ale Norbert Wiener bardzo słusznie zauważył wówczas, że najważniejszy sekret, związany z bombą atomową, jest już znany całemu światu — wszyscy wiedzą, że bomba atomowa istnieje w rzeczywistości, a tym samym zagadnienie jest już w połowie rozwiązane. I tak było, bo jak pan wie, bomba atomowa wkrótce pojawiła się u Rosjan. Gdy już ściśle zostało ustalone, że ten czy ów problem można rozwiązać praktycznie, uczeni pracują zupełnie inaczej, w innym tempie i w innej skali. Niech więc fizjologowie tylko zobaczą Michela i François, to przed nauką z miejsca staną otworem zupełnie nowe perspektywy.

Szli przez jakiś czas w milczeniu. Zaczął padać drobny, ciepły deszcz, chodniki ściemniały, szelest opon samochodowych nabral wilgotnych tonów. Chamfort podniósł kołnierz płaszcza.

— Może pojedziemy taksówką? — zaproponował. — Pańska kurtka nie chroni przed deszczem.

— To nic, deszcz jest ciepły. A poza tym zahartowałem się w ciągu ostatnich lat, więc nie grozi mi przeziębienie.

— Tak, tak, wiem od Laurenta, że bywał pan w różnych tarapatach. No co, może pójdziemy do stacji Raspail, nie lubię placu Denfert-Rochereau, a spacer dobrze nam zrobi.

Szli koło cmentarza Montpairnasse w stronę bulwaru Raspail. Było ciepło, cicho, deszcz to przestawał, to znów zaczynał kropić. Albert z przyjemnością podstawiał swoją nudą czuprynę pod ciepłe krople. Vis a vis biegły dwie ładne młode dziewczyny, zapewne ekspedientki.

Zachichotały, spojrzawszy na Alberta, a jedna, jasnowłosa, pokazała mu język. Roześmiał się.

Chamfort obejrzał się za dziewczętami.

— Tale, tak, ładniutkie szelmy! — westchnął. — Pański Laurent, młodzieńcze, jest godzien pożałowania — życie jest talk piękne, a on zamknął się w swoim laboratorium i nic nie widzi...

— Może profesor ma po prostu inny charakter — wtrącił Albert z pewnym zmieszaniem.

— Inny charakter? — Chamfort roześmiał się. — Skądże,

znam Laurenta od dawna. Może mi pan wierzyć, że był najnormalniejszy pod słońcem. I znał się na kobietach. Ale od pięciu lat wszystkiego się wyrzekł. I na Saint-Ivesa ciągle zrzedził, że bywa w teatrze, lata za babami i od czasu do czasu wypije butelkę wina. Mimo że Saint-Ives miał na to wszystko jedną tylko niedzielę, i to nie zawsze.

— Ale profesor Laurent ożenił się przecież trzy lata temu...

— No, z tym małżeństwem... To po prostu świństwo ze strony Laurenta. Serce mi się ścisnęło, jak zobaczyłem tę biedną Luizę...

— Monsieur Chamfort — Albert pośpiesznie zmienił temat — w gruncie rzeczy jestem profanem, wiele rzeczy z tej dziedziny zapomniałem, a wielu wcale nie znałem... Niech pan mi zechce wytłumaczyć, jaką korzyść przyniosłyby nauce doświadczenia profesora Laurenta, gdyby były przeprowadzane na dużą skalę, konsekwentnie, no i w ogóle najzupełniej prawidłowo?

— Nie tak łatwo na to pytanie odpowiedzieć. Skoro jednak udało się wyhodować mózg w warunkach laboratoryjnych, należało prowadzić jak najbardziej dokładne i skomplikowane obserwacje. Za życia Saint-Ivesa tak było, ale później wszystko jakoś poszło na opak...

Doprawdy to trudna historia! W neurologii jest tyle jeszcze nie rozstrzygniętych zagadnień! Michel, na przykład, gada o hamowaniu, a przecież dla Laurenta hamowanie nadal zostało tym „przeklętym zagadnieniem fizjologii”, jak nazwał je Pawłów. Laurent, tak samo, jak my wszyscy, jedynie obraca się w sferze hipotez, jeśli chodzi o ten przedziwny i niesłychanie skomplikowany proces. A proces kształtowania świadomości? Od razu się zorientowałem, że pod tym względem Laurent prawie nie ruszył z miejsca. A przecież jest to zagadnienie kardynalne i dopóki ono nie zostanie rozwiązane, neurofizjologowie i neurocybernetycy będą pracować po omacku.

— Straszny ze mnie ignorant! — westchnął Albert.

— Ależ mój drogi, wszyscy jesteśmy w tej dziedzinie ignorantami! — Chamfort w zapale niemal wykrzyknął to zdanie. — W przyszłości, gdy zagadnienie to zostanie rozwiązane, potomkowie będą z pewnością śmiać się z naszych

dzisiejszych nieporadnych prób, podobnie jak my śmiejemy się ze starożytnych, którzy utrzymywali, że dusza ma siedlisko w przeponie. Jedni uważają, że mózg funkcjonuje „jako całość” i że świadomość jest atrybutem jego wszechstronnej aktywności. Drudzy twierdzą, że w mózgu istnieje jakaś stale zmieniająca się dynamiczna organizacja, która zapewnia selekcję i obróbkę wrażeń. Ja osobiście skłaniam się ku teorii głoszącej, że w mózgu jest jakiś specjalny obszar, w którym odbywa się integracja wrażeń. Inaczej absolutnie nie mógłbym skonstruować Sokratesa. Ja również posuwam się omackiem, w ciemnościach — to zarozumiała rzecz. Założyłem jednak podobnie, jak wielu innych, że wewnątrz blaszkowy układ wzgórza i twór siatkowaty pnia mózgu są co najmniej jednymi z ważniejszych elementów tego obszaru wyższej czynności nerwowej i przyjąwszy ten punkt Wyjścia, zastosowałem neurony plastyczne. Jak pan widzi, uzyskałem niezłe rezultaty, ale daleko mi do pewności, że droga, którą obrałem, jest właśnie tą najbardziej prawidłową i niezawodną. Może niesłusznie ogarnia mnie taka złość na Laurenta, ale niech pan pomyśli, jak mi jest przykro, kiedy widzę, że on przesmyknął się bokiem koło właściwego celu!

Zeszli na stację metro. Albert, siedząc już w wagonie, odezwał się:

— A jednak to trochę straszne nosić we własnej głowie taki skomplikowany i niezrozumiały mechanizm.

— Ależ dlaczego? — zaprotestował żywo Chamfort. — Mnie to ani trochę nie przeraża i nie peszy. To mi się nawet podoba, że mam talk skomplikowaną strukturę. Bardziej skomplikowaną niż wszystkie inne w przyrodzie. Tak bardzo, że jeszcze sam dla siebie jestem zagadką i dreczę u progu wielkiej tajemnicy własnej świadomości... Zresztą tylko do pewnego czasu. Wcześniej czy później człowiek dopasuje klucz do swego „ja”. I będziemy doskonale wiedzieć, co zachodzi w naszym mózgu, kiedy śmiejemy się z jakiegoś dowcipu, napawamy się pięknym widokiem lub idziemy bronić ojczyzny.

— Ale to chyba jeszcze straszniejsze — zauważył Albert. — Czy nie wydaje się panu, że taka wiedza zdevaluje wszelkie wartości? Jeżeli wyjaśni się, że uczucie patriotyzmu powstaje

w wyniku włączenia się określonego schematu blokowego, a poczucie humoru — wskutek odblokowania jakichś węzłów, to czy nie uważa pan, że może to źle na ludzi podziałać?

— Na głupców! — odparł porywczo Chamfort. — Wyłącznie na głupców, mój drogi! Na tych samych, którzy ongiś z oburzeniem występowali przeciwko teorii, że Ziemia nie znajduje się w centrum wszechświata i że człowiek pochodzi od małpy. Nawiasem mówiąc, zarówno mój Sokrates, jak i twory Laurenta okropnie zbulwersują takich właśnie głupców. Bo widzi pan, te fakty niszczą ostatnią wielką iluzję — wiarę w wyjątkowość człowieka, w niepowtarzalność świadomości! Moim zdaniem., korzenie tej iluzji tkwią w podświadomym pragnieniu nieśmiertelności...

Pociąg pędził przez most Passy. Chamfort i Albert zaczęli się przeciskać do wyjścia.

— Niech pan się nie obawia, że poznanie zniszczy ideały! — podjął zmów Chamfort, kiedy szli ulicą Renoira. — Człowiek zawsze pozostanie człowiekiem. Wiemy wszystko o pracy serca i doskonale rozumiemy, że strzały Amora godzą w mózg, a nie w serce, jak sądzili starożytni. Mimo to boli nas serce od tych strzał zupełnie tak samo, jak bolało w tamtych odległych czasach, które stworzyły mit o Amozie. I tęcza nic nie straciła ze swej piękności, choć wierny doskonale, że nie jest mostem, po którym zbiegała posłanka bogów Irys, lecz tylko załamaniem promieni w parze wodnej. I zieleń lasów i łąk jednakowo nas zachwyca, choć wiemy wszystko o chlorofilu. Tylko kretyna, skostniałego wstecznika może zasmucać fakt, że ludzkie poznanie coraz dalej sięga i że nie ma dla niego granic... Mój Boże, przecież każdy z nas radzi się miliardem! Każdy normalny człowiek posiada w mózgu około piętnastu miliardów komórek, tylko nie każdy potrafi należycie z tych nieprzebranych bogactw korzystać!

— Czy więc można ten niesłychanie skomplikowany, żywy układ odtworzyć sztucznym sposobem? Wiem, że to głupie pytanie, widziałem przecież pańskiego Sokratesa, ale on nie jest jeszcze adekwatnym modelem człowieka.

— Naturalnie, Sokrates jest odtworzeniem zaledwie części niezliczonych procesów, jakie co sekundę zachodzą w naszym mózgu. Ale on nie stanowi przecież punktu granicznego, prze-

ciwnie, jest dopiero pierwszym krokiem na tej drodze. Jeżeli posunie się dalej neurofizjologia, pójdzie za nią również neurocybernetyka. A może się zdarzyć i odwrotnie — może my, modelując mózg, zdołamy to czy owo wyjaśnić fizjologom. Obie te dyscypliny mogą się dziś rozwijać jedynie w ścisłym wzajemnym powiązaniu... Zresztą nie tylko one... A co się tyczy modelowania mózgu, i to w zasadzie jest rzeczą zupełnie możliwą, mój drogi. Ostatecznie przyroda nie miała zbyt wielkiego wyboru, z tych samych cegiełek, dajmy na to, z zasad pirydynowych i purynowych tworzyła tajemniczy mechanizm dziedziczności i ośrodek wyższej integracji nerwowej, i wiele najrozmaitszych, całkowicie odmiennych struktur. A przecież współczesna chemia daje nam do rąk takie materiały, o jajkach przyrodzie nawet się nie śniło! Poza tym nie musimy bynajmniej naśladować we wszystkim przyrody. Możemy spróbować dróg, które ona z nieznanymi przyczyn odrzuciła. Człowiek od dawien dawna patrzył na ptaki i marzył, żeby nauczyć się latać. Ale dopóki ludzie starali się (naśladować ruch skrzydeł ptasich, dopóty się rozbijali. Trzeba było sięgnąć po inne koncepcje. Koło, które tak powszechnie stosujemy, w ogóle nie ma analogii w żywej przyrodzie. Dlaczegoż więc, jeśli chcemy stworzyć maksymalnie niezawodne, samosterujące i samouczące się maszyny, zdolne pracować bez przerwy w ciągu, powiedzmy, siedem dziesięciu lat, musimy koniecznie naśladować układ człowieka? Przecież od maszyny nie będziemy wymagać bogactwa i subtelności uczuć właściwych człowiekowi, nie będziemy się kusić o odtwarzanie niesłychanie złożonego mechanizmu dziedziczności. Potrzebne nam są tylko niektóre ściśle określone funkcje. Po co mamy dążyć posłusznie drogami niesłychanie trudnymi, które uTOROWAŁA przyroda dla celów o wiele bardziej skomplikowanych? Może dla naszych zadań istnieją jakieś prostsze i pewniejsze rozwiązania?

— Wydaje mi się, że znalazłem się w jakimś baśniowym świecie — rzekł w zamyśleniu Albert. — Jestem szczęśliwy, że ten świat otwiera się przede mną i równocześnie zawstydzony moją ignorancją... i jeszcze... wie pan... — zająknął się. — Nie wiem, jak to powiedzieć... Zaledwie kilka dni temu mowałem z Rogerem w pustym kiosku na bulwarze Saint-

Bernard. Lał deszcz, trzęśliśmy się z zimna, byliśmy (przemoknięci, głodni. Nigdzie nie mogliśmy znaleźć pracy... No i... wiem, że to może brzmi głupio, ale kiedy człowiek doświadczy takich rzeczy na własnej skórze, dziwne mu się wydaje, że ludzkie poznanie osiąga takie wyżyny, a tymczasem życie, całe życie dokoła nas dalej zostaje nie uporządkowane i ciężkie, i w dodatku ciągle wisi nad nami groźba wojny atomowej... Jakoś to wszystko nie trzyma się kupy, prawda?

— Pewnie,, że prawda, młodzieńcze! — Chamfort westchnął. — Ale cóż mamy począć my, uczeni? Podczas wojny widziałem, gdzie jest wróg, a gdzie przyjaciel, no i biłem się... A teraz wszystko tak się poplątało... gdybym wiedział, z kim i przeciw komu walczyć, żeby zniszczyć te paskudztwa, nie wahałbym się ani chwili, tylko chwycił za broń. Ale w tym cały sęk...

Zbliżali się do domu profesora Laurenta i Chamfort umilkł przypatrując się zakratowanym oknom.

— Biedny Laurent! — powiedział ze smutkiem. — Tak się pogrzebać za życia!

Roger otworzył furtkę i oznajmił, że profesor już się niepokoi.

— Gdzieś ty się szwendał? — szepnął dając Albertowi ukradkiem kuksańca w bok. — Babkę jaką poderwałeś?

— Odczep się! Powiedzmy, że tak! — roześmiał się Albert. — A ty co robiłeś?

— Założę się, że nie zgadniesz! — Roger triumfował. — Ogołilem Paula!

Albert drgnął ze zdziwienia. Chamfort obejrzał się.

— Ogołił pan Paula? — powtórzył. — Po co?

— Profesor prosił, więc cóż mi to szkodziło! Zresztą nawet nie było tam co golić.

— Paulowi rzeczywiście zaczęły podczas choroby rosnać wąsy i broda — powiedział Albert. — Wprawdzie bardzo rzadkie, marniutkie, ale dość długie.

— A jak on się w ogóle czuje?

— Zachowuje się spokojnie, nawet spokojniej niż przed tą historią, ale moim zdaniem nastąpiło u niego jakieś zachwianie psychiczne — odpowiedział Albert.

— Chcesz, to ci coś powiem o Paulu? — Roger zniżył głos.
— Otóż on nienawidzi wszystkich, z wyjątkiem Pierre'a. Albo się boi. Szczególnie Michela.

— Dlaczego właśnie Michela?

— A czy ja wiem? Czego ty chcesz od wariata!

— Nie podoba mi się ta cała historia. — Chamfort zasepił się. — Bądźcie ostrożni, przyjaciele, bardzo ostrożni!

...Przyćmiona czerwień zachodu, z trudem przebiwszy się skroś ciemnopurpurowe i fioletowe chmury, zalewała laboratorium. Kolby i probówki na długich stołach wyglądały jak napełnione krwią, na twarze obecnych padały czerwone refleksy i ciemne smugi. Chamfort zamaszystym krokiem spacerował wśród tych złowieszczych, cienistych plam, jakby przebiegał przez gasnący ogień.

— No, niechże pan będzie rozsądny, Laurent! — mówił przyciskając ręce do piersi, to znów nerwowo wyrzucając je w górę. — Do czego to wszystko doprowadzi? Czy pokaz jest dla pana celem samym w sobie, czy krzyjące nagłówki i efektowne zdjęcia w gazetach mogą panu dać prawdziwą satysfakcję? A skąd pan wie, że wśród oszołomionych widzów nie znajdą się jacyś wpływowi idioci albo łotrzyki, którzy zaczną kopać pod panem dołki czy nawet szantażować? Nie wie pan, jak to bywa? I jakże pan wytrzyma to wściekłe ujadanie i te ukąszenia w obecnym stanie zdrowia!

— Tego wszystkiego może również nie być — odezwał się cicho profesor Laurent.

Siedział w fotelu, znużonym gestem odchyliwszy głowę na oparcie.

— No, więc przypuśćmy, że nie będzie. Przypuśćmy, że wszystko pójdzie nadspodziewanie gładko! Co wtedy?

— Wtedy? Pieniądze... pomoc państwa... zorganizują laboratorium...

— Laurent, niechże pan nie będzie dzieckiem. Państwo nie ma pieniędzy na takie rzeczy. Będzie pan musiał liczyć albo na prywatne subsydia, albo na pomoc Amerykanów. Można sobie wyobrazić, na jakich warunkach panu tę pomoc zaproponują! Dojdzie jeszcze do tego, że pana odsuną, zwłaszcza jeśli będzie pan chory.

— Cóż więc pan proponuje? — spytał profesor tym samym

cichym głosem. Twarz jego pozostawała w cieniu.

— To, co panu doradzają pańscy pomocnicy — leczyć się i wypocząć, a później ze świeżym zapasem sił przygotować François do pokazu, siebie zaś do stawienia czoła Wszystkim trudnościom i niespodziankom, jakie się zaczną po pokazie.

— Dobrze, zastanowię się — głos profesora brzmiał martwo.

— Czas na zastrzyk — Michel zbliżył się ze strzykawką w ręku. — Ściemnia się. Dlaczego nie zapalamy światła?

— Niedługo zapalimy, Michel. — Profesor zawinał rękaw bluzy. — Dokuczyło mi to światło elektryczne.

Michel popatrzył na niego uważnie swoim dziwnym, chłodnym wzrokiem.

— Laboratorium stało się dla pana czynnikiem negatywnym i działającym na nerwy — oświadczył. — Bardzo trudno będzie panu tutaj wyzdrowieć.

— Dobrze, dobrze — przerwał niecierpliwie profesor. — Idź, zajmij się czymkolwiek.

Albo zwyczajnie posiedź sobie.

— Nie ma sensu siedzieć po ciemku, kiedy jest światło i kiedy czeka tyle roboty — zauważył beznamiętnie Michel.

— Och, jak mi już dokuczyła ta twoja belferska logika. No, dobrze, zapal sobie lampę na stole...

Przez pewien czas panowało milczenie. W rogu zapłonęła, lampa pod zielonym matowym abażurem, a reszta pokoju tonęła w zupełnym mroku.

— Może Roger poczęstuje nas herbatą? — rzekł profesor Laurent. — Odkąd zacząłem się normalnie odżywiać, nadochodzą mi dawno zapomniane zachcianki. Wczoraj w nocy poczułem nagle straszliwy apetyt na pasztet zapiekany w cieście...

— Jeżeli pan chce, Roger upiecze taki pasztet — zaproponował poważnie Albert. — Jestem pewny, że on wszystko potrafi.

Poszedł po herbatę. Chamfort powiedział patrząc za nim:

— Świetny chłopak. Naprawdę miał pan szczęście, drogi profesorze. Zdobyć takich pomocników! Czyżby pan rzeczywiście obawiał się zostawić laboratorium pod ich opieką?

— Ach, nie o to chodzi, przecież pan wie, Chamfort... Po

prostu w tej chwili nie potrafię odpoczywać. Może pan to zrozumieć? Nic z tego nie wyjdzie...

— Nie wyjdzie, ponieważ pan wmówił to w siebie.

— No więc, chociażby dlatego. Czy to nie wszystko jedno?

— A niechże pana wszyscy święci!... — rzekł z pasją Chamfort. — Doprawdy zachowuje się pan jak uparty kozioł!... Dobrze, nie mam już sił przekonywać pana. Chce pan skończyć samobójstwem — proszę bardzo, i pal diabli to wszystko!

— Niech pan nie plecie głupstw, Chamfort. Wie pan doskonale, że nie mam najmniejszego zamiaru popełnić samobójstwa. Niech pan lepiej obejrzy François. Zapal światło, Michel.

— Najpierw pokażcie mi Paula. Aha, dlaczego pan go kazał ogolić?

— Już pan wie? Po prostu robił bardzo niemiłe wrażenie z tym długim rzadziutkim zarostem. Paul, chodź no tutaj!

— Dawno puścił mu się zarost na twarzy? — spytał Chamfort.

— Od dwóch dni raptem, ale rósł nadzwyczaj gwałtownie.

— Jak się czujesz, Paul?

Paul nie odpowiedział. Chamfort powtórzył pytanie.

— Nie wiem — wymówił apatycznie. — Plecy mnie boją. Spać mi się chce.

— On znów rośnie bardzo szybko — wtrącił Michel. — W ciągu tygodnia urósł o dwa centymetry, I głos mu się zmienił, jest teraz niższy.

— Dlaczego mi o tym nie mówiłeś? — spytał profesor Laurent.

— To przecież było w sprawozdaniu z dnia wczorajszego — zdziwił się Michel. — Nie pamięta pan?

— Teraz sobie przypominam... Czym to tłumaczysz?

— Muszę mu podawać stymulatory w celach leczniczych. Co prawda w dawkach znacznie mniejszych, niż stosowaliśmy przy doświadczeniach, przypuszczam jednak, że to jest przyczyna.

Chamfort w dalszym ciągu przyglądał się Pawiowi.

— Zmienił się. Powiedziałbym, że zmężniał, chociaż widziałem go zaledwie tydzień temu. Ale jest bardzo osłabiony. Czy nie można go wyprowadzać na powietrze, choćby do ogródka?

— To będzie straszne dla Luizy...

— Luizę można poprosić, żeby nie patrzyła w okno przez jakieś półtorej godziny...

— Trzeba o tym pomyśleć... — powiedział apatycznie profesor. — W gruncie rzeczy...

— Powietrze nie pomoże Paulowi — oświadczył Michel odchodząc do swego stołu. — On jest nieudany i powinno się go przerobić.

Paul na sekundę podniósł wzrok. Żrenice tak mu się rozszerzyły, że oczy wydawały się czarne. Zmizerowaną twarz wykrzywił gwałtowny skurcz.

— Nie wierz temu, Paul. — Chamfort położył mu rękę na ramieniu i wyczuł, że Paul drgnął instynktownie. — Michel żartuje. Nikt cię nie będzie przerabiał. Prawda, Laurent?

— Prawda — mruknął z roztargnieniem profesor.

— No widzisz! Idź, połóż się, musisz dużo wypoczywać. — Chamfort łagodnie pogłaskał rękę Paula. — Jesteś zmęczony, ponieważ zbyt szybko rośniesz.

Paul znów podniósł oczy. Tym razem patrzył Chamfortowi prosto w twarz.

— Ty płaczesz? — zdumiał się Chamfort.

Paul nagle usiadł na podłodze u nóg Chamforta i przycisnął policzek do jego ręki.

— Niech pan nie odchodzi — zaszeptał dławiąc się łzami. — Pan jest dobry, będę zawsze pana kochał. Nikt mnie nie kocha, oprócz Pierre'a, i ja też nie Kocham nikogo. A Michel chce mnie zabić i profesor także, niech pan im nie wierzy.

— Laurent, czy pan to słyszy? — syknął Chamfort.

Profesor apatycznie pokiwał głową.

— Paul jeszcze całkiem nie wyzdrowiał. To są urojenia spowodowane gorączką.

— W takich warunkach każdy zacznie w końcu bredzić! — wybuchnął Chamfort. — Dlaczego pan pozwala swojemu pupilkowi straszyć tego biednego chłopca? Co to za jakieś głupie gadanie o przeróbce!

— Chłopca? — powtórzył profesor. — Powiedział pan — chłopca?

— A jak się panu zdaje, kto to jest — dziewczyna? Naturalnie, że chłopiec, słabiutki, chory, a pan się z nim obchodzi

jak z królikiem doświadczalnym!

— Pan chyba oszalał, Chamfort. — Więc, pańskim zdaniem, jestem dla Paula okrutny?

— Prawie tak. Traktuje go pan zbyt obojętnie. I Michel...

— Ja Michela zabiję — odezwał się nagle Paul. — On jest zły. Nie ma serca.

Chamfort znów położył mu rękę ma ramieniu.

— Nie wolno tak mówić, chłopcze. Michel troszczy się o ciebie, leczy cię...

— Gdyby nie ja, umarłbyś wtedy, kiedy połknąłeś tyle tabletek. Wiesz o tym? — zapytał

Michel podchodząc do Paula i patrząc na niego z góry.

— Wiem. Leczysz mnie dlatego, że się boisz profesora.— Paul mocniej przycisnął się do Chamforta. Dygotał cały. — Ty chcesz mnie zabić.

— Nonsens. Przerobić, to nie znaczy zabić. Chcę, żebyś się czuł lepiej. Ciągłe przecież bolą cię plecy. A później będziesz tak zdrowy jak ja.

— Nie chcę być taki jak ty! Ty nie masz serca.

— Tłumaczyłem ci już, że mówisz głupstwa. Mam serce i w dodatku lepsze niż twoje.

Znacznie silniejsze i bardziej wytrzymałe.

— To sobie miej — upierał się Paul, dziecinnie wydymając wargi. :— A ja takiego nie chcę. Wolę swoje.

— Wiesz, że Michel nie może cię przerobić — rzekł profesor. — Tylko ja to potrafię. A ja nie mam zamiaru robić ci operacji. Czyżbyś mi nie wierzył?

Paul nic nie odpowiedział. Chamfort pogłaskał go po miękkich, potarganych włosach.

— Połóż się, mój chłopcze. Chodź, zaprowadzę cię. — Chamfort wstał. — Nikt nie chce twojej krzywdy. Nie będą ci robić żadnej operacji, słyszałeś przecież. Michel też pragnie twojego dobra, więc nie gniewaj się na niego.

Weszli za parawan. Michel patrzył za nimi z niezadowoleniem.

— Duclos, dlaczego pan stoi przy drzwiach? — spytał profesor Laurent.

Albert zbliżył się i postawił na stole tacę z herbatą i ciastkami. „Więc Roger miał rację — myślał. — Jak zawsze. Ależ on

ma nosa!”

Chamfort wyszedł z za parawanu.

— Słyszał pan? — rzekł zwracając się do Alberta. No trudno, Laurent jest chory, ale gdzie byliście wy wszyscy?

— Ja nic nie zauważyłem — przyznał się Albert czerwieniąc się po uszy. — Paul przed chorobą też był małomówny, a teraz w ogóle zamilkł. Nie wierzyłem po prostu własnym uszom, słysząc, że on tak rozmawia.

— To wszystko dlatego, że nie znaleźliście do niego klucza. Nie próbowaliście nawet, jestem głęboko przekonany. Nie ma w tym żadnych nadzwyczajności. Proszę sobie wyobrazić, że to jest normalny wyrostek, tylko udręczony chorobami i nieracjonalnym wychowaniem. Nie widział pan nigdy takich chłopców?

— Dobrze, wezmę to pod uwagę — powiedział Albert nalewając herbatę. — Będziemy z nim częściej rozmawiać, postara my się go uspokoić.

— Niech pan pije herbatę, Chamfort. — Profesor usiadł przy stole i ułamał kawałek ciastka. — Czy Leroix naprawdę sam robi takie pyszne rzeczy?

— Sądzi pan, że nie mamy o czym mówić? — zapytał Chamfort.

— Nic podobnego. Mam tylko wielką chęć na herbatę... — Upił spory łyk. — Cudowny napój!

Chamfort pochylił się nad swoją filiżanką.

— Niech pan posłucha, Chamfort — odezwał się po pewnej pauzie profesor Laurent. — Musi mnie pan zrozumieć. Jestem rzeczywiście bardzo chory, a raczej śmiertelnie zmęczony. Nie znajduję już sił. Mogę teraz liczyć tylko na jedno, mianowicie, że zoperuję François z pomyślnym wynikiem. No i urządę pokaz moich doświadczeń wobec szerszego audytorium. A potem będę się leczył i wypoczywał. Z tych właśnie względów nie dopatrzyłem należycie Paula. Jakkolwiek przypuszczam, że pan trochę przesadza. Paul jest psychicznie chory i jego stosunek do Michela ma wszystkie cechy manii prześladowczej.

— Bzdura! — burknął Chamfort, głośno pociągając łyk herbaty.

— Niech będzie bzdura. Ale mimo to widzi pan przecież, że

nie mogę zostawić laboratorium, skoro już wytworzyła się taka sytuacja.

— Mógłby pan wziąć Paula ze sobą — rzekł niespodzianie Chamfort.

— Paula? — profesor uśmiechnął się z ironią. — Cóż to za pomysł! Ładny byłby wypoczynek... Nie, jeśli miałbym z kimś jechać, to tylko z Luizą.

— Dobrze, że choć przy tej okazji przypomniał pan sobie o Luizie.

— Niechże pan nie mówi głupstw, Chamfort. Zapewniam pana, że pamiętam o niej nie tylko przy takich okazjach.

— Zgoda. Mogę zabrać Paula do siebie. U mnie prędzej wróci do zdrowia.

Profesor popatrzył na niego ze zdumieniem.

— Nic nie rozumiem! Czemu pan tak się przypiął do Paula?

— Cóż w tym niezrozumiałego? Żal mi go. Łagodne, bezbronne stworzenie.

— A rzeczywiście! Jak to łagodne, bezbronne stworzenie chwyci pana za gardło, wtedy zmieni pan zdanie! To jest niebezpieczny wariat.

— Ciszej! — poprosił Chamfort oglądając się na parawan. — Można by pomyśleć, że nigdy pan nie był w klinikach psychiatrycznych. Łagodne traktowanie daje pewne rezultaty nawet z najgroźniejszymi furiami. A Paula podejmuję się w ciągu paru miesięcy całkowicie wyleczyć. I fizycznie się wzmocni... Pan go zwyczajnie zaniedbał. Michel wbił sobie w głowę, że Paula należy przerobić, a pan zapewne zgodził się z nim wewnętrznie już od dawna...

— Sam nie wiem... — powiedział z wahaniem profesor. — Jeżeli pan rzeczywiście zgadza się wziąć Paula do siebie...

— Pod warunkiem, że pan wyjedzie na odpoczynek! — przerwał żywo Chamfort.

Profesor rzucił się na oparcie krzesła wybuchając śmiechem: — Ależ to zwyczajny szantaż, Chamfort!

Za parawanu wyjrzała głowa Paula. Robił jakieś niezrozumiałe grymasy, mrugał oczami.

Albert pierwszy go zauważył.

— Chciałeś czego, Paul? — zapytał po cichu zbliżywszy się

do parawanu.

Paul natychmiast się schował.

— Niech go pan zawoła — szepnął wskazując na Chamforta. — Muszę z nim porozmawiać...

Chamfort poszedł za parawan. Paul wczepił się w niego drżącymi, rozpalonymi rękami.

— Niech pan mnie zabierze! — szeptał. — Pan jest taki dobry, miły, niech pan mnie stąd weźmie, boję się tu zostać! I Pierre'a razem ze mną!

— Pierre'a? — Chamfort spojrzał na ciemną, niekształtną postać. Pierre dotknął palcem piersi i kiwnął głową. — Ależ, mój chłopcze, Pierre'a absolutnie nie mogę zabrać.

— Dlaczego? — zapytał z rozpaczą Paul. — Pierre jest dobry. Bardzo dobry. On będzie pana słuchał, prawda, Pierre?

Pierre znów pokiwał głową i uderzył się w pierś.

— Ty jesteś podobny do człowieka, Paul, a Pierre nie — powiedział miękko Chamfort. — Nie można go stąd zabierać. Dlatego nie może iść razem z tobą.

Paul spojrzał Chamfortowi w oczy i widocznie zrozumiał, że to nieodwołalne. Stał jeszcze chwilę, a potem, jak podcięty, runął na kozetkę i ukrył twarz w zaciśniętych dłoniach.

Chamfort dotknął jego ramienia.

— Czy nie możesz na pewien czas rozstać się z Pierre'em? — zapytał.

Paul nie odpowiedział. Suche łkania, wstrząsały jego ramionami. Chamfort bardzo zdenerwowany wrócił do profesora Laureata.

— Trzeba mu coś dać na uspokojenie — powiedział.

— Czas już na serpazil — odezwał się Michel. — Może mu jeszcze dać tabletkę T-24?

— Spróbuj — odpowiedział profesor. — Duclos, niech pan pomoże Michelowi.

Chamfort również poszedł z nimi. Ale Paul nie stawiał oporu. Błady, z zastygłą twarzą, posłusznie przełknął tabletkę i pozwolił zrobić sobie zastrzyk. Później położył się, odwracając się twarzą do ściany. Na Chamforta nawet nie spojrzał.

— Co się tu u pana robi, Laurent? — spytał Chamfort po długiej przerwie, powiodłszy ręką wokół stołów laboratoryj-

nych. — Nad czym pan właśnie pracuje?

— W tej chwili przede wszystkim badam działanie stymulatorów na rozmaite tkanki.

Zacząłem hodować nową sikorę dla Paula — widzi pan, że ta jest bardzo plamista — ale nie ma sensu pracować nad tym dalej. On nie przetrzyma takiej skomplikowanej, wielostopniowej operacji. I rezultaty też wydają mi się wątpliwe.

— A gdyby na twarz François dać zamiast masy plastycznej przeszczepy żywej tkanki?

— Jakoś nie udaje mi się wyhodować skóry — rzekł profesor. — Widzi pan przecież, że François też ma jakiś dziwny odcień. Poza tym skóra będzie się dłużej przyjmować.

Zostańmy lepiej przy masie plastycznej.

— Jak pan uważa... I to już wszystko, nad czym pan pracuje?

— Tak. Głównie zajmuję się badaniami i doświadczeniami przeprowadzanymi na nich. — Profesor wskazał Michela i François. — Na nic więcej nie starcza mi czasu.

— To wszystko mocno zalatuje partanią, Laurent! — Chamfort pokręcił głową. — Rzecz po prostu nie do wiary — stworzyć tacy cuda i tak niewiele zbliżyć się do najistotniejszego celu! W średniowieczu spalono by pana na stosie, a jestem przekonany, że i dziś znajdą się ludzie, którzy chętnie by za tym głosowali. A przecież szatan nauki, któremu sprzedał pan duszę, tylko drażni się z panem. Ja przynajmniej znam doskonale schemat mojego Sokratesa, a pan? Co pan wie o swoich tworcach?

— Ciągle mi pan zarzuca, że nie szedłem normalnymi J drogami — rzekł profesor. — Chce pan, żebym koniecznie stawiał nogę na każdym stopniu. A jeżeli mi się śpieszy?

— Ależ proszę, niech pan przeskakuje choćby po dziesięć stopni, jeżeli sił panu starcza! Tylko niech pan nie próbuje chodzić po poręczy. Roztrzaska się pan na kawałki i nawet nie zdążymy się dowiedzieć, co pan zobaczył. Nie opowie pan przecież, prawda?

— Michel prowadzi notatki. On wszystko wie i pamięta lepiej ode mnie.

— Michel wie tylko tyle, ile dowiedział się przy pańskiej pomocy. Nie potrafi samodzielnie rozwijać i kontynuować

pańskich koncepcji. W czym jest lepszy od Sokratesa? Pod tym względem niewiele go przewyższa. A pod wszystkimi innymi jest znacznie słabszy. Bo i czymże jest człowiek? Wie pan dobrze, jaka to niedoskonała maszyna. Pracuje powoli, łatwo się męczy, receptory ma słabo wyczulone. Nie posiada narządów zmysłów odbierających wrażenia w zakresie elektryczności, magnetyzmu, ultradźwięków, promieniowania. A robota elektronowego możemy tym wszystkim obdarzyć. Intelkt Michela absolutnie nie przewyższa intelektu przeciętnego człowieka. Pamięć i zdolność do pracy? Znałem ludzi obdarzonych równie znakomitą pamięcią. A co do tego, że się prawie nie męczy... zobaczy pan, jak to „prawie” znajdzie się powoli w granicach zwykłej ludzkiej normy! W obecnej postaci istnieje dopiero jakieś dwa lata, a coraz bardziej staje się złożony, ciągle zachodzą w nim zmiany!

— Czemu pan tak się czepia Michela? — uśmiechnął się profesor Laurent. — Jeśli nawet wszystko, co pan mówi, jest świętą prawdą, to jeszcze nie dyskwalifikuje całej koncepcji. Przecież to są dopiero pierwsze kroki — i w jakich warunkach!

— A moje nie są pierwsze! — zdenerwował się Chamfort. — Niech pan będzie sprawiedliwy, Laurent. I spojrzysz prawdzie w oczy — w grę wchodzi nie tylko warunki!

— Możliwe, że nie tylko warunki. Mogłem popełnić nawet grube błędy w obliczeniach. I mimo to nie ma pan racji. Cybernetyka elektronowa nie rozwiąże wszystkich zagadnień. Człowiek musi sam się udoskonalać, w przeciwnym razie będzie mu bardzo trudno żyć w tym świecie ponaddziesiękowych szybkości i potwornej energii, którą sam wyzwala.

— No, to na pewno jest słuszne — westchnął Chamfort. — Człowiekowi już teraz zaczyna być trochę trudno. Ale prawie zawsze mogą go Wyreńczyć roboty, nawet nie takie jak Sokrates, tylko te zwykłe, bardziej prymitywne. Ja bynajmniej nie jestem zwolennikiem teorii, że ideałem byłoby całkowite wyeliminowanie człowieka z produkcji. Ale proszę pamiętać, że przecież żyjemy w zaraniu elektroniki! Mamy jeszcze słabe wyobrażenie o tym, jaką rolę odegra ona w naszym życiu, jak ułatwi i uprości wiele zagadnień. Między innymi i nasze badania.

— No, oczywiście! — powiedział z ironią profesor Laurent.

— I moje badania! Biologowie wraz z fizjologami powinni czekać, dopóki jej królewska mość fizyka nie zezwoli im łaskawie: „No, a teraz, dzieci, jeszcze jeden krokczek naprzód. Ale tylko jeden”.

— Niechże pan da spokój, Laurent! Czy jest sens zważać na to, kto wcześniej, a kto później, jeżeli sukces jednego i tak jest uzależniony od innych, idących z nim razem. Na razie nie wiemy jeszcze, jakie zjawiska fizyczne warunkują funkcjonowanie mózgu. Na razie! A kiedy się dowiemy, będzie pan mógł przeprowadzać swoje eksperymenty z elektrodami nie po omacku, nie na ślepo, jak pan to robi dzisiaj. I śmieszne byłoby obrażać się na to! Fizjologowie bynajmniej nie czują urazy z tego powodu, że fizycy pierwsi odkryli prawo załamania światła w soczewkach i tym samym pomogli im zrozumieć budowę oka!

— Niech mi pan odpowie, czy człowiek powinien przekształcać samego siebie, czy też nie?

— Powinien. Myślę tylko, że taka rzecz będzie w pełni możliwa dopiero w innym ustroju społecznym. Bez wojen i eksploatacji.

— Chamfort, co się z panem dzieje? — Profesor Laurent patrzył na niego ze szczerym zdumieniem. — Pan dostał zupełnego bzika na punkcie polityki.

— A pan na punkcie ślepoty politycznej! — Chamfort zerwał się z krzesła. — Pójdę już, Laurent, bo się pokłócimy. A zresztą czas na mnie.

— No, niechże pan usiądzie! — Profesor wstał i położył mu ręce na ramionach. — Nie możemy się tak rozstawać. Przestaniemy mówić o polityce. Czy my w ogóle orientujemy się w tej cywilizacji, którą sami stworzyliśmy?

— Skoro mamy nie mówić o polityce, to nie mówmy — mruknął Chamfort siadając. — Mogę pana zapewnić, że w pańskich rozważaniach nie ma nic oryginalnego. Powtarza pan cudze słowa i zasłania się nimi przed rzeczywistością.

— Niech i tak będzie! — zgodził się profesor. — Pańskie na wierzchu! Ale gdyby pan wiedział, do jakiego stopnia jest mi to wszystko obojętne! Cudze słowa... moje słowa... niechże pan zrozumie, dziwny człowieku, że w tej chwili ani mi w głowie takie rzeczy! Proszę mi lepiej powiedzieć, czemu pan

neguje obroną przeze mnie drogę? Właściwie to pan ją całkowicie potępia! Od początku, jeszcze gdy pracowaliśmy wspólnie z Saint-Ivesem.

— Pańską rzeczą było przekonać mnie i innych sceptyków! — wzruszył ramionami Chamfort. — Ale pan tego nie zrobił, przeciwnie, jeszcze bardziej pan całą sprawę zagmatwał. Wyobraźmy sobie, że jakiś geolog wyruszył w Himalaje na poszukiwanie niezwykle cennych pokładów. Długo błądził po niebezpiecznych, nie zbadanych jeszcze obszarach, zmarnował masę sił i ostatecznie schwytał żywego Yeti... Sensacja! Cały świat zbulwersowany! A co z tymi niezwykle cennymi pokładami? Ano, tak, jak było! Niczego ów geolog nie odkrył, całkowicie pochłonęła go bowiem pogoń za Yetim. — Dobry żart tynfa wart! — roześmiał się profesor Laurent. — Postanowiłem się nie obrażać. Chcę od pana usłyszeć odpowiedź. To przecież niemożliwe, by pan naprawdę uważał, że do odkrycia zasad funkcjonowania mózgu predestynowani są jedynie fizycy, że chemicy i fizjologowie nie mają tu nic do gadania! No, powiedzmy, że postępowałem niesłusznie, powiedzmy nawet, że — zgodnie z pańskimi zarzutami — goniłem za powierzchownym efektem. To przecież jest tylko mój błąd osobisty, ale to nie godzi w zasadę całej koncepcji. Jakże można obejść się bez fizjologicznych badań mózgu? I w jakich warunkach można uzyskać lepsze, dokładniejsze wyniki? Doświadczenia na żywych, zdrowych ludziach? W praktyce to jest nierealne. Badania mózgu zmarłych natychmiast po ich śmierci? Ale nieodwracalne zmiany w tkankach nerwowych następują już w kilka minut po śmierci. Doświadczenia na zwierzętach? Pawłów osiągnął już prawie granicę, wiele do jego wniosków nie dorzucimy. I przecież on sam zdawał sobie jasno sprawę z niedoskonałości tych badań. Wie pan, jak się uskarżał na to, że przy próbach mózg doznaje poważnych urazów i właściwie bada się go już w stanie patologicznym. Operacja — uraz, zabliznianie rany — uraz, blizna — nowy uraz i czasami bardzo znaczny. Prawie u wszystkich psów Pawłowa zaczynały się w okresie powstawania blizny kbnwulsje, ponieważ ściągała ona, uciskała i kaleczyła mózg. Jakże więc w takich warunkach badać mechanizm niesłychanie złożonych i tak wrażliwych funkcji nerwowych? To tak,

jakby odciąć człowiekowi nogę, a potem dopiero wnioskować o jego chodzie i zdolnościach do tańca! Nie mówiąc już o tym, że psychika człowieka jest nieporównywalnie bardziej złożona niż psychika zwierzęcia... Cóż jeszcze? Próba odprowadzenia biopądów z ośrodków nerwowych przez podrażnianie poszcze gólnych odcinków mózgu? To również jest działanie na ślepo. Tak jak gdyby ktoś chciał zrozumieć zasady funkcjonowania maszyny matematycznej obserwując zapalanie się lampek i pracę przekaźników.

— A pańskie doświadczenia, czy nie powodują urazu mózgu? Wyhodować mózg najpierw w środowisku sztucznym, w całkowitej izolacji od organizmu, którym powinien kierować, innymi słowy nie pozwolić, aby rozwijały się jego podstawowe funkcje, w tej liczbie niesłuchanie ważny mechanizm sprzężenia zwrotnego — cóż to oznacza? Czy można to nazwać warunkami choćby względnie normalnymi, nie powodującymi urazu? I wreszcie pańskie doświadczenia z wszczepionymi elektrodami — czymże one różnią się w gruncie rzeczy od prób z odprowadzaniem biopądów? Czy pan nie pracował na ślepo? Czy osiągnął pan niewątpliwe i dokładnie sprawdzone wyniki?

— Osiągnąłem jednak specjalizację funkcji — powiedział cicho profesor Laurent. — Czy Michel i François nie są dostateczną odpowiedzią?

— Ależ to są pojedyncze przypadki, Laurent, a nie seria eksperymentów! To może być jakiś zbieg okoliczności, czy pan tego nie rozumie? A po drugie — ani Michel, ani François nie mogą służyć za dowód choćby z tego względu, że nie reprezentują pełnowartościowych organizmów ludzkich. Organizm żywy stanowi niepodzielną całość. Czy może pan usunąć lub przytłumić niektóre funkcje bez zakłócenia jego naturalnej harmonii, czy może pan zachować całe bogactwo niesłuchanie złożonych skojarzeń? Rozwój jednych funkcji kosztem zamierania innych, nie mniej ważnych, to przecież nie jest wyjście z sytuacji...

— A jednak, Chamfort, czy w naszym społeczeństwie nie ma specjalizacji funkcji? Nie mówię już o obsłudze przenośnika, o górnikach czy, dajmy na to, góralach, którzy przywykli do zawrotnych wysokości i rozrzedzonego powietrza gór.

Ale przecież długotrwałe uprawianie każdego zawodu pociąga za sobą wzmożony rozwój jednych funkcji, natomiast przytępienie lub prawie zupełne wygasanie innych. Nie mówiąc już o mnie. Skutki takiej okrutnej specjalizacji wywarły już na panu odpowiednie wrażenie. Ale ktokolwiek bądź, tragarz czy pianista, biuralista czy lekarz — każdy rozwija w sobie jedno kosztem drugiego.

A warunki życia wielu mieszkańców naszej planety są tak potworne i nienaturalne z punktu widzenia fizjologii, no i pańskiej ulubionej socjologii, że...

— To jest kazuistyka, Laurent. Mowa o przybliżonej normie, a nie o gwałtownych i niekiedy przerażających odchyleniach od normy, niezależnie od stopnia ich rozpowszechnienia w naszym okrutnym świecie. Wiem, że ludzie w hitlerowskich obozach zagłady znajdowali się w warunkach jeszcze bardziej nienaturalnych i strasznych niż pańscy wychowankowie. Ale przecież nikomu nie przyszłoby do głowy twierdzić, że reżym takiego obozu jest choćby częściowo zbliżony do normalnych warunków życia.

— Mimo wszystko nie rozumiem parna, Chamfort — rzekł po przerwie profesor Laurent.

— Czego pan chce: dowieść? Że ja nie wszystko odkryłem, nie wszystko sprawdziłem i nie wszystko umotywowałem? A któż tego dokonał? Wszakże nawet po wspaniale zorganizowanych, skrupulatnie przemyślanych i wieloletnich doświadczeniach Pawłowa niezliczona ilość zagadnień dotyczących fizjologii wyższych czynności nerwowych została w dalszym ciągu nie rozwiązana. Czemu więc mnie jednego traktuje pan tak rygorystycznie?

— Laurent, to są zwyczajne wykręty! — oburzył się Chamfort. — Co ma z tym wspólnego Pawłów? Oczywiście, że jego doświadczenia z psami nie dały i nie mogły dać pełnego rozeznania co do mechanizmu wyższej I czynności nerwowej człowieka. Ale Pawłów, poza wszystkim innym, zostawił nauce ścisłe, wspaniale opracowane metody! Zastosowanie zespołów podniet i analiza reakcji mózgu na te bodźce umożliwiło badania algorytmów pracy mózgu jako układu funkcjonalnego. Przecież właśnie to było dla neurofizjologów podstawą do opracowania złożonych systemów reakcji Warunko-

wo-odruchowych zamiast pojedynczych odruchów warunkowych. Mnie również, jak pan wie, bardzo dużo dały prace Pawłowa. A przecież jego doświadczenia na pierwszy rzut oka, na pewno nie są tak efektowne jak pańskie! Ale czegoż dowodzi istnienie Michela lub Paula, może pan mi powie? Co to daje nauce, poza samym faktem ich istnienia?

— Skończmy już tę dyskusję, Chamfort, trochę źle się czuję — rzekł profesor Laurent przyzymkając oczy. — Chyba pan już sam rozumie, że się pan zbyt zagalopował. Raz pan mówi, że uwzględnia pan obiektywne warunki, w jakich pracuję, to znów absolutnie pan o nich zapomina. A przecież trzeba się z tym liczyć, niechże pan będzie rozsądny! Pyta pan, co ja dałem nauce, poza faktem istnienia Michela, Paula i innych? A czy ten fakt to rzeczywiście tak mało, jak ma samotne badania? Niech pan będzie sprawiedliwy, Chamfort! Kto zdoła więcej, niech robi więcej. A ja zrobiłem tyle, ile mogłem. Dowiodłem, że realne jest to, co większość — ba, prawie wszyscy! — uważają za absolutnie niemożliwe. Mam nadzieję, że nic nie posądzi mnie o nadmierną zarozumiałość, jeśli powiem, że to jest dużo, nawet bardzo dużo na jednego człowieka, niezależnie od błędów, jakie przy tym popełnił. Gzy zatem słuszne są pańskie zarzuty, Chamfort? Czy żałowałem sił, czy oszczędzałem siebie? Widzi pan przecież, co się ze mnie zrobiło!

Chamfort zerwał się, wargi mu drżały.

— Niech mi pan wybaczy, Laurent, rzeczywiście zachowałem się jak skończony bałwan — powiedział gorąco. — Sam nie rozumiem, jak mogłem... Pan jest przecież chory... i w ogóle...

— Nic się nie stało, Chamfort. Jestem zbyt zmęczony, żeby się przejmować nawet najcięższymi oskarżeniami. Więc niech się pan tak bardzo nie trapi... Duclos, proszę panu nalać mocnej herbaty.

Przez pewien czas panowało milczenie. Chamfort z chmu-
rnie ściągniętymi brwiami patrzył w filiżankę i bębnił cicho
palcami po poręczu krzesła. Profesor Laurent, pólżąc w
fotelu, zdawał się drzemać lub o czymś rozmyślać, twarz jego
znajdowała się W cieniu. Albert nie śmiał podnieść oczu — w
czasie dyskusji Chamforta z Laurentem chciał wstać i odejść,

ale nie zrobił tego i teraz czynił sobie gorzkie wyrzuty.

Chamfort wypił herbatę i zaczął się żegnać.

— Postaram się przygotować wszystko możliwie najprędzej — powiedział. — Chociażby dlatego, żeby pan wcześniej zrobił tę operację i wyjechał na odpoczynek.

— To przynajmniej słuszne — uśmiechnął się profesor.

U progu Chamfort przystanął. Wahał się przez chwilę.

— Laurent — powiedział cicho, wracając do profesora. — Mimo wszystko, niech pan posłucha mojej rady, niech pan będzie bardzo ostrożny z Paulem. Nie wolno zapominać, że to... no, że to jest człowiek!

— Pan rzeczywiście tak sądzi? — spytał z zainteresowaniem profesor.

— A czy można inaczej? Laurent, pańskie postępowanie w tej sprawie jest nie tylko okrutne, ale i niebezpieczne. Powtarzam, niech pan będzie ostrożny.

— Dobrze, dobrze. — W głosie profesora brzmiała nuta zniecierpliwienia. — Mam wrażenie, że pan zanadto wyolbrzymia wszystko, obiecuję jednak nad tym pomyśleć.

— A wreszcie, pańska rzecz — burknął Chamfort i zgarbiwszy się, wyszedł z pokoju.

— Chciałbym odprowadzić monsieur Chamforta. Czy mogę? — spytał Albert.

— Nie mam nic przeciwko temu. — Profesor Laurent zagłębił się w fotelu i zamknął oczy.

Chamfort powolnym krokiem zmierzał do furtki. Nie zdziwił się ujrzawszy Alberta.

— Ma pan ochotę się przejść? — spytał z roztargnieniem.

Albert mruknął coś niewyraźnego w odpowiedzi.

Zgrzytnęły ciężkie zasuwki furtki. Gdzieś zza rogu dmuchnął ciepły, wilgotny wiatr. Ulica była czarna, połyskująca wilgocią, poznaczona mglistymi, bladymi plamami oświetlonych okien i palących się z rzadka latarni.

Długi Czas szli w milczeniu. Albert nawet chciał już wracać, ponieważ zdawało mu się, że Chamfort jest zmartwiony, lecz tamten nagle spojrzał na niego, jak gdyby coś sobie przypomniawszy.

— Pan właściwie dokąd? — zapytał.

— Ja... tak sobie... — zmieszał się Albert. — Chciałem pój-

ść z panem...

— Ze mną? — Chamfort uśmiechnął się, zabawnie wydmajając grube wargi. — Ależ z pana dziwadło, młodzieńcze! W pańskim wieku powinno się spacerować z pannami, a nie ze starymi.

— Nie mam nic przeciwko pannom — odparł Albert, nieco ośmielony. — Ale w tej sytuacji raczej wątpliwe, żeby mi coś pomogły. Chciałem zasięgnąć rady, co mamy robić... ja i my wszyscy.

Chamfort rzucił na niego szybkie spojrzenie i chrząknął:

— Najlepsza rada, jaką mogę panu dać, jest bardzo prosta: niech pan się na nic nie ogląda, tylko wieje od Laurenta! Ale wiem, że pan takiej rady nie przyjmie.

— Oczywiście że nie — powiedział Albert.

— Poza tym niewiele mogę dodać. Niech pan będzie ostrożny. Po ludzku odnosi się do Paula i do tamtych również. Powściąga Michela i nie pozwala mu się rządzić. Ale i z nim proszę ostrożnie, nie trzeba go rozdrażniać.

Albert długo milczał.

— Ale dlaczego profesor tak dziwnie się zachowuje? Dlaczego go nie zdaje sobie — sprawy z tego, co się dzieje, na przykład, z Paulem?

— No, Laurenta łatwo zrozumieć! Przez długi czas był przekonany, że jego twory są mu całkowicie podległe. Później, kiedy przyszły doświadczenia ze stymulatorami, procesami elektrycznymi i wychowankowie zaczęli się buntować, myślał, że całe nieszczęście wynikało wskutek nieprawidłowego dawkowania, złej kombinacji składników itd. On do dziś nie chce odstąpić całkowicie od swoich pierwotnych poglądów. Nie chce zrozumieć, że te stworzenia stały się ludźmi — chociaż niepełnowartościowymi, chorymi, o dysharmonijnym rozwoju, ale ludźmi. I z tego powodu może nastąpić katastrofa. Czy pan to rozumie?

— Niezupełnie. Profesor Laurent jest genialnym uczonym. A to wszystko przecież nie stało się nagle. Więc czy podobna, żeby nie widział?

— Pan jest rozbijająco naiwny, młodzieńcze. Nawet najbardziej genialni ojcowie nie dostrzegają czasami, że ich dzieci stają się dorosłe. A co się tyczy nauki... mój Boże, nie

tylko jednostkom, ale całym gałęziom wiedzy zdarzają się niekiedy także zadziwiające błędy... Weźmy choćby taki przykład: fizjologowie na całym świecie, przeprowadzając niezliczone doświadczenia na zwierzętach, przez wieki nie dostrzegali bardzo prostej i bardzo ważnej funkcji układu nerwowego — sprzężenia zwrotnego.

Albert wysiłał pamięć. Wstyd mu było, że tak dokładnie wywietrzały mu z głowy wykłady uniwersyteckie!

— Sprzężenie zwrotne... — zaczął i nagle się zająknął.

— Sprzężenie zwrotne, mój drogi — Chamfort ożywił się, jak gdyby ucieszony tym, że może zmienić temat rozmowy — jest to sygnalizacja o skuteczności działania. Absolutnie niezbędny warunek istnienia każdego układu funkcjonalnego, czy chodzi o żywy organizm, czy o społeczeństwo ludzkie, czy o maszynę z automatyczną regulacją. Proszę się nie martwić, że pan tego nie pamięta — chociaż nikt dziś nie neguje tego faktu, mało jakaś bierze się go pod uwagę. Laurent zapewne musiał o tym wyklądać na uniwersytecie, ale...

— Profesor Laurent nie miał wykładów głównych, a z zajęć laboratoryjnych jakoś sobie nie przypominam...

— Przecież mówię panu, że to nic dziwnego! Jeśli pan chce, mogę panu podać, w jakich pracach znajdzie pan ściślejsze omówienie. A pokrótce rzecz się przedstawia następująco. O łuku odruchowym Descartesa pan zapewne coś pamięta? No więc, jeśli zostawić na boku jego koncepcję nerwów rurkowych, którymi przebiegają z mózgu do mięśni „tchnienia żywotne” oraz inne rzeczy, to się okaże, że więcej niż trzysta lat temu Descartes zadziwiająco przejrzyście zobrazował niemal cały mechanizm łączności układu nerwowego z otaczającym środowiskiem — odbieranie sygnałów przez receptory, praca analizatorów i na koniec receptory. Człowiek dotknął gorącego przedmiotu, nerwy przesłały sygnał do mózgu — i oto człowiek cofnął rękę. Tak? No, oczywiście. Ale czy wszystko w zachowaniu się zwierząt, a tym bardziej człowieka, można wyjaśnić dzięki tej genialnie prostej teorii odruchów? Na pewno nie. Bo cóż pomaga utrzymać i przedłużać życie poszczególnego osobnika czy też organizacji społecznej? Biologiczna skuteczność ich działań, młodzieńcze, niech pan to zapamięta. Gdyby zjawilo się stworzenie, które

na podobieństwo bohatera z bajki ludowej, bojąc się zmoknąć na deszczu, rzucałoby się do wody, a bojąc się sparzyć, włąziło w ogień — z pewnością nie przeżyłoby długo i nie zostawiło po sobie zdolnego do życia potomstwa. Każdy samoregulujący organizm bezwzględnie odbiera informacje o stopniu skuteczności swoich działań. Inaczej nie może prawidłowo działać, nie może istnieć. A wnioskować o tym, jakie działanie daje najlepszy skutek, można tylko za pomocą mechanizmu sprzężenia zwrotnego. Rozumie pan teraz?

— Tak, ale jak wobec tego wygląda sprawa przy odruchach bezwarunkowych?

— No, jeśli chodzi o odruchy bezwarunkowe, to jasne, że aparat sprzężenia zwrotnego nie powstaje w wyniku doświadczenia jednego osobnika, lecz utrwała się w strukturze nerwowej danego gatunku na przestrzeni całych epok rozwoju historycznego. Narybek czy kijanka, które dopiero co wylęły się z ikry, nie muszą uczyć się pływać pod wodą, podobnie jak noworodek nie musi uczyć się oddychania. Ale wszystkie odruchy warunkowe powstają i utrwalają się tylko poprzez sprawdzenie wyników działania, ocenę jego skuteczności...

— Czemu więc fizjologowie tak długo nie dostrzegali tego oczywistego faktu? Przecież, o ile pamiętam, w pracach Pawłowa nie ma terminu „sprzężenie zwrotne”.

— Tak. Istotnie, u Pawłowa istnieje pojęcie „wzmocnienia” odruchu warunkowego bezwarunkowym, ale on niejednokrotnie oświadczał, że w swojej pracy opierał się na teorii odruchów Desearlesa. Dopiero w ostatnim dziesięcioleciu uczeni rosyjscy uzupełnili w tym względzie naukę Pawłowa. Pyta pan, dlaczego tak długo nie dostrzegano obecności sprzężenia zwrotnego? Częściowo, zapewne, wchodził tu w grę autorytet Descartes’a. Jego teoria odruchów w ciągu paru stuleci stanowiła podstawę badań fizjologicznych i była wielką pomocą dla uczonych. A następnie, wie pan przecież, jak wyglądały te badania. Przede wszystkim — wiwisekcja. No, a jak zwierzę przywiązane do stołu operacyjnego może wybrać najbardziej skuteczne działanie? W takich warunkach mechanizm sprzężenia zwrotnego funkcjonował na jałowym biegu. I właśnie z tego względu go nie zauważono. Zauważono natomiast obecnie, kiedy zaczęła się rozwijać cybernetyka.

Dlaczego? Otóż dlatego, że ten przedpotopowy układ, sprawdzony przez przyrodę na przestrzeni setek milionów lat, jest dziś powszechnie stosowany w układach o automatycznej regulacji. Bez sprzężenia zwrotnego, bez analizy skuteczności działania, ale może być mowa o żadnej automatycznej regulacji...

— To znaczy, że „łuk odruchowy” ma nie trzy, lecz cztery ogniwa?

— Nawet pięć, jeśli pan woli. Według Descartesa odruch kończy się reakcją. W rzeczywistości istnieje jeszcze sprzężona synteza i wniosek z niej — wzmocnienie poprzedniego działania lub też działanie nowe, uznane za bardziej skuteczne.

— I to jest właśnie ta analogia między człowiekiem a maszyną elektronową?

— Oczywiście.

— Proszę wybaczyć moje natrętne pytania, ale widzę, że okropnie stępiełem przez te lata. Na czym więc polega, według pana, zasadnicza różnica między człowiekiem i... no, na przykład między panem a pańskim Sokratesem?

— Na tak konkretnie sformułowane pytanie odpowiedź nie jest trudna. Ale byłbym w wielkim kłopotcie, gdyby mnie zapytano, na czym polega różnica między człowiekiem a najdoskonalszym układem elektronowym, jaki jest w zasadzie możliwy nie obecnie, lecz w ogóle. Tak, mój młodzieńcze. Na razie roboty cybernetyczne, nawet takie, jak Sokrates, nie posiadają świadomości, chociaż patrząc na niego trudno czasami w to uwierzyć. Ale czy zawsze tak będzie — to jest pytanie!

— Sądzi pan, że można by w zasadzie stworzyć układ posiadający świadomość?

— A dlaczego nie? — Chamfort uśmiechnął się. — Jak to zrobić, nie wiem. Ale jeśli mowa o zasadniczej możliwości... Czy pan jest materialistą? — spytał niespodziewanie.

— T-tak... oczywiście... — odpowiedział niepewnie Albert.

— No więc, czymże jest świadomość z materialistycznego punktu widzenia, który całkowicie podzielam? Rezultatem czynności mózgu, czyli najwyższej zorganizowanej materii. Czy jest ona materialna? Nie, gdyż nie istnieje poza człowiekiem. Nie ma człowieka lub ściślej — nie ma tych części mózgu,

gdzie w wyniku ich czynności powstaje świadomość — nie ma również świadomości. A czy nie jest możliwe, że w tej chwili, kiedy idziemy ulicami Paryża podczas ciepłego wieczornego deszczu, gdzieś na nieskończenie dalekiej planecie, w błękitnym, żółtym lub czerwonym jaśnieniu nie znanej nam gwiazdy materia osiągnęła taki szczyt rozwoju, że powstał w niej załazek świadomości? Owszem, w zupełności możliwe. I następnie — czy człowiek może sztucznym sposobem stworzyć materię tak dalece złożoną, że będzie ona zdolna zrodzić świadomość? Tak, w zasadzie może...

— Naprawdę pan tak myśli? — wykrzyknął Albert stając ma środku trotuaru.

— A czy pan, wyszedłszy z laboratorium Laurenta i zmierzając w kierunku mojego laboratorium, mógłby naprawdę być innego zdania? — Chamfort uśmiechnął się. — Czy Michel albo Paul nie myśla?

— No, profesor Laurent idzie jednak drogą wskazaną przez przyrodę — odparł Albert. — Michel i Paul mają taki sam mózg jak my obydwaj. Natomiast układ elektronowy, nawet najdoskonalszy, nie może w zupełności modelować mózgu.

— Obecnie tak. Nawet istnienie Sokratesa nie obala tej tezy. Ale czy jest sens dzisiaj, kiedy nasze wiadomości o pracy mózgu są tak niepełne, obstawać przy tym, że pomiędzy mózgiem a maszyną istnieje zasadnicza niezgodność? Możemy przecież tylko przypuszczać, opierając się na niektórych faktach, że tak jest w rzeczywistości. Ale stanowczo twierdzić lub negować możemy dopiero wówczas, gdy zbadamy zasady pracy mózgu i zrozumiemy jej istotę. Dotychczas odkryliśmy wiele podobieństw między maszyną a mózgiem i kto wie, może w przyszłości odkryjemy jeszcze więcej.

— Sądzi pan zatem, że maszyny cybernetyczne będą mogły w przyszłości wszystko robić, wszystkiego się wyuczyć?

— Wszystkiego? A kto w ogóle potrafi wszystko robić i wszystkiego się wyuczyć? Czyż nie istnieje naturalne programowanie dla wszystkich stworzeń, w tej liczbie i dla człowieka? Są przecież dość wyrażane ograniczenia. Najbardziej zdolny i gorliwy człowiek nigdy nie nauczy się latać w powietrzu ani żyć pod wodą bez specjalnych przyrządów. Można poddawać kotkę przeróżnym działaniom, a przecież nie urodzi

ona psa ani szczura — jedynie kociaka. Możliwości wyjściowe są z góry założone w mechanizmie dziedziczności, w historii gatunku i pod tym względem specjalne niespodzianki się nie zdarzają... — Chamfort spojrzał na Alberta i roześmiał się. — Ale już dosyć na dzisiaj, młodzieńcze! Cóż to za życie — chodzić z jednego do drugiego laboratorium i jeszcze po drodze słuchać wywodów! W pańskim wieku!

— Ależ mnie to bardzo interesuje! — zaprotestował Albert.

— Ba, jasna rzecz! We wszystkim jednak trzeba znać miarę. Dosyć już, mówię panu. Niech pan wraca i wdycha po drodze ten zapach deszczu, benzyny, młodego listowia i perfum — typowy zapach Paryża! Niech pan się przygląda tym światłom rozplywającym się w kałużach, drobnym czarno — złotym falom na Sekwanie i dziewczętom w lekkich kolorowych płaszczach. To jest życie! Jeśli tego nie będzie — diabła warte te wszystkie nasze laboratoria!

Albert uśmiechnął się szeroko. Poczul się naraz lekki i radosny. — To prawda, że jest młody i pełen sił, czarne niebo nad jego głową płonie rudym odblaskiem światła ukochanego miasta — pięknego Paryża, i tyle ma jeszcze przed sobą...

— Dziękuję panu z całego serca! — rzekł gorąco do Chamforta. — Za wszystkie nadzwyczajne rzeczy, które pan mi opowiadał! I za to, że wrócił mi pan znowu piękno realnego świata...

— Romantyk z pana, mój drogi — uśmiechnął się Chamfort. — Zresztą gdyby pan nim nie był, laboratorium Laurenta obudziłoby w panu grozę...

— Tak, Luiza mi powiedziała. — Peyronel nie patrzył na Rajmunda. — Przywykła zwierzać mi się ze wszystkiego...

Rajmund odchrząknął. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Peyronel dłuższy czas milczał.

— Widzi pan, ja jestem stary dziwak — zaczął wreszcie. — I mam na te rzeczy taki pogląd: jeżeli ktoś wybrał sobie już żonę czy męża, to nie powinien ich opuszczać, przynajmniej w nieszczęściu. Trzeba poczekać, aż człowiek się podźwignie...

— Luiza myśli zupełnie tak samo... — powiedział zmieszany Rajmund.

— Wiem. A pan? — Peyronel po raz pierwszy spojrzał na niego. — Jakiego pan jest zdania?

— W każdej sytuacji wola Luizy jest dla mnie prawem. — Rajmund wcale nie był przekonany, że to była właściwa odpowiedź.

Peyronel zasapał głośno i jął oglądać swój paznokieć. Weszła sekretarka, zameldowała, że wszyscy już zebrali się na naradę. Peyronel podniósł się, chrząkając.

— Niefortunnie pan trafił... no, no, rozumiem, że trudno panu się wyrwać. To nic, pogadamy innym razem...

Podszedł do Rajmunda, wziął go za ramiona i obrócił twarzą do światła. Rajmund zobaczył tuż przed sobą wypukłe oczy z żółtawymi białkami, powleczonymi gęstą siecią przekrwionych żyłek. Oczy były smutne i mądre, nigdy nie widział w nich takiego wyrazu.

Zrobiło mu się nieswojo.

— Czy pan ją kocha? — Peyronel nie przestawał patrzeć Rajmundowi prosto w oczy. — No, tylko uczciwie!

— Uczciwie... to nie wiem! — palnął nagle Rajmund.

I natychmiast przestraszył się swojej szczerości. Ale Peyronel odetchnął z ulgą i twarz mu się nieco rozpuodziła.

— No, przynajmniej pan nie kłamie — powiedział.

Profesor Laurent ostrożnie odchylił bandaż na czole François u styku z włosami.

— Chyba proces przyjmowania się przebiega normalnie — powiedział. — Można zdjąć opatrunki. Dalej poprzestaniemy na Bisti-3. Oczu na razie nie odbandażowywać. Najpierw trzeba zasunąć ciemne story.

Opadł na fotel dysząc ciężko. Michel wziął go za rękę.

— Przedtem zrobię panu zastrzyk — rzekł z niezadowolaniem. — Pan ciągle nie może przyjść do siebie po operacji. I nic dziwnego, trzy godziny na nogach, taki pełen napięcia wysiłek przy pańskim stanie zdrowia!

— Michel, zaczynasz gderać, jak stara niańka — powiedział słabym głosem profesor. — Duclos zrobi mi zastrzyk, a ty zajmij się François.

Przez szczelnie zaciągnięte ciemnozielone story sączyło się skąpe, przyćmione światło. Na oczach François bieląca jeszcze opaska, ale twarz i szyja były od—bandażowane.

— François, spróbuj się odezwać — powiedział profesor Laurent. — Jak się czujesz?

— Do-brze — wymówił François zacinając się. — Dobrze. Cieszę się, że mogę mówić.

Głos jego miał brzmienie lekko przytłumione o niskiej przyjemnej barwie.

— Na razie wystarczy, nie mów więcej. Teraz sprawdzimy, jak z twoimi oczami. Michel, zdejmij opaskę. Widzisz coś, François? Oczy nie bolą?

— Widzę wszystko — mówił powoli François, — Tak samo, jak przedtem. Oczy nie bolą.

— Dudos, niech pan zapali lampę aa moim parawanem. A teraz jak, François? Dlaczego mrużysz oczy?

— To nic, już się oswoiłem. Wszystko dobrze. Dziękuję. Bardzo się cieszę! —

Uśmiechnął się.

— Nie boli cię, jak się uśmiechasz?

— Trochę boli.

— Nie poruszaj mięśniami twarzy. Staraj się dzisiaj nie rozmawiać. Będziesz leżał do jutra. Oczy ci jeszcze zabandażujemy. Jutro wszystko już będzie w porządku. — Chciałbym zobaczyć moją twarz — powiedział François. — Bardzo proszę.

— Lepiej byłoby jutro... A wreszcie, niech pan mu poda lusterko, Duclos.

François długo przypatrywał się swojej twarzy w przyćmionym świetle lampki, padającym zza parawanu. Była smągła, o grubych, regularnych, nieco pospolitych rysach.

— Podoba mi się. Dziękuję. — Zwrócił lusterko Albertowi i wyciągnął się, poddając głowę wprawnym ręką Michela.

Profesor Laurent opadł ciężko na fotel. Dusił się.

— Co panu jest? — Albert spoglądał na niego z przestraszonym.

— Nic, nic. Teraz już niedługo — wymówił cicho profesor, siłąc się na uśmiech. — Za tydzień będzie można zademonstrować Michela i François. A potem pójdę do kliniki... jeżeli pan mi obieca... — Umilkł nagle i zaczął niezgrabnie zsuwać się na bok, pólżąc w fotelu.

— Michel! — krzyknął Albert.

Michel podszedł natychmiast, spojrzął na profesora i pobiegł po strzykawkę. Profesor wkrótce otworzył oczy, ale był

tak osłabiony, że nie mógł mówić. Michel z Albertem przenieśli go na kozetkę, okryli pledem. Albert rozsunał ciemne story, przez okno lonał wesoły słoneczny blask, w którym twarz profesora wyglądała wręcz przerażająco — sina, wychudła, z zapadniętymi oczami.

— Jak z nim, Michel? — zapytał szeptem Albert podchodząc do stolika, przy którym Michel ponownie wygotowywał strzykawkę.

Po białej, nienaturalnie prawidłowej twarzy Michela przemknął gorzki grymas.

— Ja przecież uprzedzałem profesora. — Pokręcił głową. — Ta operacja była ponad jego siły. Nie powinien był...

— Ale co teraz robić? — przerwał mu Albert. — Czy zdoła pan wyciągnąć go choćby z tego stanu?

— Postaram się — odpowiedział Michel napęlniając strzykawkę.

— A może wezwać lekarza? Zniesiemy profesora na dół i tam go zbada.

— Zabraniam — cicho, lecz wyraźnie odezwał się profesor. — Zabraniam kategorycznie, słyszycie?

Albert z rozpaczą rozłożył ręce. Michel, trzymając strzykawkę, patrzył z dezaprobatą na profesora.

— Szkoda, że pan nie chce się zgodzić — powiedział. — Możliwe, że są jakieś inne, bardziej skuteczne metody leczenia, których ja nie znam. A wreszcie konsylium...

— Konsylium? Z tobą? — uśmiechnął się blado profesor.

Albert spostrzegł ze zdumieniem, że Michel drgnął i zagryzł wargi. Prawdopodobnie dotknęły go słowa profesora. Nic jednak nie powiedział. W milczeniu zrobił zastrzyk i odszedł do swego stolika.

Profesor poczuł się nieco lepiej, był jednak jeszcze bardzo blady i nie miał siły się poruszać. Albert podłożył mu pod głowę drugą poduszkę, rozsunał białe firanki, by świeże, czyste powietrze po ulewnym porannym deszczu miało wolny dostęp do pokoju.

— Omdlenie to śmierć w miniaturze — odezwał się cicho profesor Laurent. — Dlatego pewnie tak trudno jest znowu wrócić do przytomności. Nawet słabe światło boleśnie razi oczy, a ciało Wydaje się takie ciężkie, jakby przywalono

człowieka płytą mogilną. Ciekawe jednak... — Umilkł magle, zaczął nasłuchiwać, w oczach jego pojawił się niepokój. — Duclos, zupełnie zapomnieliśmy zajrzeć do Paula i Pierre'a. Czyżby się jeszcze nie obudzili?

Paul i Pierre, objęci ramionami, leżeli na kozetce. Oczy mieli zamknięte, lecz w pozie ich było zbyt wielkie, jak na śpiących, napięcie. Albert dotknął delikatnie ramienia Paula, który drgnął, ale nie otworzył oczu.

— Paul, co ci jest? — zapytał cicho Albert. — Źle się czujesz?

Paul wysunął rękę spod głowy Pierre'a i usiadł. Twarz miał pokrytą czerwonymi plamami.

— Nie ważcie się nas dotykać — powiedział swoim skrzypiącym nienaturalnym głosem.

— Pierre'a i mnie. Nie chcemy, żeby ktoś nas dotykał. On nie chce mieć innej twarzy. Zostawcie nas w spokoju, my nic nie chcemy, tylko nas nie ruszajcie. Chcemy być razem, obydwaj z Pierre'em!

Albertowi ścisnęło się serce — cóż to za nieszczęsne stworzenie ten Paul! Starając się nadać swojemu tonowi brzmienie najbardziej przekonujące, powiedział:

— Niepotrzebnie się tak denerwujesz, Paul. Nikt nie będzie ruszał Pierre'a ani ciebie, uwierz mi. Profesor nie zamierza cię przerabiać. Zresztą, nawet nie może, jest chory i niedługo wyjedzie na kurację.

— On nie jest chory — odparł Paul — operował przecież François.

— Zmęczył się bardzo tą operacją i zachorował. Wiesz przecież, że był już wcześniej chory. A teraz zrobiło mu się gorzej.

— Nie trzeba było ruszać François — mruknął Paul.

— François sam życzył sobie, żeby go przerobić. Jest bardzo zadowolony. Będzie teraz mówił i ma bardzo ładną twarz. Jutro już będzie zupełnie zdrow.

— Pierre nie chce mówić i nie potrzebuje ładnej twarzy — upierał się Paul. — Prawda, Pierre, nie chcesz, żeby cię ruszali?

Pierre siedział ma kozetce rozcapierzywszy niezdarne łapy, kiwał głową i myczał na znak potwierdzenia.

— Nikt nie zamierza was ruszać — powiedział Albert.

— A Michel? — zapytał Paul.

Albert zdumiał się, dostrzegłszy gwałtowny błysk wściekłości w jego mętnawych malutkich oczkach.

— Michel też nie będzie was ruszał. On zresztą nie umie sam robić operacji.

— Michel wszystko umie — zaskrzypiał nieufnie Paul. — On mnie nie lubi. Ale ja nie pozwolę przerabiać siebie i Pierre'a też nie pozwolę.

— Dobrze, dobrze — powiedział Albert już z pewnym zniecierpliwieniem. — Jakiż ty jesteś uparty, Paul! I dlaczego mi nie wierzysz, czy kiedykolwiek cię oszukałem?

— Ja nikomu nie wierzę — mruknął Paul spuściwszy głowę. — Nikt mnie nie lubi, tylko jeden Pierre. I jemu wierzę, ale nikomu więcej...

— Jak chcesz. — Albert wzruszył ramionami. — Tylko zapamiętaj sobie, że ja nigdy nikogo nie oszukałem. Nie cierpię kłamstwa.

Rajmund przebudził się nagle w środku nocy. Zdarzało mu się to bardzo rzadko. Cały pokój był porysowany błękitnawo białymi kwadratami księżycowego światła i czarnymi cieniami krat i ram. Rajmund leżał z otwartymi oczami starając się pojąć, co go obudziło.

Wtem usłyszał szept za parawanem profesora. Szept dolatywał wyraźnie, odległość była niewielka.

— Nie będę odkładał pokazu, przestań pleść głupstwa, Michel — mówił profesor Laurent.

— Skoro pan uważa, że starczy panu sił na pokaz, to z pewnością na moją operację również — szeptał nalegająco Michel. — Będzie pan siedział. A ja będę leżał na podłodze, na kozetce, gdzie pan chce. To przecież znacznie prostsze niż z François. Nie trzeba zmieniać głosu, tylko twarz.

— Nie pojmuję, co cię napadła. Przecież zawsze byłeś zadowolony ze swojej twarzy.

— Myliłem się. Teraz to rozumiem.

— Zazdrościsz François?

Michel milczał. Potem rzekł z wysiłkiem,

— Dlaczego pan utrzymywał, że jestem wieczny? To przecież nieprawda.

— Owszem, prawda. Można cię odnawiać, jeżeli nie

wiecznie, to przynajmniej bardzo długo.

— Kto mnie będzie odnawiał? Czy pan sam także jest wieczny?

— Ten, kto mnie zastąpi — odpowiedział po chwili milczenia profesor. — A później ktoś inny, kto z kolei przyjdzie na miejsce tamtego. Znowu zapadło długie milczenie.

— Ale twarzy mi nie przerobią.

— Dlaczego nie? Chirurdzy uzyskują już w operacjach plastycznych znakomite wyniki.

— Oni nie zechcą... Będą mnie demonstrować tak, z tą twarzą-maską. A czyż ja nie jestem człowiekiem? Ja bym im dowiódł...

— Sądzisz, że niedługo umrę? — zapytał spokojnie profesor Laurent. — Powiedz prawdę, muszę ją znać.

Rajmund zdrętwiał usłyszawszy wyraźny szept Michela:

— Tak, to możliwe. Organizm pana jest zbyt wyniszczony. Albo w każdym razie będzie pan długo chorował i leżał w klinice... A ja...

— Rozumiem... — wyszeptał profesor. — Wy tłumacz mi jednak, po co ci inna twarz?

— Chcę być samodzielny. Jeżeli otrzymam normalną twarz, będę mógł chodzić po ulicach, rozmawiać z ludźmi i nikt się nie domyśli, że jestem inny niż oni.

— Michel, ty przecież zupełnie nie znasz życia. Życie jest bardzo skomplikowane i trudne.

Twarz to jeszcze nie wszystko. Będą cię uważali za wariata, przecież ty nie masz pojęcia o najprostszych rzeczach, o których wie nawet małe dziecko.

— Przygotuję się. Będę czytał rozmaite książki. Rozmawiał z pańskimi pomocnikami, oni dobrze znają życie. Niech pan mi zrobi nową twarz, proszę pana, błagam! Jakże mam pana prosić? Na kolanach?

— Przeczytałeś w książce, że ludzie klękają?

— Tak, Józef mi daje książki. Chce, żebym się rozwijał.

Nerwowe dreszcze zatrzęsły Rajmundem, naciągnął kołdrę na głowę i przez pewien czas nie słuchał rozmowy. Potem wyjrzał spod kołdry i znowu zobaczył błękitne i czarne kwadraty na podłodze, usłyszał szept za parawanem.

— A jeżeli umrę nie dokończywszy operacji?

— Zrobią wszystko, żeby do tego nie dopuścić. Profesor Laurent długo milczał. Wreszcie powiedział:

— Idź spać, Michel! Postaram się spełnić twoją prośbę... Do diabła, czy tego też nauczyłeś się z książek — całować ręce?

— Nie wiem... chyba nie...

— Idź spać. Jestem bardzo zmęczony...

Albert był wstrząśnięty. Na jego pobladłej twarzy wyraźnie zaznaczyły się piegi, desperackim gestem nastroszył włosy i powiedział patrząc w przestrzeń:

— On go zabije! Michel go zwyczajnie zabije! To potworne! Jak temu zaradzić?

— Moim zdaniem trzeba profesorowi wyperswadować tę operację. On naprawdę tego nie wytrzyma. Jest zanadto osłabiony. — A potem wezwiemy dobrego lekarza. Co ten Michel zna się na tym, ostatecznie, jakie on ma doświadczenie!

— Ja przecież proponowałem — powiedział z rozpaczą Albert. — Profesor kategorycznie odmówił.

— Mimo wszystko spróbują — rzekł Rajmund.

Profesor Laurent ponownie zaprotestował.

— Na razie nie trzeba. O ile Michel w ciągu najbliższych paru dni nic nie zdoła, to wówczas...

Rajmund z powątpiewaniem wzruszył ramionami.

— Czy w pańskim stanie wolno tak eksperymentować na sobie samym? — zapytał. — Dlaczego nie poradzić się dobrego, rutynowanego specjalisty? Czy Michel...

— Zostaw to, Józefie — przerwał mu niecierpliwie profesor. — Michel wie, co mi jest, a obcemu człowiekowi nie mogę tego wyjaśnić. Otóż to właśnie. W dodatku taki lekarz może opowiedzieć, że trafił mu się taki ciekawy przypadek, ktoś inny zainteresuje się, zacznie kombinować, dochodzić, i wtedy...

— A jeżeli coś się panu stanie?

— Michel jest przekonany, że uda mu się postawić mnie na nogi.

Michel, skupiony i chmurny, skinął potwierdzająco głową.

— Wiecie, co mi przyszło do głowy? — oznajmił Rajmund,

gdy jedli we trójkę śniadanie w kuchni. — Ten Michel dotychczas specjalnie nie stosował wszystkich znanych mu środków. Chciał pokazać, że profesor powinien się leczyć i że nie wolno mu zostać w laboratorium. A teraz ma zupełnie inne zamiary. Zobaczycie, że ze skóry wylezie, żeby tylko postawić profesora na nogi.

— Zdaje mi się, że pan jest zbyt wysokiego mniemania o zdolnościach Michela — odparł Albert. — On po prostu nie odważyłby się na jakieś drastyczne eksperymenty. Cóż pan myśli.— że profesor nic się na tym nie zna, tylko posłusznie zdaje się ma Michela? Ja obawiam się czego innego — żeby teraz, starając się, jak pan mówi, postawić profesora na nogi, Michel nie przeholował z hormonami i ze stymulatorami. W obecnym stanie profesora może się to okazać dla niego zgubne. Niezmiernie trudno jest uchwycić granicę między tym, co dozwolone, a co niedozwolone. Ale pod jednym względem profesor cna pewno ma rację — nawet najlepszy lekarz, nie znając przyczyn, które doprowadziły do takiego upadku fizycznego, nie zdoła mu pomóc.

— Pan się lepiej orientuje — rzekł Rajmund kończąc pić kawę. — Mam do pana jeszcze taką prośbę: niech pan porozmawia z Luizą i wytłumaczy jej, że jest na górze nie potrzebna.

— A ona chce iść na górę?

— Nie chce, bardzo się boi, ale uważa za swój obowiązek pielęgnować profesora. Niech pan jej to wyperswaduje. Ona i tak przecież tam nie wytrzyma...

— Ja to jej wytłumaczę! — oświadczył Roger przysłuchujący się w milczeniu tej rozmowie. — Ona mnie prędzej zrozumie, możecie być pewni!

Rajmund wzruszył ramionami i pośpiesznie wyszedł. Roger uśmiechnął się patrząc za nim.

— Widziałeś, jaką minę zrobił? Zazdrosny!

— To czemu go drażnisz? — powiedział z wymówką Albert.

— A z jakiej racji mam oszczędzać jego nerwy? Niech się pozłości. To i tak jest skończony drań i Luiza nie będzie z nim miała słodkiego życia. Znam takie typy. Myśli tylko o sobie.

— Daj spokój! — powiedział Albert. — Przyczepiłeś się do niego! To ty jesteś zazdrosny, nie on.

— Ani mi się śni, także coś! Po prostu szkoda mi tej biedaczki... No, a co tam nowego na górze?

— Nic dobrego na razie. Profesor bardzo słaby. Paul i Pierre nosa nie wytykają z za parawanu i stronią od wszystkich. W dodatku z François też nie jest dobrze. Operacja udała się znakomicie, a teraz nagle sparaliżowało mu twarz, ma jakieś bóle gardła i ledwie mówi.

Michel robi mu masaże elektryczne, ale dotychczas nie widać poprawy. Profesor bardzo się martwi, pokaz znów pod znakiem zapytania. A tu jeszcze Michel nalega, żeby mu zrobić operację...

— Michel jest nie w ciemną bitą. Jeżeli będzie miał normalną twarz, kto się tam domyśli, co za diabeł. Zobaczysz — wszyscy będą uważali, że to człowiek, tylko trochę puknięty... Słuchaj no, przyjacielu... jest taka rzecz... — Roger wahał się przez chwilę. — Trafia się dla nas obu robota. W bistro, gdzie pracuje Vigot, potrzebują kelnera i pomywacza.

— Odchodzisz? — spytał Albert, zmartwiony.

— Tylko razem z tobą!

— No, ja przecież nie odejdę, wiesz o tym. A ty, oczywiście...

— Dobra, wspomniałem tak sobie, mimochodem. Wiem, że nie odejdiesz. I Luizy też szkoda. Ale możesz mi wierzyć, że ta historia dobrze się nie skończy... Diabli nas wtedy zanieśli koło tego milutkiego domku! Jakby nie było innej drogi na ulicę Talmy!

— Może ty jednak pójdziesz do bistro? — zapytał niepewnie Albert.

— Nie zadawaj idiotycznych pytań. Niech będzie, co chce, jakoś się wykaraskamy.

Michel pochylił się nad François, który leżał nieruchomo, spod sparaliżowanych, nie zamykających się powiek wyglądały białka, twarz była opuchnięta i wykrzywiona.

— Spisz, François?

Pod powiekami ukazały się źrenice. François z trudem poruszył wargami.

— Nie śpię. Głowa mnie boli. Gardło boli. — Głos był zachrypnięty i bardzo słaby.

— Zażyj lekarstwa. Wieczorem znów zrobię ci masaż. To

powinno wkrótce przejść. — Michel miał bardzo zaniepokojoną minę.

Albert stał obok i również patrzył na François. Teraz był zupełnie podobny do człowieka, wprowadzie do ciężko chorego, oszpeconego chorobą, ale w szpitalu widuje się jeszcze gorsze przypadki. Odwrócił się i nagle zobaczył Paula, który wyciągając długą, chudą szyję, ponuro i z uwagą przyglądał się François. Grdyka poruszała mu się gwałtownie, jak podczas przełykania, pięści miał zaciśnięte. Napotkawszy wzrok Alberta, odwrócił oczy.

— Co Michel zrobił François? — zapytał przez zęby.

— Mówiłem ci przecież, że operację przeprowadzał profesor.

— Nie. Profesor jest chory. Nie może robić operacji.

— Nie pleć głupstw, Paul — odezwał się zza parawanu profesor Laurent. — Wiesz doskonale, że nikt poza mną nie potrafi zrobić operacji.

— Michel potrafi... on wszystko potrafi...

— Nie pleć głupstw, powtarzam. Ja robiłem operację.

Michel w milczeniu patrzył na Paula. Oczy jego były tak samo błyszczące i chłodne jak dawniej, ale twarz w ciągu ostatnich dwóch tygodni stała się znacznie żywsza, pojawiła się na niej jakaś nerwowa gra mięśni, znikła martwota, która czyniła ją podobną do maski. „On chyba niepotrzebnie chce zmienić twarz — pomyślał Albert, ale przyjrząwszy się uważniej, orzekł: — Nie, jednakże zanadto jest biała i regularna. Nigdy nie będzie robiła wrażenia żywej”.

— Dlaczego ty ciągle wypytyujesz o mnie, Paul? — odezwał się Michel. — Przecież już ci powiedziano, że nie ja operowałem François. A ty w ogóle nie będziesz miał operacji. Ani Pierre. Więc czego się boisz?

— Ty chcesz mi zrobić operację — zaskrzyphiał Paul patrząc w bok.

— Uważam, że wyszłaby ci na dobre — rzekł Michel pouczającym tonem: — Szkoda, że tego nie rozumiesz. Stałbyś się silny i zdrowy. A pamięć na pewno byś zachował. Ja pamiętam przecież ten okres, kiedy mój mózg leżał w termostacie.

Albertowi wydało się, że Paul w tej sekundzie rzuci się na

Michela. Pośpieszył przerwać tę rozmowę.

— Michel, pan dobrze wie, że nie będzie żadnej operacji. Po cóż rozmawiać na ten temat.

Widzi pan przecież, że Paula to denerwuje.

— To bardzo głupio — powiedział Michel i odszedł.

Paul powiódł za nim niewidzącym wzrokiem. Albert westchnął. Cała ta historia zaczynała mu się mocno nie podobać.

Profesor Laurent zawołał Michela.

— Spróbuj dodać Bisti-1 do środowiska odżywczego François. I witaminę B-12... A ty nie boisz się operacji? Widzisz, jak źle zaczynam pracować?

— Nie boję się. — Michel patrzył profesorowi prosto w oczy. — Z François to przypadek.

Wszystko minie.

— Może jednak zrezygnujesz z operacji?

— Nie — odparł Michel wychodząc zza parawanu. — Uważam, że jest konieczna.

Albert zasępił się, spostrzegłszy bladą, zaciętą twarz Paula, który przy tych słowach wyrzwał ze swego kąta i natychmiast schował się z powrotem. Profesor był tak chory, że nie chciał mu wspominać o swoich obawach. Michel nic nie przyjmuje do wiadomości, tylko powtarza z wyniosłą miną: „To głupio, to nie ma sensu, Paul ma zaburzenia psychiczne”, i mimo próśb, ustawicznie rozmawia na temat operacji... „Trzeba jutro zadzwonić do Chamforta, zasięgając jego rady” — pomyślał z westchnieniem Albert.

...Wszystko zaczęło się późnym wieczorem, około godziny jedenastej. U François nie było polepszenia. Profesor, po zastanowieniu, wypisał receptę i poprosił, żeby ktoś natychmiast udał się do apteki. Poszedł Roger.

Michel włączył elektryczny aparat do masażu. Albert, zatopiony w czytaniu, z roztargnieniem słuchał monotonnego, cichego bzykania. François pojękiwał od czasu do czasu.

Nagle Albert poczuł nieokreślony lęk. Podniósł głowę. W tejże chwili przemknęły obok niego w stronę parawanu François dwie pochylone jak do skoku postacie. Krzyknął i jednym susem znalazł się za parawanem. Paul przywalił Michela ściskając jego rurkę. Michel szamotał się i charczał. Albert z



trudem rozwarł palce Paula, odepchnął go na bok. Potem zobaczył, że Pierre zamierza się na niego taboret, chciał odskoczyć, ale Paul chwycił go z całej siły za nogi. Usłyszał jeszcze rozpaczliwy krzyk profesora Laurenta i pochłonęła go dławiąca ciemność.

Rajmund i Luiza zdrętwieli usłyszawszy krzyki i tupot na górze. Rajmund zerwał się i skoczył do drzwi.

— Ja z panem... ja z panem... — mamrotała jak w gorączce Luiza.

— Nie wolno! Nie waż się! — krzyknął Rajmund wbiegając po schodach.

Wpadł do pokoju i na moment osłupiał z przerażenia. Za parawanem Pierre ciężkimi miarowymi machnięciami podnosił i opuszczał taboret. Parawan tlił się i dymił. Profesor Laurent czołgał się w tamtą stronę, bezgłośnie otwierając usta.

— Józefie... nie bijcie ich... — wykrztusił i padł twarzą na podłogę.

Rajmund jednym kopnięciem przewrócił parawan. Rozjuszony Pierre zamierzył się na niego taboret, ale on chwycił stolik i zastawił się nim. Paul, wyszczerzywszy zęby, zaczął się do niego podkradać z boku. Rajmund cofając się do ściany, objął pokój jednym spojrzeniem. Ciało François i Michela leżały na krzyż. Głowa Michela była strzaskana i niekształcona do rozpoznania — widocznie Pierre tłukł go taboret. François również wydawał się martwy. Ale głowy jego Rajmund nie widział, zasłaniał ją fotel. Albert, skurczony, leżał nieruchomo koło kozetki. Nad przewróconym parawanem wytrysły niebieskawe języki ognia, przeniosły się na story. Pierre podchodził coraz bliżej, kręcąc młynka taboret. Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk. W drzwiach, przyciskając ręce do piersi, stała Luiza. Pierre obejrzał się, trzymając taboret nad głową i w tejże sekundzie Rajmund pchnął go z całej siły stolikiem. Pierre runął na podłogę. Paul skoczył, wyszczerzywszy zęby, i wpił się palcami w gardło Rajmunda, ten zaś niemal bez tchu, najwyższym wysiłkiem zdołał oderwać te lepkie, plamiste ręce. Paul odleciał w bok, trzasnął głową o ścianę, szarpnął się i ucichł. Rajmund podbiegł do Luizy.

— Co pani robi, proszę uciekać!

— A-a! — krzyknęła Luiza, cofając się gwałtownie. Rajmund obejrzał się błyskawicznie, odskoczył, ale nie zdążył uniknąć ciosu. Prawa ręka zwiśla mu od razu jak bat.

Przezwyćając ból i słabość, oparł się o ścianę i kopnął Pierre'a w brzuch. Człowiek po takim ciosie straciłby przytomność. Pierre zachwiał się, upadł, ale natychmiast zerwał się na równe nogi. „Teraz już koniec” — pomyślał Rajmund z dziwną obojętnością patrząc na bezkształtną, ciemną twarz Pierre'a, który zbliżał się wyciągając groźnie krótkie, potężne łapy.

— Luizo, uciekaj! — krzyknął Rajmund.

Nie usłyszał odpowiedzi. Na stole koło okna rozległ się brzęk pękającego szkła, słup ognia z hukiem wyleciał w powie trze. Rajmund zobaczył sunącą ku niemu chmurę gryzącego dymu i płomieni i zsunał się po ścianie tracąc przytomność.

Ocknął się z bólu. Ktoś włókł go po podłodze, złamana ręka zaczepiała o krzesła. Po chwili znalazł się na podeście schodów, obok niego ktoś leżał. Wyteżył wzrok i wśród kłębow dymu, buchających z pokoju, ledwie rozpoznał Alberta — twarz jego była zalana krwią. Tuż przy schodach leżał profesor Laurent, ręce miał bezwładnie rozrzucone. Rajmund podniósł się, przytrzymując się ściany zdrową ręką i wpadł do pokoju. Pośród ognia i dymu kotłowały się po podłodze dwie sczepione postacie. „To Roger!” — domyślił się Rajmund. Podeszedł ukradkiem do Pierre'a, chwycił za rurkę i ścisnął ją z całej siły. Pierre zacharczał, zaczął się rozpaczliwie szamotać. Roger z trudem wyczołgał się spod niego.

— Trzymaj rurkę, nie wypuść! — wykrztusił rozcierając gardło. — Złamał mi rękę...

— Luiza! — krzyknął Rajmund. — O, Boże, Luiza!

— Ona jest tutaj! — jęknął Roger. — Czemu ty, do diabła...

Poczołgał się w ogień, zasłaniając twarz. Rajmund osłabł z bólu i duszności, upadł na podłogę nie przestając kurczowo zaciskać rurki. Pierre ciągle jeszcze szarpał się i kopał nogami. Ogień podpełzał już do drzwi, dym wyżerał oczy, Rajmund czuł, że się dusi.

Roger wynurzył się z chmury dymu wlokąc za sobą Luizę. Włosy miała spalone, suknia tliła się na niej. Rajmund

podniósł się nieco, szarpnął portierę u drzwi, która też już zaczynała się smażyć. We dwóch z Rogerem szczelnie owinęli nią Luizę i wyciągnęli na podest, zatrzasnąwszy drzwi — płomień wydostawał się na schody.

— A oni? — Roger wskazał na drzwi.

— Michel zabity, François, zdaje się, również — Rajmund z trudem poruszał wargami. — A z powodu tych dwóch nie pójdę na pewną śmierć. Nie zdołamy ich zresztą wyciągnąć, nawet jeśli żyją...

Roger ponuro skinął głową i schylił się nad Albertem.

— Dzięki Bogu, żyje — powiedział. — A Luiza?

— Nie wiem. — Rajmund ze zgrozą odwrócił się od czarnej, ni to okopconej dymem, ni to osmalonej twarzy, od włosów, które rozsypały się na szary popiół, podczołgał się do profesora i ujął jego martwą rękę. — Chyba również żyje... tylko jest zemdlony.

— Trzeba zejść na dół, wezwać straż pożarną — powiedział Roger krztusząc się gryzącym dymem. — Bierz Luizę, ja zniosę Alberta, a potem wrócę po profesora.

Objął jedną ręką bezwładnie zwisające ciało Alberta i zaczął powoli schodzić po schodach. Rajmund z ledwością podniósł Luizę, niezgrabnie przycisnął do siebie. Głowa jej zwisała mu na pierś. Mrużył oczy i odwracał się, ale ta straszna, szerniała głowa z resztkami włosów ciągle kiwała się przed nim, nawet gdy zaciskał powieki. Położył Luizę w hallu na kanapie i znów poszedł za Rogerem na górę. We dwóch znieśli profesora Laurenta.

— Wezwę straż pożarną — powiedział.

Nie był pewny, czy dojdzie do budki, ale nie mógł dłużej tu zostać. I musiał zawiadomić szefa. Z trudem odsuwając zasuwę przy furtce, obejrzał się na dom — z okien górnego piętra buchały płomienie. Otworzył furtkę i natychmiast podbiegli do niego jacyś ludzie.

— Co to? Co się u was stało?

— Wezwijcie straż pożarną! — krzyknął.

— Wezwana! Już wezwana! — wołali do niego. — Co się tam dzieje?

— Pomóżcie mi dojść do telefonu. I zwołajcie lekarza, prędzej lekarza...

— Policję! — wołał jakiś głos.

— Później policję, najpierw lekarza, tam ludzie umierają — chrypiał Rajmund urywanym głosem. — Lekarza, lekarza!

Ktoś skoczył w stronę domu, ktoś inny pobiegł ulicą. Rajmunda podpierała czyjaś silna ręka.

— Pan jest ranny... poparzony... — mówił ktoś do niego. — Dokąd pan chce iść?

— Chcę do telefonu, proszę mi pomóc! — powtarzał Rajmund jak opętany.

Zawisł prawie na rękach swego przewodnika, ledwie wciśnięwszy się do budki. Nic nie widząc przed sobą, po omacku nakręcił numer domowego telefonu szefa.

— Katastrofa... niech pan natychmiast przyjeżdża... — chrypiał.

— Kto to? Kto mówi? — wołał Peyronel.

— Lemonier... proszę przyjechać, prędko... Luiza... — Upadł nie dokończywszy zdania.

Jego przewodnik ujął kołyszącą się słuchawkę i powiedział szybko:

— On jest ranny i poparzony. Dom płonie. Tak, tak, Passy. Tak jest. — Powiesił słuchawkę. — Dojdzie pan jakoś? Tam zaraz będzie lekarz.

Rajmund nie odpowiadał. Był nieprzytomny. Mężczyzna wziął go na ręce i poniósł do domu.

Albert z wysiłkiem otworzył oczy. Wszystko pływało we mgle, głowa pękała z bólu, nie mógł się poruszyć.

— Co to? — szepnął. — Co to?

Coś huczało, dzwoniło, syczało wściekle, z głośnym łoskotem padało i toczyło się. W dymie i krwawym świetle poruszały się zamazane postacie ludzkie. Wreszcie zobaczył nad sobą czyjaś twarz. „Roger” — pomyślał.

— Roger... Co to? — spytał poruszając słabo wargami.

— Leż, leż, tnie ruszaj się — powiedział Roger obcym, zachrypniętym głosem. — Zaraz przyjedzie lekarz.

— A to kto? Ci ludzie?

Roger nie odpowiadał, widocznie nie słyszał. Twarz miał czarną jak Murzyn, wargi mu drgały. Albert uniósł głowę. Leżał na podłodze hallu. Koło niego, z głową zwisającą na bok i niezgrabnie podgiętą nogą, leżał profesor Laurent. Albert

znowu poczuł, że wszystko pływa mu przed oczami, dręczyły go mdłości, w głowie jakby stukwały małe młoteczki, nieznośny ból i huk.

— Rogerze... czy on umarł? — Albert pociągnął go za rękaw i Roger jęknął.

— Mam rękę złamaną, nie dotykaj — powiedział ochryplym głosem. — Profesor? Prawdopodobnie żyje.

— A reszta? Zginęli?

— Luiza jest tutaj. — Roger skinął na prawo. Albert z trudem powiódł oczami, zobaczył rękę Luizy bezwładnie zwisającą z kanapy.

— Rana miażdżona czaszki. Odłamków nie widzę, możliwe pęknięcie kości. Ciężki wstrząs albo uszkodzenie mózgu — mówił ktoś. — Co to było? Wybuch?

— Nie wiem — chrypiał ponuro Roger.

— A co u pana? Tak... otwarte złamanie kości promieniotwórczych... oparzenia... A tu co? Boli? Wygląda na złamanie żeber. Co tam słychać, Cartier?

— Otwiera oczy — odpowiedział drugi głos. — Ostra niedomoga serca, możliwe, że szok nerwowy. Co takie—go? Ja sam nie wiem, co się stało! Pożar już gaszą. Laboratorium? Nie wiem. On pyta, gdzie Duclos. Kto to jest Duclos?

— To on — powiedział Roger. — Profesorze, Duclos jest koło pana.

Albert odwrócił głowę do profesora Laurenta. Spojrzały na niego zmętniałe, pełne przerażenia oczy.

— Czy oni... żyją? Duclos! Żyją? — szeptał profesor.

— Żyją, wszyscy żyją — powiedział ochryplym głosem Roger. — Wszystko w porządku, słyszy pan?

— Znowu stracił przytomność. Zabierzcie go do karetki. I tego też. Co z kobietą?

— Silne oparzenia i przypuszczalnie ciężki szok nerwowy. Nieprzytomna. Stan groźny.

— Wezwał pan drugą karetkę? Dobrze. A co u tego?

— Złamanie obojczyka. Oparzenie pierwszego i drugiego stopnia. Diabli wiedzą, co tu się stało?!

Ktoś podniósł Alberta, położył na noszach. Albert jęknął — głowa jak gdyby rozłupywała mu się na kawałki. Znowu pograżając się w ciemność usłyszał jeszcze czyjeś głośnie

sapanie, ciężkie kroki i potem jakiś na wpół jęk, na wpół krzyk: „Luiza! Mój Boże, Luiza, moje dziecko!”

— A co ty chciałeś? — powiedział Roger. — My jeszcze i tak wyszliśmy z tego obronną ręką. Od samego początku wiedziałem, czym to pachnie.

Siedział na łóżku Alberta, wychudły, zarośnięty, z czerwonymi śladami oparzeń na czole i na policzkach. Lewa ręka, w gipsie i bandażach, wisiała na temblaku.

— Ja nie o sobie... — wymówił z trudem Albert. — Profesor Laurent...

— Profesor? — powtórzył z wolna Roger. — No, cóż, profesor już przedtem był ciężko chory...

— Gdyby laboratorium ocalało... — szeptał Albert przetykając łyżę.

— Ba, gdyby... Ale skoro zginęli wszyscy jego wychowankowie... Skłamałem mu wtedy, dowiedział się jednak niedługo — no i od razu...

— A jaka diagnoza? Jak lekarze motywują jego śmierć?

— Nie bój się, znajdą motywy. Siostra mówiła, że zawał. To bardzo możliwe. Nie płacz.

On i tak nie pożyłby długo.

Albert leżał nieruchomo. Po jego policzkach spływały łyżę. Strasznie było myśleć, że zginęło wszystko, za co profesor Laurent zapłacił szczęściem, zdrowiem i życiem własnym.

— No, nie płacz. — Roger odchrząknął, jakby mu coś przeszkadzało w gardle. — W zupełności się rozumiem, przyjacielu. Ale nie myśl teraz o tym, musisz wrócić do zdrowia. Miałeś głowę solidnie rozbita, widziałem przecież. Kto ci tak przyfasował? Pierre? No właśnie, mnie i Rajmundowi też on. Silny był jak diabeł! A nie mówiłem, że powinniśmy mieć broń! Rajmund już stracił nadzieję, że wyjdzie z tego żywy. Powiada, że gdybym parę chwil dłużej zatrzymał się w aptece, to ani mowy — koniec!

— Co z Rajmundem?

— Z Rajmundem? A co ma być? Przychodzi do zdrowia. Widziałeś jego artykuły? I fotografie, drań, zdążył zrobić. Mówi, że teraz są na wagę złota. No pewnie, zanim straż pożarna dostała się do Michela i tamtych, nikogo już nie sposób było rozpoznać, spalili się jak smolne szczapy.

— Z czego wybuchł ten pożar?

— Nie mam pojęcia. Podobno krótkie śpięcie. Pewnie ten cholerny Pierre rąbnął taboret w kontakt.

— Aparat do masażu! — przypomniał sobie Albert. — Kiedy rzucili się na Michela, on właśnie robił François masaż elektryczny. Ale za co zabili François, tego nie rozumiem.

— Wariaci, co tu się dziwić! Na pewno chciał bronić Michela... No, trudno, oni już nie żyją. Ale ta biedna Luiza!

— Co takiego?

— Jak to — co? Okropnie poparzona. Włosy się spaliły, twarz cała w ranach. I w ogóle nie ta sama. Lekarze mówią, że to szok nerwowy, taka jest nazwa naukowa, ale w zwyczajnym ludzkim języku to się nazywa — rozpacz...

— Czy ona tak kochała męża?

— Nie o męża chodzi, ty dziwaku. Ona nie męża pobiegła ratować, tylko swojego lubego

— Rajmunda! A on teraz boi się nawet spojrzeć na nią. Przyjdzie, postoi w progu i cały czas patrzy w bok. Jego pokój cały zastawiony jest kwiatami niczym oranżeria, a liścików miłosnych — fura na stoliku. Co dzień odwiedza go z dziesięć babek, co jedna to elegantsza! No jakże — bohater! Dzisiaj przyszła taka blondyneczka z białym kotkiem na rękę — delikatesowa sztuka, powiadam ci! Ma chłop szczęście, trzeba przyznać...

Albert odwrócił głowę. Szczęśliwy ten Roger, właściwie to mu zupełnie obojętne, że w jego oczach zginął cały świat — fantastyczny, niewiarygodny świat, stworzony wola, myślą, nadludzką energią jednego genialnego człowieka. „Profesor Laurent umarł z rozpacz. Sani nie wiem, co się ze mną dzieje. Ja też chciałbym umrzeć, to wszystko jest zbyt trudne do zniesienia. A Roger może myśleć o tym, jakie Rajmund ma szykowne wielbiciele. To znacznie prostsze. Lepiej brać życie po prostu. Ale jak to zrobić, sikoro do końca życia będę pamiętał laboratorium profesora Laurent...”

— Tego nie można zapomnieć! — powiedział na głos.

— Nie można, to prawda — zgodził się Roger. — Kiedy zamknę oczy, widzę wszystko jak na jawie. Umierać będę — i też będę pamiętał.

— To czemu pleciesz o różnych głupstwach?

— Ech ty, dziwadło! Żeby mniej o tym myśleć! — wyjaśnił pobłażliwie Roger. — Inaczej przyjdzie zwariować!

Do sali wszedł Rajmund. Przybladł, zeszczupłał, oczy zrobiły mu się znacznie większe, ale było mu z tym bardzo do twarzy, i nawet duży czerwony ślad oparzenia na lewym policzku nie szpecił go, lecz dodawał jakiegoś rysu romantyczności. Ramię miał zabandażowane i usztywnione w gipsie, poruszał się jednak swobodnie, widać było, że czuje się nieźle.

— Jak się macie, przyjaciele! — rzekł siadając na taborecie przy łóżku Alberta. — Co słychać?

— Ano dobrze — burknął Roger.

— Nie mielibyście ochoty pogadać z moimi kolegami? Pała się po prostu do tego, żeby usłyszeć trochę więcej szczegółów, sami rozumiecie...

— Ale my się wcale nie palimy, sam rozumiesz...

— No, jak uważacie — rzekł pojednawczo Rajmund. — Myślałem, że to byłoby interesujące dla was — » pogadać, opowiedzieć ludziom, co widzieliście...

— Ty nam lepiej opowiedz, co słychać u Luizy — przerwał mu Roger.

— U Luizy? — Rajmund zaczął naraz pilnie oglądać swoje paznokcie. — No, cóż ma być słychać? Po trochu wraca do zdrowia...

— A co dalej?

— Dalej? Na razie jej nie pytałem. Po takich przeżyciach...

— No właśnie! — powiedział Roger. — A może jednak?

— Co może jednak? — Rajmund zaczął się denerwować. — Nie rozumiem, czego ode mnie żądacie!

— Niczego od ciebie nie żądamy. Po prostu współczujemy Luizie.

— Ja też jej współczuję, wierzcie md... — Rajmund wstał. Roger popatrzył na niego, mruknął coś pogardliwie i odwrócił się.

— Czego wy ode mnie chcecie? — zaczął Rajmund zupełnie innym tonem, o wiele poważniejszym, i szczerym. — Wiem, uważacie z pewnością, że powinienem... no, jednym słowem... Ale musicie mnie zrozumieć, sami przecież to wszystko przeżyliście... Kiedy spoglądam na Luizę, od razu przypomina mi się ta koszmarna noc i... po prostu ogarnia mnie przera-

zenie, chciałbym uciekać”, gdzie minie oczy poniosą... Nie może mi pan zarzucić, Rogerze, że źle się wtedy zachowałem...

— Wcale tego nie mówię... — powiedział Roger.

— No właśnie, a teraz strach mnie nie opuszcza. Mogę tylko zdobyć się na tyle, żeby stojąc w progu zamienić parę słów z Luizą... na nic więcej... Nie potrafię się przełamać! Czy tego nie rozumiecie?

— Rozumiemy — mruknął Roger. — I to, i jeszcze inne rzeczy.

— Co mianowicie? — już ostro zapytał Rajmund.

— To, żeś na tej historii zarobił niezłą forszę, zgodnie, zresztą, ze swymi rachubami. A dodatkowe koszty nikomu nie w smak. No i już.

— Nie będę dłużej prowadził rozmowy w takim tonie — oświadczył Rajmund.

— Okropnie mi na tym zależy — odparł Roger nie odwracając głowy. — Ja też nie mam ochoty rozmawiać z tobą.

Rajmund zatrzymał się w progu:

— Doprawdy bardzo mi przykro, że tak jesteście do mnie nastawieni... Albercie, może pan wytłumaczy Rogerowi, że ja...

— Zjeżdżaj stąd i to czym prędzej — powiedział Roger nie ruszając się z miejsca. — Nie potrzeba mi nic tłumaczyć, nie jestem dzieckiem.

Rajmund wymownie rozłożył ręce na znak, że nie ponosi żadnej winy i wyszedł.

— Dlaczego tak się go czepiasz? — powiedział Albert krzywiąc się z bólu głowy. — O co ci właściwie chodzi — żeby się ożenił z kobietą, której nie kocha? Komu to wyjdzie na dobre?

— Chciałbym, żeby na świecie było mniej drani. I to wszystko. A w ogóle to gwizdź na niego. Niech robi swój business, jak mówią Amerykanie.

— A czy ty mógłbyś się ożenić bez miłości, tylko ze współczucia dla kobiety? — zapytał Albert. — Uważasz, że to jest uczciwe? Ale z Rogerem, jak zwykle, niełatwo było rozmawiać.

— Bez miłości? Dlaczego bez miłości? Pokochałbym ją i w porządku.

Około wieczora młodziutka pielęgniarzka przyniosła wielki bukiet ciemnoczerwonych róż.

— Monsieur Lemonier spod czwórki przysyła to dla panów.
— Dziewczyna promieniała.

— On jest taki dobry, taki miły!

Roger wstał i przechyliwszy głowę na bok, z zainteresowaniem przyjrzał się bukietowi.

— Droga mademoiselle Henriette — powiedział uroczystym tonem — liczę na pani dobre serce. Jeśli pani rzeczywiście chce uszczęśliwić nas, swoich zagorzałych wielbicieli, od tej chwili aż do końca dni naszych, to błagam panią... — zawiesił głos, niczym na scenie — błagam, niech pani zechce zamieść tą sztywną miotłą nasz skromny pokój!

— Monsieur żartuje? — zaszcebiotała pielęgniarzka.

— Bynajmniej. Po prostu całe życie marzyłem o tym, żeby stapać po różach. Albo chociażby po płatkach róż. I jakoś nigdy mi się to nie udało, droga mademoiselle! — Westchnął z afektacją. — A tu nagle — taka okazja! No, niechże pani nas uszczęśliwi!

Pielęgniarzka zaczęła się cofać ku drzwiom. Roger wybuchnął śmiechem:

— Proszę się nie przerażać, mademoiselle Henriette. Niech pani weźmie te kwiaty dla siebie... A dobremu, miłemu monsieur Lemonier powie, że pomylił adres...

Rajmund uśmiechnął się z przymusem.

— Roger Leroix to wielki kawalarz. Niech pani się nie przejmuje, Henriette. Zapomniałem po prostu, że Albert dotychczas cierpi na bóle głowy i nie można stawiać w jego pokoju tak dużego bukietu. Doprawdy, proszę je sobie wziąć, zrobi mi pani przyjemność.

„Co mnie właściwie obchodzi ten grubianin Roger! — myślał spacerując po pokoju. — Nerwy mi się rozklekotały przez tę całą historię... Tak, ale gra była warta świeczki! Sensacja na skalę światową! Naszą gazetę z rąk wyrywają...” Wziął z parapetu plik gazet i z satysfakcją przeczytał nagłówki swoich artykułów: „Tajemnica willi w Passy”, „Ludzie, czy ...? ?...”, „Władza nad światem”, „Wielkie marzenie ginie we brwi i płomieniach”... Fotografie były wyraźne. Michel, pochylony nad próbkami, zapisuje coś w zeszycie — i znów Michel,

zadziwiająco podobny do człowieka, sam wlewa sobie przez rurkę płyn odżywczy. François i profesor Laurent przy stoliku; François robi obliczenia. Pierre i Paul, objęci ramionami, siedzą na kozetce. Paul i Michel o czymś rozmawiają. Profesor Laurent z wychudzoną twarzą i gorączkowo błyszczącymi oczami siedzi zagłębiony w fotelu. Profesor i Michel badają Paula. Michel robi Paulowi zastrzyk dożylny, Pierre trzyma gumę... „Tak, całe szczęście, że udało mi się wcześniej wręczyć te zdjęcia szefowi, inaczej byłyby przepadły... ostatnie świadectwo tego, co naprawdę było rzeczywistością, pamięć o przedziwnym i strasznym świecie, który bezpowrotnie zniknął... A tu fotografia Luizy... Mój Boże, jakaż ona była czarująca z tymi wielkimi, promiennymi oczami i nieśmiałym, smutnym uśmiechem! Luiza... co ja mam robić? Co robić? Peyronel (powinien zrozumieć, zresztą on się od razu zorientował... W najgorszym razie dam sobie teraz radę i bez Peyronela. Nie chcę z nim zadzierać, Boże broń — ale jakie mam kuszące propozycje od dwóch redakcji... Nie mówiąc już o kobietach... te po prostu głowy ;potraciły... A jednak ta wdówka po fabrykancie perfum jest nie do pogardzenia... przypuśćmy, że ma nie dwadzieścia sześć lat, jak utrzymuje, ale trzydziestkę z haczykiem, ostatecznie to nie jest najważniejsze... natomiast zabezpieczony dobrobyt, willa w Mentonie... Doprawdy jest o czym pomyśleć. W każdym razie śpieszyć się nie warto. Teraz muszę napisać książkę. Tytuł jakiś mocny, fascynujący: „Miesiąc wśród potworów”... albo nie, inaczej... Może tak: „Tajemnica profesora Laurenta” lub „Byłem w laboratorium cudów”... Zresztą, tytuł to sprawa późniejsza. Na razie pisać nie mogę, ale podyktuję stenografistce. Byle prędzej, bo nawet największe sensacje bardzo szybko tracą na atrakcyjności, ludzie przestają się nimi interesować. Dzisiaj każde wydawnictwo złapie taką książkę, a jutro może nawet mówić o niej nie zechcą. — Rajmund zamyślił się. — Trzeba się pośpieszyć... Wszystko się wreszcie ułoży... tylko co z Luizą...”

— Nic mnie już nie boli — martwym, jednostajnym głosem powiedziała Luiza — ale zabraniają mi wstawać.

Nie patrzyła na Rajmunda. Jej przezroczyta, nieprawdopodobnie wychudzona ręka spokojnie leżała na kołdrze.

Rajmund siedział przy łóżku, oczy miał spuszczone. Nie mógł patrzeć na tę głowę poznaczoną śladami oparzelizny, z krótkimi, szpeciniastymi włosami, na tę bezkrwistą twarz z grubą czerwoną szramą na lewym policzku, biegnącą ukośnie od ucha do brody. Nie, to nie jest Luiza, to jakaś obca, stara i brzydka kobieta. Usiłował wyobrazić sobie tamtą prawdziwą Luizę — i nie mógł. Na wpół martwa, oszpecona twarz ciągle stała mu przed oczami.

— Luizo — zaczął i głos mu drgnął. — Luizo...

Nieruchome, jasne oczy Luizy, które w tej zdrobniałej twarzy wydawały się ogromne, nagle ożyły. Odwróciła ku niemu głowę:

— Rajmundzie...

Przez sekundę patrzyli na siebie w milczeniu. Rajmund pierwszy odwrócił wzrok:

— Luizo... gdyby pani czegoś potrzebowała...

— Dziękuję — bardzo cicho, lecz wyraźnie wymówiła po długim milczeniu. Nic mi nie potrzeba.

Rajmund poczuł, że nie wytrzyma tu ani sekundy dłużej. Nachylił się szybko, dotknął ustami zimnej, nieruchomej ręki Luizy i niemal wybiegł z pokoju, unosząc na wargach wrażenie martwego chłodku.

Za drzwiami przystanął i mocno wytarł wargi chusteczką.

— Pobudzenie motoryczne... zaburzenia czynności ośrodków hamujących... ech! — Chamfort uśmiechnął się gorzko. — Biedny Laurent po prostu z wyczerpania przyjmował bez słowa te wywody Michela... i w ogóle podobało mu się, że Michel z taką pewnością wszystko tłumaczy — to przecież stworzenie, które z jego woli powstało z niebytu... Nie, młodzieńcze, to był bunt ludzi przeciwko ludziom... wprawdzie bezsensowny, ślepy i niesłuszny, a mimo to zrozumiały. Człowiek jest człowiekiem i czyjaś okrutna, twarda wola, rządząca jego życiem, pozbawiająca go swobody, musi z natury rzeczy obudzić w nim nienawiść, wywołać przeciwdziałanie...

— Ale jakie pojęcie swobody mógł mieć Paul? — zapytał Albert. — Cóż on widział poza laboratorium?

— W laboratorium również coś niecoś widział. Widział Laurenta, pana i innych. Widział, że Michel, istota nie różniąca się od niego, korzysta z innych praw, niż on, rozkazuje

jemu i Pierre'owi. Widział, że pod wieloma względami los jego zależy od Michela. Czy to jeszcze mało?

Albert długo milczał.

— I wszystko unicestwione... — powiedział wreszcie. — Nadludzki wysiłek woli i energii, gwałt popełniony na życiu, bezlitosne ograniczenie go do jednej tylko dziedziny — i w imię czego? Gdyby nie fotografie, które ukradkiem zrobił Rajmund; czy ktokolwiek mógłby uwierzyć w istnienie Michela i François, Paula i Pierre'a?". Taka długa walka, takie uparte, codzienne zmagania — i całkowita klęska... Nawet myśleć o tym trudno. Gdyby profesor Laurent żył dalej, wątpię, czy mógłby zacząć od początku...

Chamfort pokiwał głową.

— Nie ma pan racji, mój drogi. Widzę, że pan bez żadnych zastrzeżeń przyjął to, co w chwili rozdrażnienia mówiłem o pracy Laurenta. Ale śmierć Laurenta, to śmierć w zaciętej walce, jak pan to słusznie zauważył. Była to walka nierówna, tym bardziej że Laurent, zmagając się z ograniczonymi możliwościami ludzkiego organizmu, usiłując te granice rozszerzyć, wyzwał na pojedynek samego siebie, swoje ciało, mózg, swoje nerwy i serce. Nie osiągnął całkowitego zwycięstwa, ale czyż taką walkę; można wygrać samotnie? Jednak i klęską tego nazwać nie można. Laurenta spotkał los wszystkich odkrywców tych, którzy pierwsi dotykają stopą ziemi nieznaną i niebezpieczną, i życiem płacą za to, że pierwsi zobaczyli rzeczy niewiadome i niewiarygodne... Tych, których mogiły pozostają niby drogowskazy na nie przetartych jeszcze szlakach. Czy można zapomnieć o tym, czego dokonał Laurent? Czy ja i pan zapomnimy kiedykolwiek willę w Passy, wywody Michela i skargi Paula? Czy zdołamy zapomnieć śmiertelnie udręczoną twarz Laurenta, twarz męczennika nauki? Wybaczyłem mu wszystko, ujrzawszy jego twarz... Zrozumiałem, jak postąpił z samym sobą.

— Nie, pan nie wszystko wybaczył...

— Nie wszystko? No, dopóki żył, usiłowałem go jeszcze przekonać. Przecież nikt nie potrafi z góry pogodzić się ze śmiercią kolegi, i to jeszcze tak genialnego uczonego jak Laurent! Wiedziałem, że jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, że zabija sam siebie, myślałem jednak, że jakoś to przejdzie, że

wytrzyma i będzie mógł odpocząć... Żył, więc dyskutowałem z nim Jak z żyjącym... owszem, przyznaję, czasami zbyt gwałtownie, zbyt zapalczywie — ale przecież chodziło o dzieło całego życia, jego życia i mojego. Ale teraz, kiedy Henryk Laurent już nie żyje, mogę tylko schylić czoła przed jego wielkim osiągnięciem. On zatknął sztandar nauki na wyżynach, z których otwierają się nowe dale... I nawet jego błędy, które doprowadziły do straszliwej katastrofy, do zagłady — nawet one będą pomocne innym, którzy pójną tą samą drogą. Zobaczą bowiem ostrzeżenie: Uwaga — niebezpieczeństwo!

— To jednak dziwne... — powiedział cicho Albert. — Dziwne i smutne, że nawet tak wielkie odkrycie, tak heroiczny wysiłek nie zostawiają śladów w życiu...

— Jak to — nie zostawiają?

— No, mam na myśli to, że nic się nie zmieniło. Życie toczy się swoją koleją...

— Romantyk z pana, powtarzam to jeszcze raz — rzekł Chamfort po chwili milczenia.— Czy jeden człowiek, nawet najgenialniejszy, potrafi zmienić świat? Prace Laurenta to rozpaczliwy, karkołomny skok w przyszłość! Kiedy ludzkość dojdzie na swojej dalekiej drodze do celu, który zamierzał osiągnąć Laurent, wówczas... wówczas może wystawią mu pomnik. A może być i talk, że nawet go nie wspomną...

— Niedługo można będzie wypisać pana z kliniki. — Lekarz odłożył zdjęcia rentgenowskie. — Ma pan zdrowy organizm, wszystko się zrasta normalnie. I ręka, i żebra w porządku.

— Dobra — powiedział Roger bez entuzjazmu. — W porządku to w porządku.

— U pana też wszystko normalnie. — Palce lekarza lekko i pewnie dotykały głowy Alberta. — Jak pan się czuje?

— Nieźle. Głowa rzadko mnie boli.

— Powinien pan po wyjściu z kliniki wyjechać nad morze... Zalecałbym również serię zabiegów fizjoterapeutycznych...

— Dziękuję — powiedział Albert. — Właśnie mam zamiar to zrobić po wyjściu z kliniki.

Lekarz dostrzegł konie, chrząknął, nieco zmieszany, i wyszedł. Roger patrzył za nim z niewesołym uśmiechem.

— No cóż, leżymy w pierwszorzędnej klinice, myśli więc, że

możemy sobie pozwolić na najrozmaitsze zabiegi.

— Aha, nie rozumiem, jakim cudem znaleźliśmy się w takiej drogiej klinice?

— Z początku wcale nie byliśmy tutaj. To Luiza, kiedy poczuła się trochę lepiej, kazała nas tu przewieźć...

— I ona za nas płaci?! — przeraził się Albert.

— Ona i Chamfort. Nie zgodziłbym się na to, ale z tobą przez dłuższy czas było krucho, obawiali się o twoje życie. A tam gdzie nas umieszczono, było ohydnie.

Roger przeszedł się po pokoju, spojrzął w okno.

— Miejsca w bistro już dawno zajęte, Vigot przychodził do mnie. Co będziemy robić? Czy u Chamforta nie moglibyśmy się jakoś zaczepić?

— Chamfort ma poważne kłopoty. Tirana bankrutuje, laboratorium zagrożone. Nawał roboty, a tu zaczęły się zwolnienia — muszą oszczędzać na gąże. Zwolnili dwóch laborantów, żądają, by Chamfort zredukował jeszcze trzech.

— Rozumiem... no cóż, zaczniemy wszystko od początku. Ach, prawda, Luiza zaprasza nas do siebie...

— Dokąd?

— Zostało jej jeszcze trochę pieniędzy. Chce wynająć domek gdzieś pod Paryżem — nad brzegiem Sekwany, zamieszkać tam jakiś czas z daleka od ludzi. Doprawdy, zaprasza nas bardzo serdecznie, a co myślisz, z nami będzie jej łatwiej. Tylko, że Luiza nieprędko wyjdzie stąd — lekarze mówią, że z nią bardzo źle. Jak się trochę polepszy, będą jej coś robić z twarzą. Obiecują usunąć wszystkie ślady i nawet bliznę. Trzeba liczyć, że jeszcze parę miesięcy tu pobędzie. Co za różnica — nie pójdziemy przecież na utrzymanie do tego biedactwa, trzeba coś wymyślić.

Wyszli ulicą d'Aubigner na bulwar Henryka IV. Pod wieczór ochłodziło się, dał silny wiatr.

— No, niech to cholera, znów nawet na nocleg nie zarobiliśmy! — Roger splunął z wściekłością. — Co teraz zrobimy?

— A co mamy robić? — Albert uśmiechnął się ze smutkiem. — Widzisz naprzeciwka bulwar Saint-Bernard... Zdaje się, że ten sam kiosk czeka na nas.

Roger stał chwilę niezdecydowany. Wreszcie podniósł kołnierz kurtki i powłókł się bez słowa w stronę mostu Austerlitz.

Albert siedł za nim spoglądając na ołowiano-szarą Sekwanę.
Zaczynał kropić deszcz. Był to już deszcz jesienny.

